

Rafał Bogusławski

Modlitwa za skazańca

Edgar Gratiano, główny bohater Modlitwy za skazańca, właśnie odnosi swój pierwszy wielki sukces - jego film ma szansę stać się przebojem roku. Świat otwiera przed nim nieograniczone możliwości. Edgar jest pełnym entuzjazmu idealistą, realizującym marzenie swego życia. U jego boku atrakcyjna kobieta, a wokół wielu przyjaznych i wpływowych ludzi. Po prostu idealnie.

Czy Edgar zauważy sygnały zbliżającej się katastrofy? Czy otaczający go ludzie okażą się takimi, jakimi ich widzi? Komu będzie mógł zaufać w dniu próby? Na te pytania będzie musiał odpowiedzieć dużo szybciej niż mógłby przypuszczać.

Doskonały thriller z trzymającą w napięciu akcją i pełnowymiarowymi postaciami bohaterów. Pełen nieoczekiwanych zwrotów akcji i silnych emocji.

Copyright © Rafał Bogusławski 2004 Copyright © na to wydanie Philip Wilson, Warszawa 2004

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część ani całość nie może być reprodukowana bez wcześniejszej zgody Wydawcy.

Projekt okładki: Kolaż - Aleksandra Gligorijević

Redakcja: Danuta Rzeszewska-Kowalik

Korekta: Ewa Nyk

Redakcja techniczna: Aleksandra Napiórkowska

CIP - Biblioteka Narodowa

Bogusławski, Rafał Modlitwa za skazańca / Rafał Bogusławski . - Warszawa : Philip Wilson, 2004

ISBN: 83-7236-171-1

e-mail: pwilson@pol.pl <http://www.philipwilson.pl>

Skład i łamanie: Radius, ul. Nowogrodzka 31, Warszawa

CZĘŚĆ PIERWSZA

- Scena dwudziesta siódma, ujęcie trzecie! - szczupła blondynka stuknęła kłapsem i szybko umknęła z pola widzenia kariery. Na planie pozostał jedynie aktorski duet: Patrycja Sheraton i Walter Quincy. Ona - urocza blondynka w wieczorowej sukni; on - przystojny brunet z zabójczym wąsikiem.

- Jestem zrozpaczona! - Patrycja wtuliła twarz w smoking Waltera. - Ojciec nigdy się na to nie zgodzi - dodała szlochając.

Walter, który do tej pory gładził jej puszyste włosy, chwycił ją za ramiona i odsunął od siebie.

- Czy na wszystko musisz mieć pozwolenie ojca? - zapytał, patrząc jej w oczy, a w jego głosie zadrgały nuty rozdrażnienia. - Czy niczego nie możesz zrobić bez jego zgody?

- Puść! To boli! - próbowała wyrwać się z uścisku jego rąk. - Jesteś wstrętny!

Usta aktora zastygły w smutnym uśmiechu, w którym ironia, ból i miłość tworzyły harmonijną całość. Powoli odwrócił się i wyszedł z pokoju.

- Martin! - wykonała ruch, jakby chciała pobiec za nim, ale zatrzymała się w pół kroku. - Martin! - powtórzyła ci-

5

szej i dłońmi zakryła twarz próbując zdławić szloch, który wstrząsnął jej ciałem.

- Stop! Doskonale! Na tym skończymy!

Młody, dwudziestokilkuletni mężczyzna oderwał wzrok od pomocniczego monitora, na którym śledził przebieg nagrania.

- Walterze byłeś doskonały. Za ten uśmiech niejedna pani oddałaby nie tylko duszę. Pat również była świetna - objął aktorkę i pocałował ją. - Dziękuję! - szepnął jej do ucha.

Chociaż Edgar Gratiano debiutował w roli reżysera pełnometrażowej produkcji, tajniki tej pracy były mu doskonale znane. Szlify zdobywał kręcąc reklamówki i współpracując przy produkcji kilku tasiemcowych seriali. Być może nie były to zadania zbyt ambitne artystycznie, ale dawały świetny warsztat, a przede wszystkim umiejętność pracy z ludźmi. Potrafił „zarazić” zespół swoim entuzjazmem i sprawiał, że ludzie dawali z siebie więcej niż myśleli, że potrafią. Wszyscy odnosili się do siebie jak członkowie jednej rodziny i pracowali w przyjacielskiej atmosferze. To sprawiało, że nawet spięcia i konflikty szybko rozwiewały się i ekipa pracowała jak jeden organizm i dzień po dniu nadawała realny kształt marzeniu Edgara.

Gdy patrzył na krzątających się ludzi był pewien, że będzie mu ich brakowało. Kilka tygodni wspólnej pracy pozwoliło mu poznać wszystkich członków zespołu całkiem dobrze. Miał nadzieję, że z większością z nich spotka się przy produkcji kolejnego filmu. Chociaż był jeden wyjątek. Edgar wzdrygnął się, gdy jego spojrzenie zatrzymało się na nalanej twarzy Thomasa Falstaffa.

Falstaff był w zespole jedyną osobą, której Edgar nie chciał już nigdy więcej spotkać na swojej drodze. Zmuszony do współpracy, Gratiano dość szybko przekonał się, że opinia podstępnej świni, jaką Falstaff miał wśród członków ekipy, była w pełni uzasadniona.

6

Falstaff był „człowiekiem wytwórni”; za wszelką cenę starał się uprzykrzyć Edgarowi życie i skompromitować go w oczach producentów. Niespełniony reżyser i scenarzysta, nadużywający alkoholu, przegrany i zawistny - Falstaff był niebezpieczny w swej frustracji przeradzającej się w obsesyjną nienawiść wobec wszystkich, którzy odnosili jakieś sukcesy. Był tak uciążliwy, że czasem Edgar miał ochotę sprać go na kwaśne jabłko. Jego skwaszona mina i rozbiegane oczka zawsze były

zapowiedzią kolejnych problemów, jednak Edgar musiał go tolerować. Pieniądze na film dało konsorcjum, a Falstaff był ich psem gończym. Edgar nie wiedział jak duży wpływ na tych ludzi miał Falstaff, ale musiał założyć, że znaczny. Gdyby popełnił teraz jakiś błąd, to przy „pomocy” tego człowieka mógłby stracić możliwość ukończenia swego pierwszego filmu. A tej myśli nie chciał nawet do siebie dopuścić.

Prawie bezwiednie przytulił delikatnie Patrycję. Jej bliskość sprawiła, że złe myśli pierzchnęły jak spłoszone kruki. Mając u swego boku Pat mógł walczyć z wszelkimi przeciwnościami, bez względu na to czy miałyby postać Falstaffa, czy pięciogłowego smoka.

Z Patrycją był już prawie od roku i nie wyobrażał sobie życia bez niej. Kochał ją do szaleństwa i potrzebował zarówno fizycznie, jak i psychicznie. Jej upór, żeby przynajmniej oficjalnie mieszkali osobno, doprowadzał go do szału. Nie rozumiał tego, ale nie zamierzał narzucać jej swojej woli; znaczyła dla niego zbyt wiele i nie chciał, by stało się to podłożem konfliktu. W czasie kręcenia filmu i tak praktycznie się nie rozstawali, więc kwestia mieszkania razem czy osobno nie miała znaczenia.

Teraz jednak, gdy zdjęcia dobiegły końca, a przed nim był jeszcze montaż, Edgar wiedział, że jego spotkania z Pat będą o wiele rzadsze. Nie chciał wybierać pomiędzy nią i filmem, ale równocześnie czuł, że musi być obecny

7

przy każdej fazie produkcji. Ten film to było jego dziecko i tylko on wiedział, jaki będzie jego ostateczny kształt, nie mógł zostawić montażu komuś innemu.

- Chciałem podziękować za współpracę! - Walter Quincy stanął przed Edgarem, wrywając go z zamyślenia.

- To ja dziękuję! - Ned uściśnął wyciągniętą dłoń. Lubił Waltera, który był już sławnym aktorem, a pomimo swej pozycji pozostał sympatycznym facetem. Czasem nawet zastanawiał się, skąd u filmowego gwiazdora tyle grzeczności. Walter często zachowywał się tak, jakby głównym zadaniem w życiu było nie urażenie nikogo.

W zachowaniu Waltera było jeszcze coś, co baczemu obserwatorowi jakim był Edgar nie umknęło uwagi. Gdy wydawało mu się, że nikt na niego nie patrzy, jego wzrok kierował się w stronę Patrycji. Wtedy jego spojrzenie stawało się nieco inne, bardziej zamglone... Edgar był pewien, że Walter zakochał się w Patrycji. Na szczęście Patrycja wydawała się nie zwracać na to najmniejszej uwagi, a czasem nawet żartowała sobie z Waltera.

„To ciekawe, że grając amantów i tak często trzymając w ramionach piękne kobiety, w życiu prywatnym można być tak nieśmiałym facetem jak Walter - pomyślał Ned i uśmiechnął się lekko. - Widocznie «granie na żywo» to zupełnie inna umiejętność”.

Spojrzał na Patrycję i pomyślał, że powinien uczcić dzisiejszy dzień w specjalny sposób. Chciał jej podziękować, że była przy nim zawsze, gdy miał chwile zwątpienia i za to, że zawsze przy niej odzyskiwał wiarę we własne siły.

Szukając pomysłu godnego tego wieczoru przysłuchiwał się wymianie uprzejmości pomiędzy Patrycją i Walterem, którzy dziękowali sobie za współpracę; i nagle znalazł właściwy pomysł. „Zaproszę ją do

De Loria - postanowił, choć nie cierpiał tego lokalu. Ważne było jednak to, że Pat go uwielbiała. Ned uśmiechnął się do swoich myśli: Cóż

8

za znaczenie miało to drobne poświęcenie z jego strony, jeśli ona będzie szczęśliwa. W tym czy w innym lokalu, co za różnica... Potrafił dobrze się bawić bez względu na miejsce. Miał jeszcze pomysł na jedną niespodziankę, ale to wymagało zaciągnięcia małej pożyczki u Brunsy.

- Kochanie! Czy mogę zaprosić cię na kolację? - zapytał, wpadając Walterowi w słowo.

* * *

Ned siedział w garderobie Patrycji i z głową wspartą na oparciu krzesła przyglądał się jak Pat, z właściwym sobie wdziękiem, przymierza kolejne kreacje i wszystkie z niesmakiem odrzuca. Jej piękne ciało poruszające się z niezwykłą gracją, jej tioda i młodość sprawiały, że sama jej obecność wpływała na niego orzeźwiająco i wywoływała ekscytację, graniczącą z pożądaniem. Zazwyczaj, lecz nie dziś. Dziś nie potrafił uciec od myśli związanych z filmem i nawet obecność Pat nie była w stanie tego zmienić. Część jego umysłu, a może i duszy była wciąż w innym świecie; w świecie stworzonym przez jego wyobraźnię, który teraz już istniał na taśmie filmowej. Teraz pozostało nadanie mu ostatecznej, doskonałej formy.

- Nie mam co na siebie włożyć! - głos Pat przywrócił go do rzeczywistości. Uśmiechnął się na widok Patrycji patrzącej bezradnie na stos ubrań piętrzący się przed nią.

- A gdybyś tak poszła tylko w bieliźnię? - zaproponował niewinnie. - Na pewno wzbudziłabyś sensację.

Spojrzała na niego jak na insekta. - To wcale nie jest zabawne!

Ton jej głosu, wyraz twarzy sprawiały niemiłe wrażenie. Dlaczego była taka rozdrażniona? Czy naprawdę takim problemem był brak na dzisiejszy wieczór nowej kreacji? Jeśli tak było rzeczywiście, miał na jej zły humor lekarstwo.

9

- No dobrze! - powiedział, starając się ukryć, że jej wybuch sprawił mu przykrość. - Jeżeli koniecznie musisz coś na siebie włożyć, załóż to!

Podszedł do drzwi, otworzył je, odebrał od gońca duże, owinięte wstążką pudło i wniósł je do środka.

- Co to jest? - zapytała, gdy postawił karton na małym stoliku.

- Nie wiem. Może ktoś podrzucił bombę?

Pat odruchowo cofnęła rękę i spojrzała na niego.

- Wyglupiasz się!? - stwierdziła niezbyt pewnie.

- Ja? Ależ skąd! - Ned bardzo się starał zachować poważny wyraz twarzy. - Powinnaś to sprawdzić! Tylko poczekaj!... Ja trochę się odsunę. Gdyby nastąpił wybuch...

- Och, proszę cię! Powiedz, co to jest?
- Zobacz sama!

Przez chwilę wahała się jeszcze, ale w końcu ciekawość zwyciężyła. Szybkim ruchem ściągnęła wstążkę i odsunęła pokrywę. Przez moment przyglądała się zawartości, jakby nie mogła uwierzyć własnym oczom.

- To dla mnie? - zapytała i nie czekając na odpowiedź sięgnęła po wieczorową suknię znajdującą się w pudle. Przymierzyła ją przykładając do ciała i podbiegła do lustra. - Och, Neddie! Jesteś cudowny! - zawołała wirując wokół własnej osi. - Jest wspaniała! - I nawet na chwilę nie odrywając oczu od lustra dodała: - Kocham cię!

Ned gdzieś w środku poczuł delikatne ukłucie. Patrzył na Pat uważnie, ale wcale nie był przekonany czy powiedziała to do niego, czy do sukni? Gdy w wytwórni wpadł na pomysł, żeby kupić jej w prezencie wieczorową suknię, chciał w ten sposób sprawić jej przyjemność, ale nie przypuszczał, że może ją to uszczęśliwić, aż do tego stopnia. Chociaż cieszył się, że suknia podobała się jej tak bardzo, to nie potrafił zrozumieć, co aż tak niezwykłego jest w nowej sukni, nawet, jeśli jest od Beckstone'a.

10

- Jest piękna! Na pewno kosztowała majątek!
- Ukradłem ją! - powiedział niedbale.
- Głuptas! - podbiegła i pocałowała go.

Chciał zapytać, czy dlatego że kupił jej tę suknię, ale powstrzymał się. „Co się ze mną dzieje?” - zapytał sam siebie? Przecież w tym, że Pat lubiła się dobrze ubrać, nie było nic dziwnego. Wychowała się w luksusie i przywykła do pewnego poziomu i stylu życia. Wiedział, że była z nim nie dlatego że kupował jej sukienki. Przez ten rok nie mógł obdarowywać jej zbyt często, a mimo to kochała go nadal. „Jestem głupi!” - pomyślał i chcąc wyrwać się z ponurego nastroju zmienił temat rozmowy.

- Czy zauważyłaś, w jaki sposób patrzy na ciebie Walter?

Pat uśmiechnęła się. - Widziałam! - zrobiła tajemniczą

minę. - Nawet mi się podobało. Jest bardzo miły.

Ned spojrzał na nią uważniej.

- Mam nadzieję, że z tego powodu się w nim nie zakochałaś? - zapytał, czując lekki niepokój.
- Czyżbyś był zazdrosny? - zapytała kokieteryjnie.
- Ja? Ależ skąd! Nigdy nie bywam zazdrosny! - z całą pewnością przypominał teraz faryzeusza z obrazu, który widział w kościele Św. Sebastiana.
- A jeśli Walter naprawdę się we mnie zakochał? Nie czujesz się zagrożony?
- Nie! - odparł pewnym tonem, a przynajmniej tak miało to zabrzmieć.

- Jesteś strasznie zarozumiała!
- Wiem! To dlatego, że cię Kocham i wiem, że ty Kochasz mnie. Mam rację?
- Jak zwykle masz!
- Więc nie muszę się go obawiać? - zapytał niewinnie.

Patrycja roześmiała się. - Edgarze Gratiano, jesteś niemożliwy.

- Ale Kochany.

11

- Jak wyglądam? - zapytała prezentując nową suknię na sobie.

Z uznaniem pokiwał głową. - Noo... Ostatecznie może być!

- Jak to ostatecznie? - oburzyła się, ale widząc jego uśmiech zrozumiała komplement. - Jak myślisz? Te perły będą do niej pasowały? - zapytała, wyjmując z kasetki sznur koralii.

Ned zmarszczył brwi. Nie przypominał sobie, by nosiła je przedtem, a on z pewnością ich jej nie podarował.

- Skąd je masz? - zapytał, starając się, żeby nie zabrzmiało to zbyt obcesowo.
- Och! - Przez chwilę wydawało mu się, że była zmieszana. - Dostałam je od mojej babki na osiemnaste urodziny.
- Nigdy ich nie widziałem.
- Bo nigdy ich nie zakładałam. - Podeszła do niego z tym uśmiechem na ustach, który zawsze czynił go bezbronny. - Czekają na specjalną okazję.

Spojrzał na nią uważnie, ale bliskość jej ciała, jej zapach oszałamiały go. Nie mógł myśleć, gdy jej usta były tuż przy jego ustach... I gdy pocałowała go, chciał już tylko, żeby ta chwila trwała jak najdłużej.

Zanim złapali taksówkę byli już spóźnieni, ale Ned spodziewał się tego, więc uprzedził szefa sali, żeby utrzymał rezerwację co najmniej przez pół godziny. Mógł więc, siedząc w taksówce, zastanowić się nad tym, co już się wydarzyło i co czeka go w najbliższej przyszłości. Był rozdrażniony i zły, że nie potrafił zachowywać się rozsądnie. Powinien być szczęśliwy, bo ukończył zdjęcia i może to uczcić razem z Patrycją; a on albo w myślach montował film, albo starał się zapanować nad lękiem, że za chwilę obudzi się i to wszystko okaże się tylko snem. Ale jak traktować to, co go spotkało, inaczej niż sen?

12

Jeszcze pół roku temu droga do spełnienia marzeń wydawała się tak długa, że tracił nadzieję, by kiedykolwiek udało mu się je zrealizować. Dziś był o krok od urzeczywistnienia swych planów i to właśnie wydawało mu się tak niezwykle, że aż niepokojące. Dlatego najchętniej rzuciłby się w wir pracy; wtedy wszystkie lęki zniknęły i przenosił się do innego świata. Nie miał wówczas czasu, żeby

zastanawiać się nad czymkolwiek poza pracą, a praca przynosiła wewnętrzny spokój. Teraz też miał wielką ochotę pojechać do wytwórni i zacząć montaż, ale wtedy żałowałby, że... nie jest z Patrycją.

Spojrzał na nią ukradkiem, tak by dostrzec jej profil, który zawsze zadziwiał go swą doskonałością. Pat dostrzegła ten ruch i uśmiechnęła się tym swoim tajemniczym uśmiechem, który sprawiał, że w powietrzu zaczynały przeskakiwać iskry... a przynajmniej tak wydawało się Edgarowi. Kochał ją za to, że do nikogo nie uśmiechała się tak jak do niego. Kochał ją za to, że wniosła w jego życie coś, czego istnienia jeszcze nie tak dawno zupełnie nie podejrzewał. Wypełniła pustkę, której przedtem, owładnięty pasją tworzenia, nawet nie zauważał. Dziś ciężko mu było zrozumieć, jak mógł żyć sam, nie mając nikogo, z kim mógłby się podzielić swoimi myślami, nikogo, kto chciałby go zrozumieć. Kochał ją za to wszystko i także za to, że... nigdy nie pytała, skąd brał pieniądze.

Nie uważał za konieczne, by wyjaśniać jej, że jest bez grosza, a zaliczka za film wystarczyła na spłnienie długów i jego finanse zaś nie poprawią się, dopóki film nie wejdzie na ekrany. Nie chciał mówić o tym, że na suknię i kolację u De Loria stać go tylko dzięki sporej pożyczce zaciągniętej u przyjaciela. Był przyzwyczajony do życia na kredyt i nigdy nie przywiązywał zbyt wielkiej wagi do pieniędzy. Wierzył, że wcześniej czy później je zdobędzie, a taka kobieta jak Pat wymagała odpowiedniej oprawy.

13

Podziwiał ją za odwagę i wiarę w siebie. Gdy dowiedział się, że wybierając karierę aktorską wbrew woli ojca, skazała się na wydziedziczenie, był zdumiony. Jej ojciec, bankier z kilkudziesięciomilionowym majątkiem, uważał, że aktorstwo nie jest zawodem godnym jego córki. Postawił jej ultimatum, a ona, niewiele myśląc, spakowała się i wyprowadziła. Ta determinacja Patrycji dawała mu dodatkowe siły w chwilach, gdy sam zaczynał wątpić. Niezwykłe było to, że od momentu, w którym ją poznał, wszystko w jego życiu nabrało tempa. Spotkał odpowiednich ludzi, między innymi Dominika Torrucciego - znanego producenta filmowego, który zdecydował się zainwestować w jego film i zorganizował konsorcjum. I największe marzenie Neda, żeby nakręcić własny film, zaczęło stawać się rzeczywistością. Czasem myślał, że Pat była czarodziejką lub dżinem, spełniającym jego najskrytsze marzenia. Dlatego starał się, by miała wszystko, do czego przywykła w domu. Aby jej to zapewnić, musiał pożyczać pieniądze. Na szczęście Bruns pożyczał mu je zawsze, gdy o to prosił.

Bruns! Był jego duchowym opiekunem w czasach, gdy nie stać ich było na obiad, a równocześnie bywali na przyjęciach u tak niezwykłych ludzi jak Peter O'Shea, Allan Bennet czy Paul Gibson. To Bruns zachęcał go do walki, to Bruns dodawał mu sił, to Bruns przekonał go do napisania powieści, która, choć nie stała się bestsellerem, zwróciła uwagę krytyki i sprzedawała się na tyle dobrze, że w końcu nie musiał się martwić o to, czy będzie miał za co żyć. To dzięki niemu zaczął kręcić reklamówki i wszedł w świat filmu. W końcu to dzięki niemu poznał Patrycję.

Teraz, gdy Bruns był już znanym pisarzem o unormowanym trybie życia, dzięki jego pożyczkom Ned mógł robić Pat takie niespodzianki jak dzisiejsza. Ned był mu za to wdzięczny, choć wiedział, że Bruns nie robi tego bezinteresownie. Ich umowa przewidywała, że Bruns ma prawo

14

określić formę zwrotu pożyczki. Ta dziwna klauzula najczęściej oznaczała szalony wieczór w Krookie lub innym nocnym lokalu. Ned bardzo lubił oddawać Brunsowi długi.

Nie znosił natomiast lokali w stylu De Loria i nie rozumiał, dlaczego Pat uwielbiała to miejsce. Przeciętnie wysokie ceny, przeciętny wystrój, przeciętne jedzenie; jedynie nieprzeciętną była tutaj klientela. Spotykała się tu plotkarska śmietanka, która „obrabiła” wszystkich i wszystko z szybkością ekspresu i dokładnością atomowego zegara. Ned miał tylko nadzieję, że nie to przyciągało tutaj Pat.

Nie zdążyli jeszcze usiąść, gdy podbiegła do nich Ga-briella Faltzman - podstarzała filmowa piękność. Bez wątplenia „najdłuższy język”, jaki poznał Ned. Za nią orbitował jej stały satelita, zawsze milcząca - miss Jennifer Cast. *

- Och! Moi drodzy. Tak miło spotkać przyjaciół - głos Gabrielli przyprawiał go o czkawkę. - Słyszałam o filmie. Taki budżet przy debiucie... No, no! Tak mało tu dziś znajomych twarzy... Nudziłyśmy się z Jenni śmiertelnie... Ale Pat jest nieoceniona! Przyprowadziła „najgłośniejszego” ostatnio człowieka w naszym małym światku. Czy możemy się przysiąść?

Ned uważał, że najgłośniejszą osobą, jaką znał, bez wątplenia była Gabriella. Ogłuszony chaotycznym powitaniem, w którym nie nadążał z uchwyceniem sensu zdań, nie zdążył nawet zareagować, a już trzy kobiety rozsiadły się przy dwuosobowym stoliku i chcąc nie chcąc musiał przysiąść się do nich.

„Jeśli Pat ich nie spławi, zrobię to sam!” - pomyślał z determinacją.

W Gabrielli drażniło go wszystko - począwszy od wystudiowanych, arystokratycznych manier, poprzez wyzywające, wydekoltowane kreacje, niesamowite, ogromne kapelusze - po używane w czasie rozmowy specyficzne, nie-

15mai slangowe wyrażenia. Od chwili, gdy spotkał ją po raz pierwszy, mniej więcej przed sześcioma laty u Benneta lub Gibsona, na jej widok zawsze zamieniał się w sprintera; toteż teraz był po prostu wściekły, że właśnie dzisiaj musiał mieć takiego pecha. Gdyby to przewidział, na pewno nie zaprosiłby tu Patrycji, chociaż ona w przeciwieństwie do niego bardzo lubiła Gabriellę.

Nie miał chyba najszcześliwszej miny, gdyż Pat korzystając z tego, że Gabriella zajęła się kartą dań, pochyliła się nad nim i szepnęła mu do ucha: - Uśmiechnij się! Wyglądasz jak chmura gradowa.

- Chodź! Urwiemy się stąd! - zaproponował prawie bezgłośnie.

Pat zakryła twarz menu. - Poczekaj! Tak od razu nie wypada. W końcu to żona Rolandsa.

- Przecież... - chciał powiedzieć, że od pięciu lat żyją w separacji, ale ugryzł się w język. Pat nie miała ochoty stąd wyjść i nawet, gdyby ją do tego nakłonił, to znał ją na tyle, żeby wiedzieć, że reszta wieczoru byłaby stracona. Nie przypuszczał, by w tym przypadku udało mu się przekonać Patrycję do swojego punktu widzenia. On nie rozumiał, dlaczego fakt, że Gabriella jest eks-żoną producenta filmowego, może uczynić ją mniej męczącą. Tylko że dla Pat ona wcale nie była męcząca.

Zrezygnowany sięgnął po menu, ale nie było mu dane przeczytać nawet jednego słowa.

- Czy wiecie, że Monti wynajął nowego kamerdynera?

Ned jęknął cicho. Gabriella nie odłożyła jeszcze menu,

a już weszła w swoją rolę.

- I nie uwierzycie! Wynajął Murzyna!!! Wyobraźcie sobie! Murzyna!!!- spojrzała na nich znacząco. - Myślę, że wiecie, jakie funkcje u tego starego pedała spełnia kamerdyner? Wyobraźcie sobie Montiego z Murzynem... Obrzydliwe! - Jej usta wygięły się jak pysk ryby konającej

16

na brzegu. - Gdy spotkałam go ostatnio, zapytałam, czy ten Murzyn dobrze wywiązuje się ze swoich obowiązków. Wyobraźcie sobie, że ten stary zbereźnik poczerwieniał jak szczupak.

- Sztubak! - sprostował Ned.

- No przecież tak powiedziałam! - Gabrielli nawet na chwilę nie wybiło to z rytmu. - A swoją drogą ten chłopak musi być niezwykły, jeśli taki zatwardziały rasista jak Monti wpuścił go do swego domu, a raczej łóżka. Ha! Ha! Ha!

Jej śmiech przypominał Nedowi rżenie konia. Nie mógł zrozumieć, jak taki inteligentny facet jak Rolands mógł ożenić się z kimś takim? Czy mógł się aż tak pomylić, czy to ona się zmieniła?

Gabriella rzuciła kolejną uwagę na temat rasizmu Montie-go i Ned poczuł nieodpartą chęć, żeby trochę ją podrażnić.

- Może w końcu zmadrzeł - zauważył od niechcienia.

- Jego uprzedzenia rasowe zawsze były nieco śmieszne.

- Jak możesz tak mówić?! - Gabriella aż podskoczyła.

- Jego dziadek został zabity przez czarnych w Afryce Południowej, jego stryja torturowali kolorowi, a jego...

Ned szybko pożałował, że w ogóle się odezwał. Drażnienie Gabrielli to nie był najlepszy pomysł, żeby ją uciszyć. Słuchał jej bełkotu nie próbując nawet doszukiwać się w nim sensu i zastanawiał się, czy cokolwiek może zmusić ją do zamilknięcia.

- A słyszeliście o Lindzie Dooley? Tej nowej gwiazdce od Baskina? Sypia z tym obrzydliwym Bedoyem tylko po to, żeby zagrać w jego filmie.

Ned potrząsnął głową. To wszystko przypominało koszmarny sen, który rozpoczynał się ciągle na nowo i nie miał końca, ale równocześnie ta cała sytuacja zaczęła go bawić. Czy nie było zabawne, że bez względu na to, co zrobi, Gabriella i tak dokończy swoje opowieści? Dlaczego miałby jej więc nie pomóc?

17

- Czy byłoby to mniej gorszące, gdyby sypiała z nim z innego powodu? - zapytał, w pełni zdając sobie sprawę, jakie skutki wywoła to pytanie.

- Jesteś cyniczny! Chyba nie mówisz tego poważnie! -syczała na niego jak rozjuszona gęś. -
Widocznie nie spotkałeś jeszcze Bedoya. Jego film nie jest tyle wart, by spać z tą przyszczatą mumią.
Miał raka skóry i miejscami jego ciało wygląda jak nadpsuty banan.

- Skąd to wiesz?

- No wiesz! O takich rzeczach się nie mówi! Co zamawiamy?

„Ja mówię” - chciał ją zapewnić, ale ugryzł się w język. Mógłby zapytać, o jakich to rzeczach nie mówi Gabriella Faltzman? Czy o tym skąd zdobyła te informacje, czy o tym, że przed kilkoma laty sypiała z Bedoyem, czy może o tym, którą konkretnie część ciała miała na myśli porównując ją z nadpsutym bananem. Równie nagle jak zaczęła go ta sytuacja bawić, teraz przestała. Uświadomił sobie, że bez względu na to, co powie, zamiast miłej kolacji we dwoje, będzie musiał uczestniczyć w wymianie plotkarskich nowinek.

„Uciec stąd!” - pomyślał i błagalnie spojrzał na Pat, ale ona nie dostrzegła tego, zajęta wybieraniem dań z karty. Zrezygnowany również spojrzał w kartę, by chociaż w ten sposób odgradzić się od natrętnej wszechobecności Ga-brielli. Niestety, pierwsze spojrzenie w menu wyłowilo z niej łososia a la jardiniere. Ned westchnął z rezygnacją godząc się, że nie będzie mu dane tego wieczora zapomnieć o Gabrielli. O tym, że aktorka jada prawie wyłącznie ryby, wiedzieli niemal wszyscy, a Ned uważał, że z wiekiem sama Gabriella zaczynała upodabniać się do ryby. Wszyscy również wiedzieli, że zawsze, gdy wpraszała się do stolika, zamawiała łososia a la jardiniere. Ned był bardzo ciekaw, czy i tym razem tradycji stanie się zadość.

18

- Co zamawiamy, kochanie? - zapytał zwracając się do Pat. Na co w odpowiedzi usłyszał głos Gabrielli: - Ja chyba wezmę łososia a la jardiniere.

Nie mógł się zdecydować, czy się roześmiać, czy rozplakać? Żeby zachowywać się tak jak Gabriella, trzeba było być albo głupim albo bezczelnym. Ned sądził, że u Gabrielli głupota czyniła ją bezczelną, a bezczelność podkreślała głupotę. W każdym razie Gabriella z pewnością była jedyna w swoim rodzaju.

- A ty co weźmiesz? - pytanie Patrycji przerwało te rozważania.

- To samo co ty - odparł szybko, pragnąc w tej chwili jedynie, żeby wszystkie trzy dały mu spokój. Gabriella pozbawiła go apetytu i chęci do rozmowy. Najchętniej udusiłby ją za bezustanny potok słów wydobywający się z jej ust albo przynajmniej zakneblował. Wszystko wskazywało na to, że jeżeli nie wydarzy się żaden cud, spędzi tu parę nudnych godzin.

Ned rozejrzał się po sali, gdzie w świetle przydymionych lamp dziesiątki osób jadły, rozmawiały i bawiły się, ale niestety żadna z nich nie wyglądała na zbawiciela.

„A gdyby tak zgasło światło? - zamarzył, choć zdawał sobie sprawę, że cuda nie zdarzają się często. Rozglądając się bezwiednie zatrzymał wzrok na świecącej bladym światłem lampie. Światło! Właśnie! Czy scena w toalecie była dobrze oświetlona? Przecież wtedy technik zasłonił niewłaściwy reflektor. Jim, co prawda mówił, że zdyktował to dobrze, ale obejrzeliby to tylko na podglądzie. Jeśli po prawej stronie

było za mało światła, to nie będzie widać szczegółów i wszystko wezmą diabli. Tam najważniejsze były szczegóły.

„Cholera! Gdy myślę o tym, niepotrzebnie się denerwuję” - stwierdził i wrócił do rzeczywistości na dźwięk nazwiska Torrucci.

19

- ... ojciec nie chce sfinansować mu filmu i płacić za niego długów karcianych.

A więc Tony Torrucci, syn producenta, miał te same kłopoty, co przed trzema i pięcioma laty i zapewne jak zwykle wszystko rozejdzie się po kościach - tatuś w końcu za niego zapłaci. Ned uśmiechnął się kwaśno; nie lubił tego trzydziestolatka, który uważał, że pozycja ojca czyni go nietykalnym. Tony był opryskliwy i zarozumiały, w dodatku wszystko w życiu dostał w prezencie, a przynajmniej tak uważał Ned. Tony natomiast uważał, że Ned podstępem wkradł się w łaski jego ojca i zdobył pieniądze na kręcenie filmu. Przed rokiem ojciec odmówił Tony'emu sfinansowania jego produkcji, więc przychylnie potraktowanie Edgara było solą w oku. Niemal każde spotkanie „młodych gniewnych” kończyło się nieprzyjemną wymianą zdań i w miarę upływu czasu konflikt nasilał się.

Podano jedzenie, ale Ned nie potrafił zbyt długo utrzymać myśli na chwili obecnej. Przez jakiś czas słuchał rozmowy Pat z Gabriellą, a potem wrócił do swojego filmu. Montaż! W zasadzie nie powinien się tym przejmować. Alp Malinsky podmontował już film według planu, który sam mu podał i nawet gdyby nie dostał już żadnych wskazówek, to z pewnością, z właściwym sobie wyczuciem, nadałby mu ostateczny kształt. Ned nie wyobrażał sobie jednak, jak mógłby powierzyć swoje „dziecko” komukolwiek, nawet jeśli był on świetnym fachowcem. Ned zamknął w tym filmie część własnej duszy i musiał dopilnować, żeby ostateczny kształt był zgodny z jego marzeniem. Zbyt często wyświetlał ten film we własnym umyśle cyzelując każdą scenę, by teraz, w decydującej fazie produkcji, zaufać komukolwiek.

Dopiero po dłuższej chwili poczuł, że ktoś trąca go w ramię. Ocknął się gwałtownie i jak zwykle, gdy wynurzał się ze świata własnej wyobraźni, rozejrzał się niezbyt przytomnie. Pat wpatrywała się w niego.

20

_ Dobrze się czujesz? - zapytała.

Ned spojrzał na pusty talerz, na którym ciągle jeszcze kreślił widelcem surrealistyczne wzory, przeniósł wzrok na przypalającą właśnie papierosa Gabriellę, na wiecznie milczącą Jennifer i stwierdził, że znosił ich towarzystwo wystarczająco długo.

- Jestem zmęczony! - stwierdził krótko.

- Chcesz wracać? - Pat wydawała się nie mieć nic przeciwko temu.

- A może Ned pojechałby do domu sam, a my później odwieziemy Pat?

Propozycja Jennifer była raczej zaskakująca biorąc pod uwagę, że Ned nie pamiętał, kiedy ostatnio słyszał jej głos, nie mówiąc już o wyrażeniu własnego zdania.

- Jak lhożesz w ogóle proponować coś takiego? - karcący głos Gabrielli był pełen oburzenia. Cała jej postać podkreślała niestosowność propozycji Jennifer, choć Ned nie dałby złamanego grosza za wiarygodność jej oburzenia. Znał ją na tyle, by wiedzieć, że gdyby wpadła na ten pomysł pierwsza, uważałaby go za rewelacyjny.

- Pat przyszła tutaj z Edgarem i razem z nim wyjdzie.

Ned wyobraził sobie, że Gabriella to Patrycja za trzydzieści lat - w tym kapeluszu, z takimi manierami i sposobem bycia. Gdy spojrzął na Pat, mimo woli uśmiechnął się. Ten pomysł był tak absurdalny, że nie mógł inaczej zareagować.

- Dlaczego się śmiejesz?

- Nic takiego! - odparł i patrząc na Gabriellę dodał: -Wybaczą panie, ale dzisiejszy wieczór trwa dla mnie już zbyt długo.

Była to niemal impertynencja, ale tak właśnie miało to zabrzmieć. Zdanie to było wystarczająco dwuznaczne, by nie mogło być uznane za grubiańskie, a równocześnie dało mu to pewną satysfakcję za popsuty wieczór.

21

Ned skinął na kelnera.

- Czy płaci pan za cały stolik?

Ned dostrzegł zaniepokojone spojrzenie Gabrielli. Na pewno jak zwykle nie miała pieniędzy. Wyobraził sobie, jak zostałby obsmarowany, gdyby nie zapłacił również za nią i przez chwilę chciał ulec pokusie wywołania tej burzy. Nie zależało mu na jej opinii, a mógłby w ten sposób zrewanżować się za popsuty wieczór. Ale gdy popatrzył na nią, zrobiło mu się jej żal. Starzejąca się aktorka, która nigdy nie stała się gwiazdą, choć zagrała wspaniałą rolę w Dzikich ptakach Parkera. „Co tam długi” - pomyślał. -Choćby za tę kreację sprzed lat mógł jej postawić kolację.

- Za stolik! - rzucił krótko i puścił oko do Gabrielli. -Idziemy Pat?

- Do widzenia, Gabi! Do widzenia Jeni! - Na pożegnanie dwa głośne cmoknięcia.

- Musimy koniecznie jeszcze się spotkać! - kategorycznie oświadczyła Gabriella. - Mamy sobie jeszcze tyle do opowiedzenia.

„To już beze mnie!” - pomyślał Ned, czując nieprzyjemny dreszcz. Chyba nie przeżyłby jeszcze jednego takiego spotkania.

- Moje uszanowanie paniom! - Szarmancki ukłon, który wykonał, bardziej kojarzył się z cyrkiem niż teatrem. Podał ramię Patrycji i dostojnym krokiem poprowadził ją ku wyjściu.

- Nie lubię, gdy tak błaznujesz! - stwierdziła Pat, gdy wyszli z lokalu. - To są moje przyjaciółki.

- Głupie stare kwoki! - Nedowi nie spodobał się ten atak. - Są nudne jak flaki z olejem.

- Za to ty jesteś strasznie rozrywkowy! - podsumowała z wyrzutem. - Najpierw kłócisz się z Gabi, potem siedzisz naburmuszony i nie raczysz się nawet odezwać, a na koniec jesteś niegrzeczny.

22

- Ciekawe, czy okazałbym się bardziej niegrzeczny, gdybym nie zapłacił za nie rachunku?

Wsiadli do taksówki i Ned podał adres mieszkania Patrycji. Patrząc na jej zadarty noseć nie miał wątpliwości, że była na niego obrażona. Westchnął ciężko; jego radość, że uwolnił się od towarzystwa Gabrielli, była przedwczesna; jej cień nadal go prześladował. Pat była zła, że nie udawał, że dobrze się bawił. Być może trochę przesadził, ale czy był to powód do kłótni? Czy jakaś plotkarka miała stać się powodem awantury? Nie chciał tego. Wyciągnął dłoń i dotknął policzka Patrycji. Odsunęła się. Odnalazł jej dłoń i mimo oporu przyciągnął ją do siebie. Gdy zaczął gładzić jej włosy, Pat stopniowo poddała się pieścizocie. Tak dojechali na miejsce.

- Cz^pomimo że dopuściłem się tak straszliwych zbrodni, mogę prosić o audiencję? - zapytał, gdy stanęli na chodniku.

- No, nie wiem! Nie wiem! - jej głos mówił jednak, że wie.

Ned uniósł dłoń jak do przysięgi.

- Obiecuję, że nie zrobię niczego niestosownego.

- A co mógłbyś zrobić? - zapytała udając zdziwienie.

- Ja? Nic! To było tylko takie formalne zastrzeżenie.

- Jeżeli tak, to możesz.

Ned zrobił krok w stronę wejścia.

- A ty dokąd?

- Do ciebie!

- Na razie zgodziłam się tylko, żebyś mnie o to poprosił. Myślę, że jesteś zbyt zarozumiały sądząc, że na pewno się zgodzę.

- A masz zamiar nie zgodzić się? - przymrużył oczy.

Pat roześmiała się. - Nie! Ale mógłbyś przestrzegać etykiety.

Uśmiechnął się. Wszystko wróciło do normy. Widział w jej oczach iskiereczkę żartu i sam też miał ochotę błaznować.

23

Padł na kolana i obejmując jej nogi, zapytał zduszonym głosem: - Czy wasza wysokość uczyni ten zaszczyt najpo-śledniejszemu ze swych sług?

- Wstań! Ludzie patrzą!

- Zgadzasz się?

-Tak! Wstawaj!

Ned zauważył przyglądającego się im starszego dżentelmena.

- Dlaczego nie oddał pan pokłonu cesarzowej Abrusa-manu? - natarł na niego ostro. - Czy chce pan wywołać dyplomatyczny kryzys?

Mężczyzna widząc jego groźną minę oddalił się szybko, kilkakrotnie oglądając się za siebie.

Pat śmiała się. - Edgarze Gratiano, jesteś niemożliwy! Ale bardziej niż na ambasadora nadajesz się na błazna.

- Mogę być błaznem, jeżeli błazen ma wstęp do sypialni cesarzowej?

- Bezczelny!

Gdy weszli do mieszkania, Ned włączył nastrojową muzykę i przygasił światło. Pat podeszła podając mu drinka i chciała coś powiedzieć, ale nie zdążyła. Ned zakrył jej usta pocałunkiem. Objął ją i kołysząc się w rytm muzyki, gładził jej ramię i całował... całował... aż jej pełne, wilgotne usta oddały mu pocałunek. Każde zetknięcie ust płoszyło myśli i wzmagało pragnienie. Nagle film stał się nieważny; Falstaff, Gabriella przestali istnieć, była tylko Pat i jej coraz gwałtowniejsze pocałunki, których nigdy nie miał dość.

Po omacku odstawił drinka i gładząc jej ciało zaczął ją rozbierać. Gdy sunąc dłońmi wzdłuż jej talii, bioder, ud zdjął z niej suknię, zapytała lekko ochryłym głosem:

- Co robisz?

- Ja? - udał zdziwienie. - Nic.

- Ach! - jęknęła cicho. - Więc to nazywa się nic.

24

Nie odpowiedział. Zrzucił marynarkę i przytulił się do Pat. Chciał być blisko niej, bliżej, jeszcze bliżej. Każdy skrawek materiału oddzielający ich ciała był zamachem na jego szczęście. Rozbierał ją więc nadal tuląc się do jej ciała i dopiero, gdy była zupełnie naga, uniósł ją lekko i położył na łóżku.

Błyskawicznie rozebrał się sam nawet na chwilę nie odrywając wzroku od jej ciała. Zawsze, gdy zamykał oczy, potrafił tak dokładnie wyobrazić sobie jej twarz, pełne wargi, jędrne piersi, biodra, wspaniałe nogi, że prawie czuł jej obecność; ale gdy miał ją tuż, na wyciągnięcie dłoni, lękał się, że gdy zamknie oczy, ona zniknie, rozwieje się jak senne marzenie. Dlatego, gdyby mógł, nigdy nie wypuszczałby jej z ramion i dlatego położył się tak szybko, przykrywając sobą jej piękne ciało.

Odszukał jej usta i musnął je pocałunkiem dziękując, że jest tu z nim i że może... ją pocałować jeszcze raz. Łagodnie rozchylił jej wargi i wdarł się w nie z dziką gwałtownością. Oddała mu ten pocałunek z właściwą sobie zmysłowością i spleciony z nią w objęciach Ned poczuł, jak bije jej serce, usłyszał własny puls i nie był już pewien, czy są jeszcze dwiema istotami, czy stali się już jedną. Chciał, by tak się stało; zapragnął oddychać jej ustami, czuć jej zmysłami i pragnął, by zostało tak już na zawsze.

Gdy w końcu oderwał się od jej ust, brakowało mu tchu. Był pijany szczęściem i niemal zamroczony, był jej niewolnikiem. Był we władzy pożądania, które wzmogło się, gdy położył dłoń na wzniesieniach jej piersi. Dla niego były one oddzielnym, tajemniczym bytem. Ich aksamitny dotyk, przyjemny chłód, ich kształt przyciągały go jak magnes. Gdy ich dotykał, czas zatrzymywał się i Ned zawieszony między przeszłością i przyszłością gładził je, ścisnął, pieścił, całował. Rozkoszował się nimi tak, jak spragniony pierwszym łykiem wody. Tylko że jego pragnienie rosło z każdą chwilą.

25

Opuścił je z żalem ociągając się, a jego dłonie pozostały na nich, gdy całował jej brzuch. Podążał w stronę skrytego wśród drobnych włosów celu swej podróży, coraz bardziej rozpalony, coraz bardziej podniecony. Gdy tam dotarł i zanurzył twarz w lekko skręconych włosach, drgnęła; gdy przeniknął przez nie i dotknął jej ciała językiem, wstrząsnął nią dreszcz. Była ciepła, wilgotna i trochę kwaśna - dokładnie taka, jaką pamiętał.

Delikatnie, powoli, ostrożnie pieścił ją rozpoczynając wędrówkę w świat tworzony przez ich ciała i zmysły. Podążał drogą, którą znał na pamięć, a za każdym razem była inna. To była droga do świata, gdzie marzenia stają się rzeczywistością, gdzie serca biją jednym rytmem, a zmysły przenikają się wzajemnie. Chciał ją zaprowadzić tam, gdzie rozkosz odbierze jej myśli. Wstuchiwał się w jej ciało i każdy jej ruch był dla niego słowem, każde drgnienie - wskazówką.

Ostatnie chwile! Chwile przed spełnieniem! Pełne napięcia, gorączki, podniecenia. Chwile prawdziwe, oczyszczone namiętnością i szaleństwem. Na moment przed oślepiającym błyskiem zmysłów, który niósł rozkosz, by potem cisnąć o ziemię, tworzyli jedno ciało, jedną duszę. Ned czuł, że nie dzieli ich już nic, czuł, że są jednością.

Jej palce zacisnęły się na jego barkach i razem, jednym spazmatycznym ruchem wyrwali się z realnego świata.

Drżenie ud! Skurcz dłoni! Jęk, śmiech, łkanie! Rytm serca, coraz szybszy i szybszy! Dziki pęd myśli! Niebo, gwiazdy, przestrzeń! Rozkosz, światło, ból, ekstaza i... cisza i spokój. Powolne, łagodne opadanie, delikatny błękit nieba, spokojna biel piasku, ciepło majowego słońca i... żal, że znów na ziemi.

Leżeli wyczerpani zawieszani gdzieś w przestrzeni pomiędzy niebem i ziemią... było mu tak dobrze, że gdyby miał

teraz umrzeć, nie sprzeciwiłby się. Był po prostu szczęśliwy.

* * *

26

Gdy cztery tygodnie później ukończył montaż, także był szczęśliwy i... tak wyczerpany, że nie miał siły, żeby się cieszyć. Dopóki pracował nad filmem, nie miał czasu, by odczuwać zmęczenie - żył filmem, który zastępował mu powietrze i pożywienie, a pasja zastępowała sen. Był opętany pracą i to dodawało mu siły. Codziennie spędzał w wytwórni po kilkanaście godzin, a czasem nie wychodził z niej przez dwa albo trzy dni. Przerabiał poszczególne sceny po kilka razy, zmieniając ich długość i wybierając najlepsze powtórki. A potem znów przeklinał tę pracę, gdy pomimo zmontowania

najlepszych ujęć, całość przedstawiała się dużo gorzej niż powinna. Ogarniało go wówczas zniechęcenie, przygnębienie, zwątpienie, ale szybko zagłuszał te uczucia rzucając się w wir pracy ze zdwojoną energią i w końcu po kilku, czasem kilkunastu poprawkach całość prezentowała się dokładnie tak jak film w jego głowie.

Ostatnim sędzią był Alp Malinsky - montażysta o trzydziestoletnim doświadczeniu, którego krótkie OK było wyrazem najwyższej aprobaty. Kiedy na twarzy Alpa pojawiał się delikatny uśmiech, Ned cieszył się jak dziecko. Gdy Alp był zadowolony z montażu, oznaczało to jedno - zrobione perfekcyjnie. To dodawało Edgarowi sił. Potrzebował potwierdzenia, że zmierza we właściwym kierunku, zwłaszcza teraz. Praca nad filmem działała na niego jak narkotyk i czasem obawiał się, że stracił kontakt z rzeczywistością. Czasem pojawiał się lęk, że to, co uważał za doskonałe, było tylko majaczeniem. Dlatego opinia, tak konkretnego i twardo stąpającego po ziemi fachowca jak Alp, była czymś więcej niż drogowskazem.

Pracując Ned zapominał o upływie czasu. Jedynym światem, który teraz istniał, był świat stworzony w filmie. Ned zanurzył się w nim całkowicie i wszystko na zewnątrz przestało istnieć. Jakaś przemożna siła pchała go do jeszcze szybszej i intensywniejszej pracy, a im bardziej

27

jej się poddawał, tym bardziej przenosił się do świata własnej wyobraźni. Dlatego gdy skończył montaż, czuł się jak nurek, który wynurzył się z głębin; był zdezorientowany, zmęczony i wypalony. Osiągnął cel, dla którego gotów był na nadzwyczajny wysiłek i nagle poczuł się słaby, zagubiony i samotny. Jak maratończyk na linii mety, zdziwiony, że udało mu się dobiec, ale chwiejący się na nogach i z trudem wykonujący każdy krok, choć jeszcze przed chwilą biegł w tempie nieosiągalnym dla zwykłych śmiertelników.

To wszystko, czym żył przez ostatnie tygodnie, nagle stało mu się obce i wrogie. Film miał już swój kształt, stał się samodzielnym bytem; pępowina łącząca z nim Edgara została przecięta. Teraz inni zajmą się jego reklamą, dystrybucją i zadbają, żeby stał się kasowym sukcesem. Edgar nie miał już nic do zrobienia, no może jeszcze tylko kilka spotkań, kilka przyjęć, ale tak naprawdę był już zupełnie niepotrzebny. Zawarł w tym filmie część siebie, być może najlepszą. Teraz pozostała w nim pustka, której sam nie potrafił zapełnić. Mogła to zrobić tylko jedna osoba - Ned wyszedł ze studia mając w głowie wyłącznie jej imię - Patrycja.

Sięgnął po komórkę, ale nie wybrał jej numeru. Od zakończenia zdjęć, poza kilkoma krótkimi zdaniem, prawie ze sobą nie rozmawiali. Spotkali się raz, a i wtedy Ned był zbyt zajęty myśleniem o filmie, by poświęcić jej więcej uwagi. Czy mogła mieć o to żal? Chyba nie. Ale nie chciał teraz słyszeć jej głosu przez telefon; chciał ją zobaczyć, powiedzieć jak bardzo ją kocha, przytulić się do niej. Potrzebował jej bliskości, jej ciepła... Zaczął biec i biegnąc uśmiechał się do siebie.

Uśmiechał się, bo wiedział, że jej dotyk rozwieje wszystkie złe myśli. W myślach już jej opowiadał, co udało mu się zrobić...

- Żeby tylko była w domu - pomyślał naciskając dzwonek. Chwila niepewności i... zgrzyt zamka niosący

28

zapowiedź szczęścia. Ale, gdy drzwi się otworzyły, Ned przekonał się, że zapowiedź była fałszywa. Znał Pat na tyle, by wiedzieć, kiedy jest zła; dziś była wściekła jak osa.

- O! Witam geniusza! - zawołała, zanim otworzył usta. - Co za zaszczyt! W końcu przypomniałeś sobie o mnie?

Ned zmarszczył czoło, próbując zebrać myśli.

- O co ci chodzi? - zapytał.

- Mnie? O nic! Jestem wniebowzięta, że mnie odwiedziłeś! - powiedziała drwiąco.

- Pat! Proszę cię! Przestań! - głos mu się załamał. - Jestem zmęczony. Właśnie skończyłem montaż i...

- Ach, tak? Brawo! Czy z tej okazji spotka mnie ten zaszczyt i będę mogła z tobą porozmawiać? A może nawet pójdziemy do łóżka?

- Czy możesz przestać?

- Mogę!!!

- A czy możemy rozmawiać spokojnie? - zapytał, próbując położyć dłoń na jej rękę.

- O czym? - odsunęła się gwałtownie. - O tym, że przez miesiąc spotkaliśmy się jeden raz, a ty nawet wtedy nie pomyślałeś o tym, żeby zapytać, co u mnie? Równie dobrze mogłabym nie istnieć, a ty byś tego nie zauważył!

- Pat, nie przesadzaj - poprosił zmęczonym głosem. - To tylko jeden miesiąc. Mamy przed sobą całą wieczność.

- Doprawdy? To może mi powiesz, co ja miałam w tym czasie robić? Spać? Oglądać telewizję?

-Ja... - chciał jej wytłumaczyć, powiedzieć, co czuł, gdy tu biegł, ale stracił na to ochotę. To brzmiałoby teraz śmiesznie i przypominałoby żalosną próbę usprawiedliwienia się. A on nie czuł się winny.

- Musiałem go przecież zmontować - powiedział tylko i nie potrafił dodać już nic więcej. Miał tylko nadzieję, że sama domyśli się, jak bardzo jej teraz potrzebuje.

29

- I nie mogłeś znaleźć nawet kilku godzin dla mnie? - ton jej głosu pozbawił go złudzeń. - Jeśli ten film jest dla ciebie ważniejszy ode mnie, wybac, że ci przeszkadzałam! Więcej nie będę!

Ned zacisnął usta i z trudem powstrzymał wybuch.

- Kocham cię! - powiedział to jak zaklęcie.

Pat spojrzała na niego tak, żeby w pełni odczuł ciężar swej winy.

- Wybac, ale jestem teraz bardzo zajęta! Nie mam czasu!

Przez chwilę chciał jeszcze coś powiedzieć, ale w końcu odwrócił się tylko na pięcie i wyszedł trzaskając drzwiami.

Gdy znalazł się na ulicy, był wściekły, ale po kilku krokach cały gniew ulotnił się jak poranne mgły. Pozostał tylko żal i przytłaczające uczucie samotności, od którego nie miał już do kogo uciec. Czuł się jeszcze mniejszy i słabszy niż przed godziną, jak ktoś, komu odebrano ostatni azyl lub odmówiono aktu łaski. Ale czy mógł mieć do niej o to pretensje? Była zła, że nie spędzali ze sobą czasu, bo go kochała. Brakowało go jej, tęskniła za nim, a teraz to po prostu okazała. Tylko dlaczego w ten sposób? Przecież wiedziała, co robił, wiedziała, ile ten film dla niego znaczył. Czy nie mogła...?

Zatopiony w myślach nawet nie zauważył, kiedy przeszedł przez park i dopiero gdy znalazł się w pobliżu placu Gwiazdzistego, obudził go uliczny gwar. Ciepła sierpniowa noc sprzyjała interesom, zabawie i miłości. Czule objęte pary, prostytutki czekające na klientów, narkomani snujący się bez celu. Wszystko to w świetle neonów i reklam, narzucających nocy swój własny, pulsujący rytm. Nocny świat, w którym kobiety i mężczyźni, dziewczyny i chłopcy bawili się, kochali i cieszyli życiem. Ten rytm miasta nie był mu obcy, czasem go nawet pociągał, ale nie dziś. Dzisiaj nie potrafił w tym świecie znaleźć sobie miejsca. Choć

30

był tu pomiędzy nimi, byli mu obcy, a ich obecność potęgowała jedynie uczucie osamotnienia. W tym tłumie, który dokądś spieszył, czegoś szukał, przed czymś uciekał, nie było nikogo, kto zechciałby podzielić z nim samotność.

- Może wstąpisz do mnie?

Obejrzał się. Była młoda, całkiem ładna i uśmiechała się zachęcająco. Ned przyglądał się jej przez chwilę. Gdyby poszedł z nią, nie musiałby stawiać czoła tej nocy samotnie. Przynajmniej nie byłby sam, ale czy właśnie tego potrzebował? Zbyt dobrze znał to uczucie, gdy budząc się rano obok jakiejś kobiety nie miał ochoty spytać jej o imię, żeby liczyć na coś więcej niż chwilę zapomnienia. Ale dlaczego nie? Dlaczego nie zapomnieć? Sięgnął do kieszeni, żeby sprawdzić czy ma pieniądze i zawahał się. A Patrycja? Jedna kłótnia nie zmieniła nic./wciąż była jedyną osobą, której potrzebował bardziej niż powietrza. A teraz miał pójść z tą dziewczyną... Spojrzał na nią, na jej twarz i nagle stwierdził, że patrzy w oczy Pat. Ten sam wykrój oczu, te same zawinięte rzęsy, to samo spojrzenie. Spojrzenie, którego czarowi nie potrafił się oprzeć.

Wyjął pieniądze i podał dziewczynie na wyciągniętej dłoni. - To wszystko, co mam - powiedział wiedząc, że nie jest tego zbyt wiele.

Uśmiechnęła się i skinęła głową.

Zaprowadziła go do małego czystego mieszkanka. Gdy patrzył na nią, wciąż porównywał ją z Patrycją. Rozebrała się tak, jak zazwyczaj robiła to Pat - bez pośpiechu i naturalnie, ale gdy położyła się na łóżku i skrzyżowała nogi w kostkach, Ned potrząsnął głową - Pat tego nie robiła.

Kochali się spokojnie, bez nerwowego pośpiechu, za to w sposób wyrafinowany i elegancki zarazem. I chociaż to Ned narzucił ten styl, nie czuł się z tym dobrze. Myślał wciąż o tym, że tak właśnie często kochał się z Pat. Czasami myślał nawet, że kocha się z nią, ale wtedy ta dziewczyna-

na robiła coś, co rozwiewało to złudzenie. Jej jęknięcia i westchnienia wydały się sztuczne - były inne niż Patrycji. Drżenie jej ciała - zbyt wystudiowane, bo Pat drżała inaczej. Jej pocałunki zbyt chłodne - Pat całowała inaczej. I cały czas miał wrażenie, że podziwia grę; doskonałą grę, w której każdy ruch jest wyćwiczony i jest powtórzeniem wyuczonyj roli.

„Po co tu przyszedłem?” - ta myśl pojawiła się, zanim narastająca fala podniecenia podniosła mu tętno, przyspieszyła oddech i oczyściła umysł z wszelkich rozterek. Przez moment jego umysł i ciało zdrząły w jednym spazmatycznym skurczu i to był koniec.

Leżał przez chwilę uspokajając się, ale z każdym oddechem coraz natrętniej powracała ta myśl - „Po co ci to było?”. Ta chwila zapomnienia, po którą tu przyszedł, trwała zbyt krótko i nie była nawet namiastką prawdziwej ekstazy. Teraz czuł się podle. Nie wiedział, co powiedzieć dziewczynie, więc ubrał się szybko i nawet na nią nie patrząc wyszedł, a właściwie wybiegł z mieszkania.

Wypadł na ulicę i zaczął biec. Chciał uciec przed wspomnieniem tego wieczoru, chciał uciec przed sobą. Był zmęczony, rozdygotany i biegnąc chciał znaleźć wewnętrzny spokój. Biegł szybko tak, żeby bicie serca zagłuszyło myśli, żeby pulsująca krew uwolniła go od lęku.

Opamiętał się dopiero po przebiegnięciu mili. Zatrzymał się i oparł głowę o mur, wsłuchując się w gwałtowne bicie serca. - „Mogłoby pęknąć” - zapragnął przez chwilę, zanim uspokoił się na tyle, żeby swobodnie oddychać. Gdyby miał tyle odwagi, poszedłby teraz do Pat, by prosić o tę noc. Było mu źle i potrzebował jej, ale nie potrafił się na to zdobyć.

Ciężkim krokiem ruszył do domu.

* * *

Noc! Długa samotna noc!

Gdy ocknął się z niespokojnej drzemki, światło dnia wpadające przez okno było jedynie nikłym odbiciem letnich, pogodnych dni. Dzień, tak jak on, budził się zmęczony, ponury, pochmurny. Świat pograżył się w melancholii, płacząc drobnymi kroplami deszczu. Ned patrzył na strumyki wody spływające po szybie, na ospale przepływające ciężkie, ołowiane chmury, na szary mokry świat i smutek natury przygnębiał go. Leżał więc przygnieciony ciężarem chmur i własnych myśli i nie miał sił, żeby zacząć nowy dzień.

Znał ten stan. Przychodził zawsze, gdy po ukończeniu pracy pojawiała się próżnia. Zmęczenie i równoczesne rozluźnienie wywoływały stan apatii, a teraz w dodatku miał kaca po wczorajszyimi wieczorze. Dlaczego był tak głupi, żeby szukać pocieszenia u prostytutki? Zacisnął powieki i zakrył twarz dłońmi. Chciał to zapomnieć, chciał, żeby wczorajszy wieczór był tylko snem, ale nie był. Pamiętał każdą minutę i wiedział, że gdyby przez to stracił Pat... Zerwał się z łóżka i sięgnął po telefon. Chciał jej powiedzieć jak bardzo ją kocha, ale... zgłosiła się tylko poczta głosowa. Dreszcz równie porażającego, co nierealnego przypuszczenia, że Pat wie o jego wizycie u prostytutki, przebiegł mu po plecach. I choć wiedział, że jest to niemożliwe, lęk zmusił go do ubrania się i wyjścia z

domu. Musiał spotkać się z Pat, musiał się z nią zobaczyć. Dopiero wtedy, gdy upewni się, że wszystko jest jak dawniej, przestanie się bać.

Gdy stanął przed drzwiami jej mieszkania, jego serce drżało w rytmie niepewności. Bał się zadzwonić, bo Pat mogła być w środku, a wtedy mogły potwierdzić się jego najgorsze przypuszczenia lub mogło jej nie być, a wtedy jego samotność i smutek musiałyby zostać z nim na dłużej. Gwałtowny skurcz serca, gdy w końcu zdobył się na to, że-

33

by nacisnąć dzwonek i sekundy oczekiwania dłużyć się nieznośnie, zamieniające się w minuty... godziny... wieczność i... ulga i żal, że nikt mu nie otworzył.

Sięgnął po telefon i wybrał jej numer; ale zgłosiła się tylko poczta głosowa.

Nie czuł kropli spływających mu po twarzy, nie widział ludzi kryjących się pod parasolami; szedł do domu powłóczęgając nogami, pogrążony w myślach, w szarości dnia, przygniatającym poczuciu niemocy. Przy Pat czuł się czymś więcej niż był w rzeczywistości, bez niej był mały i zagubiony, i niepewny siebie.

Gdy wrócił do mieszkania, rzucił się na łóżko w przemoczonej ubrani nie marząc o niczym więcej niż o tym, by zobaczyć ją i usłyszeć jej głos.

Czas sączył się i kapał wolniej niż jego myśli, które płynęły leniwym nurtem obok świadomości. Od czasu do czasu jakaś ich drobna, zabłąkana odnoga przebijała się, próbując zburzyć mur obojętności i przygnębienia i ginęła przywalona ciężarem apatii i bezsilności. Bez Pat świat wydawał mu się szary, bez kolorów, jak czarno-biały film.

Przypomniawszy sobie o dzisiejszej projekcji swojego filmu i skrzywił się. Cóż go to obchodziło, że będzie to pierwszy publiczny pokaz? „Chyba tam nie pójdę!” - pomyślał i zawahał się. Przecież tam pojawią się również aktorzy, a więc także Pat... Nie dokończył myśli; jakaś potężna siła wyrzuciła go z łóżka, a bezładny pęd myśli porwał go i zmusił do ruchu. Ned nie mógł znaleźć miejsca, w którym choć na chwilę pozbyłby się narastającego podniecenia, wywołanego nadzieją na spotkanie z Pat. Próbował coś czytać, oglądać telewizję, ale jedyną rzeczą, która przykuwała jego uwagę, były wskazówki zegara. Gdyby mógł przyspieszyć ich ruch! Gdyby mógł sprawić, by dzisiejszy wieczór nadszedł wcześniej, by godziny zamieniły się w minuty. Lecz im bardziej tego pragnął, tym każda minuta wydawała się

34

dłuższa i dłuższa i w końcu, gdy złośliwa powolność zegarów stała się nie do zniesienia, Ned uciekł z domu.

Wolał nie zjawiać się w wytwórni zbyt wcześnie, żeby znów nie poddawać się chorobliwej potrzebie odliczania sekund, więc ruszył na czterogodzinny spacer po mieście oczyszczonym deszczem i rozświetlonym pierwszymi, nieśmiałymi promieniami słońca przebijającymi się przez umykające deszczowe chmury. Zaczął się zastanawiać, co powinien powiedzieć Pat najpierw? Czy powinien jej mówić o tym, co zdarzyło się wczoraj? Miarowy krok, świeże powietrze i zieleń parku, w którym odbył większą część spaceru, uspokoiły go nieco, ale gdy skierował się w stronę wytwórni, fala podniecenia ogarnęła go ze zdwojoną siłą.

Gdy znalazł się w korytarzu prowadzącym do sali projekcyjnej, serce waliło mu jak młot.

Przy drzwiach prowadzących na salę czekał na niego Alp Malinsky. Ned zatrzymał się przed nim i nie zważając na to, że Alp chce mu coś powiedzieć, gwałtownie, jednym tchem zapytał:

- Czy jest Patrycja?

Alp spojrział na niego ze zdziwieniem i przecząco pokręcił głową.

- Nie! - powiedział po prostu i to jedno słowo odebrało Nedowi nadzieję. - Może przyjdzie później - Alp nieświadomie go pocieszał.

Ned spojrział na zegarek. Było jeszcze wcześniej, ale przecucie mówiło mu, że Pat tu dziś nie przyjdzie. Czuł to każdą komórką ciała, choć bardzo chciał, żeby się mylił.

Dopiero po dłuższej chwili zauważył, że Alp coś do niego mówił i teraz czeka na odpowiedź.

- O co pytałeś? - zapytał budząc się z letargu.

- Co się z tobą dzieje? - Alp popatrzył na niego podejrzliwie. - Brałeś coś?

35

Ned przecząco pokręcił głową. Nigdy nie szukał ucieczki w narkotykach.

- W takim razie pozbieraj się i przygotuj do walki! Fal-staff wychodzi ze skóry, żeby zmieszać cię z błotem, a Tor-rucci i cała reszta słuchają tego z otwartymi ustami - Alp zawiesił na chwilę głos. - Pamiętaj, że zrobiłeś świetny film i nikt nie może ci tego odebrać. Ty już wygrałeś! I nie zmieni tego niczyje głupie gadanie.

Ned, gdy zrozumiał, że chodzi tu o jego film, momentalnie oprzytomniał, a na dźwięk nazwiska Falstaffa ogarnął go niepokonany gniew. Jeśli Falstaff znów zaczął mu bruździć... Był gotów walczyć o swój film ze wszystkich sił. Z tym postanowieniem, w bojowym nastroju wszedł na salę i... cała odwaga w jednej chwili ulotniła się. Falstaff rozmawiał z Torruccim w otoczeniu kilku osób, wśród których byli Walter i Tony. Najwyraźniej rozmowa ta dla wszystkich obecnych była bardzo zajmująca. Gdy Ned wszedł na salę, głosy umilkły i wszystkie spojrzenia skierowały się na niego. Ned patrzył na te twarze, na uśmiechy i zdawało mu się, że dostrzega w nich wrogość, drwinę, szyderstwo. Poczul się jak skazaniec, który już przed rozprawą dowiedział się, że zostanie ścięty.

„Jeśli Alp wyszedł specjalnie po to, żeby mnie przygotować, to musi być bardzo źle - pomyślał i ogarnęła go panika. - A jeśli mój film wcale nie jest taki świetny?”

Wątpliwości, co do własnej wartości, talentu, które pojawiały się tak często, teraz korzystając ze sposobności wypełzały z ukrycia i wywoływały lęk i chęć ucieczki. Pokusa, by uciec stąd, wydawała mu się tak ponętna, że nie wiedział, dlaczego się jej jeszcze opiera? Przecież to było takie proste - zostawić ich wszystkich i uciec. Zostawić te twarze, te spojrzenia... Właśnie zamierzał to zrobić, gdy z wyciągniętą dłońią podszedł do niego Torrucci.

36

- Cieszę się, że cię widzę, Ned! Wszyscy czekamy na ciebie! - Torrucci objął go ramieniem, uniemożliwiając mu odwrót, i poprowadził do czekających na niego ludzi. Został przedstawiony kilku osobom, ale sam usłyszał tylko jedno nazwisko - Morison. To wystarczyło, by chęć ucieczki stała się jeszcze silniejsza. Morison - człowiek legenda; zaczynał jako operator, pisał scenariusze, by po kilkunastu latach stać się jednym z największych producentów. Ten człowiek wiedział o filmie wszystko. Z łatwością w każdym obrazie mógł wskazać miejsca, w których scenarzyście zabrakło pomysłu, gdzie zbłądził reżyser i którą scenę można było nakręcić taniej. Ten człowiek mógł go zniszczyć jednym zdaniem.

Poza Morisonem obecny był również, doskonale Nedowi znany przyjaciel Jorrucciego, Martin Berghof. Ten, co prawda ostatnio zrezygnował z reżyserowania na rzecz pisania wspomnień, ale po nakręceniu w swoim życiu czterdziestu filmów raczej nie zapomniał jak to się robi. Pozostałych Ned nie znał, ale z pewnością byli to wspólnicy Torrucciego. Nie wyglądali na ludzi, którzy przyszli tu chłonąć wartości artystyczne. To byli po prostu biznesmeni, którzy zainwestowali w film i teraz chcą sprawdzić notowania. Ned wyobraził sobie, co mogli myśleć, gdy Fal-staff wykonywał swą krecią robotę. Co działo się w ich umysłach przypominających kalkulatory, gdy słyszeli, że inwestycja jest niewypałem? Co myśleli o nim? Tego nie był pewien, ale wiedział, że jeśli oni wyjdą stąd rozczarowani, to następną okazję do zrobienia filmu może mieć za dwadzieścia lat.

- Ned, rozchmurz się! - Tomicci konfidencjonalnie poklepał go po ramieniu. - Nie wierzę, byś popsuł swój film tak bardzo, jak starał nam się to przedstawić pan Falstaff.

Sposób, w jaki Torrucci to powiedział, ton jego głosu wskazywały na jego sympatię do Neda, a to był chyba naj-

37

wspanialszy prezent, jaki młody reżyser mógł teraz otrzymać. Było jasne, że Torrucci, mimo zabiegów Falstaffa, nadal wierzył w Edgara.

- Możemy chyba rozpocząć! - zaproponował Torrucci.

Ned był tak podekscytowany, że w czasie pierwszych

minut projekcji nie potrafił skupić uwagi na filmie, ale gdy w końcu mu się to udało, każda kolejna obejrzana scena uspokajała go. Film był taki, jak sobie wymarzył i gdy rozbłyły światła, Ned nie czuł się już niepewnym stremowanym debiutantem; film dawał mu siły i wiarę w siebie. Był gotów walczyć z każdym, kto zakwestionowałby wartość jego dzieła. Gdyby ktoś powiedział mu teraz, że zrobił kicz, roześmiałby się w głos. A przynajmniej... tak mu się wydawało.

Gdy ucichła muzyka, a na sali nikt nawet się nie poruszył, Ned poczuł nieprzyjemny dreszcz. W głębokiej ciszy skradało się ku niemu zwątpienie i mimo całej buty, której przed chwilą był pełen, teraz nie znalazł tyle hartu ducha, by mu się oprzeć. Zamknął oczy. A więc porażka... Chciał stworzyć arcydzieło, a stworzył jakiś tandetny filmik. „Czy wyśmieją mnie?” - ta myśl była nie do zniesienia. Wolałby zapaść się pod ziemię, niż przeżyć coś takiego. Mógł znieść każdą drwinę, ale nie tę, która dotyczyła jego marzeń.

Gdy rozległy się oklaski, dopiero po dłuższej chwili zrozumiał, że są one wyrazem uznania, a nie szyderstwa.

„Podobało się im!” - pomyślał z pewnym niedowierzaniem i nagle, gdy oklaski przybrały na sile, zrozumiał: - „Wygrałem!”.

Gratulacje, pochwały, uściski dłoni i poklepywanie po plecach. Było to bardzo miłe, ale dopiero gdy, swoim zwyczajem, wtoczył się na niego Jim Macaulay, Ned usłyszał coś, co płynęło z głębi serca.

- Brachu! - dobroduszna twarz Jima była zaróżowiona, a oczy błyszczały silniej niż po kilku szkockich. - Od-

38

dałbym za niego największą szkocką, jaką kiedykolwiek widziałem!

Ned uściskał Jima. Znał wartość takiej pochwały płynącej z jego ust. W tych kilku słowach zawarte było więcej, niż we wszystkich wyszukanych pochwałach razem wziętych. Zwięzłość przekazu była niezwykła i tylko jeden człowiek potrafił to zrobić w bardziej niezwykły sposób. Gdy Dominik Torrucci stanął przed Nedom, nie powiedział nawet słowa. Niższy od Neda o głowę, zawsze elegancki, zawsze opanowany patrzył spokojnie w oczy Edgara i to spojrzenie mówiło wszystko.

- Mam nadzieję, że widzowie będą tego samego zdania, co my! - te słowa Torrucciego były jak zimny prysznic. Ned aż odsunął się nieco, ale wyraz oczu mężczyzny nie zmienił się ani na chwilę; nadal patrzył na niego z uznaniem i aprobatą, a te słowa... Te słowa miały tylko przypomnieć Nedowi, że nie należy zbyt mocno odrywać się od ziemi w samozachwycie, zanim widzowie - ten jedyny i ostateczny sędzia - nie wyrażą swej opinii głosując nogami.

- Co państwo na to? - Torrucci podniósł głos na tyle, żeby być słyszany w całej sali. - Po obejrzeniu tego filmu już wiem, co oznacza słowo geniusz. Oczywiście - tu zmienił ton i zrobił znaczącą pauzę - brakuje mi takiego doświadczenia, jakie mają niektórzy z nas - tu spojrzął na skulonego przy wyjściu Falstaffa, czym wywołał kilka uśmiechów. - Ale moim zdaniem, mówienie o błędach w przypadku tego filmu jest nie na miejscu.

Wszystkie spojrzenia spoczęły na Falstaffie.

Ten uśmiechnął się sztucznie, a jego twarz nabrała odcienia purpury. Czuł się ośmieszony i oszukany. Na myśl, że świadkami tej sceny było tak wielu liczących się ludzi, ogarniał go gniew. Ale na myśl, że Torrucci zrobił z niego kozła ofiarnego, żeby ratować film Gratiano, ogarniała go

39

wściekłość. Przecież gdy wskazywał błędy, które popełnił Gratiano, miał rację. Ten film był ich pełen. W zamian został potraktowany jak błazen. To była podłość. Wyszedł nie patrząc na nikogo.

Ned odprowadził go wzrokiem, ale w jego spojrzeniu nie było triumfu. To zwycięstwo wcale nie dało mu satysfakcji, wprost przeciwnie, zrobiło mu się żal Falstaffa. Czy była to jego wina, że nie znalazł swego miejsca w życiu, że stał się zgorzkniały i zawistny, ciągle ponosząc porażki? Ned wiedział, do jakiego stanu może człowieka doprowadzić pragnienie sukcesu, gdy nie udaje się go zaspokoić. Jak on sam wyglądałby za dwadzieścia lat, gdyby mu się nie powiodło? Czy nie dałby się zatruć goryczy? Czy

potrafiłby być życzliwy dla wszystkich tych pewnych siebie i zarozumiałych szczęśliwców, do których los się uśmiechnął?

Zanim zdążył sobie odpowiedzieć na te pytania, podszedł do niego Tony Torrucci.

- Moje gratulacje! - powiedział z sarkastycznym uśmiechem, a jego oczy nawet na chwilę nie zmieniły swego drapieżnego wyrazu. - Z pewnością zrobisz duże pieniądze! - dodał poklepując Neda protekcjonalnie.
- Co masz na myśli?
- Dobrze przetrawiona papka, dobrze się sprzedaje!
- Mówisz o filmie?

Tony roześmiał się sarkastycznie.

- A o czym innym mógłbym mówić? Mój tatuś znów trafił bezbłędnie! Od kiedy pamiętam, zawsze znajduje sobie jakiegoś żółtodzioba, który okazuje się „cudownym dzieckiem”, a ten robi dla niego kolejne szmirowate „love story”.

Ned zacisnął pięści. „Jak on śmie mówić coś takiego? Za kogo on się uważa?”. Z trudem powstrzymał się przed wybuchem. Wiedział jednak, że Tony'emu chodziło o wyprowadzenie go z równowagi. Nie zamierzał dać mu tej satysfakcji.

40

Wciągnął głębiej powietrze i nadając głosowi swobodne brzmienie rzucił: - Jeśli naprawdę tak uważasz, współczuję ci! - i ostentacyjnie odwrócił się.

Tym razem Tony miał ochotę rzucić się na Neda z pięściami. Reakcja Gratiano zaskoczyła go. Był pewien, że Ned da się sprowokować do wrogiej wymiany zdań. Tony mógłby wówczas wykorzystać jego gniew przeciwko niemu, a tak... sam był wściekły i teraz najchętniej ukręciłby mu łeb.

Od pewnego czasu wściekłość była dla Tony'ego stanem normalnym; a dokładniej od chwili, gdy w kasynie Ermle-ra przegrał ćwierć miliona, którego nie miał. Szybko przekonał się, że nie ma od kogo pożyczyć tych pieniędzy, a jego ojciec nie chciał nawet słyszeć o kolejnych hazardowych długach syna. Rozmowa skończyła się ostrą awanturą i od tego czasu nie rozmawiali ze sobą. Dlatego Tony był bardzo zdziwiony, gdy otrzymał od ojca zaproszenie na ten pokaz. Odebrał to jednak jako wyraz dobrej woli i przyszedł tu z nadzieją na pogodzenie, licząc że ojciec zmienił zdanie. Przekonał się, że jego przewidywania były błędne.

Od pół roku słyszał: „Edgar to, Edgar tamto! To wspaniały chłopak! Taki utalentowany! Nie to co ty! Ty potrafisz tylko przepuszczać pieniądze!”. Ta projekcja była kolejną nauką. „Zobacz kim jest Gratiano i jak wiele ci do niego brakuje” - to było główne przesłanie ojca. „Gdybyś miał tyle talentu, co Edgar, dałbym ci wszystko, ale ty jesteś darmozjadem...”. Tony miał dość. Wyszedł nie próbując nawet porozmawiać z ojcem.

Ned stopniowo dochodził do siebie. Zapanowanie nad sobą kosztowało go wiele, ale teraz był zadowolony. Po raz pierwszy nie dał się Tony'emu sprowokować. Uśmiechnął się do siebie i w tym

momencie odezwał się jego telefon komórkowy. Edgar z radością zobaczył na wyświetlaczu imię Patrycji.

41

- Kochanie!
- Neddie! Chciałabym cię przeprosić za to, co powiedziałam wczoraj. Zachowałam się strasznie głupio.
- Nic się nie stało! - Bardzo chciał, żeby była to prawda.
- Czy już po projekcji?
- Tak!
- Podobało się im?
- Myślę, że tak. Sam Torrucci mi pogratulował. Zresztą w ogóle zachował się wspaniale.
- Doprawdy? - w głosie Patrycji dał się wyczuć sarkazm.
- Słucham?
- Nie, nic! Naprawdę się cieszę! - jej ton zmienił się błyskawicznie. - Żałuję, że nie mogłam tam być. Moja mama miała lekki atak. Okazało się, że to nic poważnego, ale musiałam być przy niej. Na początku wyglądało to dużo gorzej.

Edgar odetchnął. A więc to, że nie odbierała telefonów, że jej nie było, miało tak proste wytłumaczenie? A on rozpaczał jak dziecko.

- Lekarze twierdzą, że najgorsze już minęło, ale chciałabym zostać przy niej jeszcze kilka dni! Wybaczysz mi?
- Jasne. Tu nie ma nic do wybaczenia. Przecież to twoja matka.
- Ale słyszę, że masz smutny głos.
- Po prostu chciałbym, żebyś była ze mną.
- Nie martw się kochanie. Nawet nie zauważysz, kiedy będę z powrotem.
- A gdybym tak wsiadł w samolot i poleciał do ciebie? Za trzy godziny byłibyśmy razem!
- Te dwa czy trzy dni wytrzymamy. A przecież wiesz, że Torrucci potrzebuje cię do promowania filmu. Wystarczy już, że mnie nie ma.

Ned westchnął ciężko. - Chyba masz rację.

42

_ Kocham cię!

_ Ja też cię Kocham!

_ Bądź dzielny. Jutro zadzwonię i powiem, kiedy wracam. Buziaczki.

- Buziaczki.

Wyłączył telefon i przez chwilę patrzył na niego, jakby tam mógł znaleźć odpowiedź na pytanie, skąd pojawił się ten dziwny smutek. Powinien się cieszyć, a jemu chciało się płakać. Znow to uczucie samotności, znow lęk... Szybko pożegnał się ze wszystkimi, tłumacząc się bólem głowy, i wyszedł.

Ciepła sierpniowa noc. Pomimo pierwszych oznak zbliżającej się jesieni była wystarczająco piękna, by chcieć się nią z kimś podzielić. Jej urok zamiast rozproszyć jego smutek, jeszcze go pogłębił. Białe światło gwiazd przypominało mu te chwile, które spędził z Pat, gdy siedzieli przytuleni i próbowali odgadnąć wzory utkane na niebie z jasnych punktów. Dlaczego właśnie dziś, właśnie teraz musiał być sam?

Nie miał ochoty wracać do domu. Powolnym krokiem przemierzał ulice, pozwalając myślom na swobodną nieskrępowaną podróż w świat wyobraźni. Zawsze potrafił śnić z otwartymi oczami. Tworzył magiczne obrazy i przenosił się do wykreowanego świata. Wtedy był naprawdę szczęśliwy. Świat marzeń był doskonały. I tylko czasem, gdy budził się z tego snu, ogarniał go żal, że rzeczywistość nie dorównuje mu doskonałością.

Śniąc nie zauważył nawet, kiedy doszedł do placu Gwiazdzistego. Dopiero gdy olbrzymia, kilkunastometrowa Patrycja spojrzała na niego posyłając mu swój uwodzicielski uśmiech, ocknął się. Przed nim wyrastał niezwykle fantom - holograficzny obraz unoszący się na środku placu.

„Więc karuzela reklamy już się kręci” - pomyślał nieco zaskoczony, ale szybko przypomniał sobie, że nie powinien się dziwić. Torrucci nie należał do ludzi, którzy zostawiali

43

coś przypadkowi. Gdy on był producentem wszystko było zaplanowane z dokładnością co do minuty, a cała machina działała jak szwajcarski zegarek. Ned czuł się przy nim jak kura znosząca złote jajka. Taką kurę pielęgnuje się, by jajko było jak największe, a spod nóg usuwa się kamienie, żeby się nie stłukło. Podziwiał „starego” i równocześnie mu zazdrościł. Łatwość, z jaką Dominik Torrucci pokonywał wszelkie przeszkody, umiejętność kontrolowania tysiąca spraw związanych z produkcją filmu i dobór właściwych ludzi budziły w Edgarze szacunek, ale również odrobinę niepokoju i zazdrości. Czy on kiedykolwiek będzie w stanie mu dorównać? Na wszelki wypadek postanowił zapamiętać, na ile dni przed premierą należy rozpocząć kampanię reklamową i nagle wstrząsnął nim dreszcz. Jakie znaczenie mogło mieć to czy kiedyś będzie świetnym producentem, jeśli dzisiaj dawało go uczucie posępnej samotności?

„Dlaczego cię tu nie ma, Pat?” - pomyślał z żalem. Westchnął ciężko, przeszedł obok hologramu i skierował się w stronę domu. Nie miał już ochoty dłużej błądzić bez celu. Może uda mu się szybko zasnąć?

Zapukał do wąskiej uliczki, na których o tej porze spotykało się raczej niewielu przechodniów. Pomyślał, że w drodze do swojego mieszkania nie spotka już raczej nikogo, gdyż dzielnica nie była

miejszem nocnych spacerów. Jego samotność pozostanie nie naruszona. Tam nie było nawet prostytutek.

Przechodził właśnie obok toru kolejki ekspresowej, gdy usłyszał ciche popiskiwanie. Zatrzymał się i wytężył słuch. Po chwili odgłos powtórzył się. Ned podszedł do barierki odgradzającej tor i gdy spojrział w kierunku, skąd dochodziły tajemnicze odgłosy, mimowolnie uśmiechnął się. Mały, czarny szczeniak usiłował wdrapać się na szeroką szynę prowadzącą. Zbyt duże łapy rozjeżdżały mu się na śliskiej powierzchni i raz po raz jego nos uderzał w metal.

44

Psiak podjął kolejną próbę sforsowania przeszkody i gdy znów mu się nie powiodło, zaskomlał przeraźliwie.

- Co ty tu robisz, mały? - zapytał Ned, rozbrojony nieporadnością szczeniaka.

Nagle rozległ się przeraźliwy gwizd, który szarpnął nerwami Neda. Znał ten dźwięk! Za chwilę z tunelu oddalonego o sto metrów wynurzy się kolejka, mknąc z szybkością ponad dziewięćdziesiąt kilometrów na godzinę, a wtedy po szczeniaku nie zostanie nawet wspomnienie. Nie zastanawiając się, co robi, jednym skokiem przesadził barierkę, chwycił szczeniaka i skoczył z powrotem. Ponowny gwizd prawie go ogłuszył i zanim dotknął ziemi, po drugiej stronie barierki, tuż za jego plecami przemknęły trzy wagoniki.

Upadł, tłukąc sobie kolano i przygniatając szczeniaka własnym c/ałem.

- Cholera! - zaklął. - Niewiele brakowało! Po jakie licho...?

Coś poruszyło się pod nim. Ned uniósł się na zdrowym kolanie, podniósł szczeniaka za kark i przyjrzał mu się -wielorasowiec. Po przodkach odziedziczył postać wilczura, klapnięte uszy, zbyt długą jak na wilka sierść i smutne oczy spaniela.

- I dla takiego stwora narażałem życie? - zapytał siebie, układając psiaka na przedramieniu. Szczeniak jakby rozumiejąc, że mowa o nim, polizał jego dłoń ciepłym różowym języczkiem i przyjaźnie pomachał ogonem. Ned pogłaskał go po łbie i uśmiechnął się. Dotyk miękkiej sierści sprawił, że samotność zaczęła się rozpywać jak mgła pod promieniami słońca. Był ktoś, kto potrzebował go tej nocy, ktoś, z kim mógł tę noc przetrwać. Co prawda miał cztery łapy i czarne futro, ale... jakie to miało znaczenie?

- Chodź mały! Znajdziemy ci coś do jedzenia.

* * *

45

Noc poprzedzającą premierę Ned spędził już z Patrycją. Co prawda, Pat bardziej zajmowała się szczeniakiem niż nim, ale jemu wcale to nie przeszkadzało. Był szczęśliwy, że ma ją przy sobie. Nie mógł się tylko powstrzymać przed bezustannym dotykiem jej, tak jakby obawiał się, że jej obecność jest tylko złudzeniem i że wyłącznie dotyk jest w stanie przyoblec sen w realne kształty.

Gdy przybyli do zespołu kin Borsoniego, gdzie miała się odbyć premiera, gapie zapełniali ulicę i plac przed wejściem. Ich napór z trudem był powstrzymywany przez kordon policjantów.

Ned przywitał się z Torruccim i Borsonim i stanął wraz z nimi i Patrycją, żeby powitać przybywających gości. Edgar z niechęcią włączył się do tego przedstawienia, które miało zaspokoić snobizm i ciekawość możnych tego świata. Czuł się jak wystawiony na pokaz wybryk natury, który ogląda się dokładnie, bo istnieje duże prawdopodobieństwo, że drugi taki się nie narodzi. Czego nie robi się jednak dla promocji filmu.

- Witamy panią, hrabino! - Borsoni i Torrucci prawie równocześnie zgięli się w ukłonie, a następnie wskazując na Neda, producent dodał: - A oto nasz młody reżyser, Edgar Gratiano!

Ned kłaniał się, przedstawiał Patrycję i... znów się kłaniał. Po kwadransie miał tego dość i z podziwem patrzył na Torrucciego, który z czarującym uśmiechem, nienagannie elegancki trwał na swym posterunku.

- Witamy księcia! To naprawdę zaszczyt! - Torrucci witał kolejnego gościa, a po chwili następnego i jeszcze jednego... - Jak zdrowie?... Pański bank jest poniekąd moim, mam tam swoje udziały. Cieszę się, że nie zamierza go pan zamknąć! Ha! Ha!

„Jak oni się nie pogubią?” - dziwił się Ned, gdy przy trzydziestym nazwisku zapomniał dwudzieste dziewięte. Miał

46

ochotę warczeć i gryźć i powstrzymywało go tylko to, że ci ludzie przyszli tu również dla niego... Przynajmniej taką miał nadzieję. Zamiast więc warczeć, uśmiechał się uprzejmie do każdego. Robił to tak automatycznie, że z uśmiechem powitał również Tony'ego, który zjawił się w towarzystwie równie pięknej, co głupiutkiej gwiazdki filmowej. Tony minął go, nie zaszczycając nawet spojrzeniem.

Tony, tak samo jak w ciągu kilku ostatnich tygodni, był w podłym nastroju. Wciąż myślał o swym długu, a im dłużej zastanawiał się nad swą sytuacją, tym stan jego ducha stawał się gorszy. Jedynym rozwiązaniem, które dostrzegał, była ponowna prośba o pożyczkę u ojca, ale na samą myśl o tym robiło mu się niedobrze. Prosić starego po raz drugi, gdy raz został już potraktowany jak natrętny petent, to było co & czego nie mógł zrobić... A przynajmniej tak mu się wydawało...

- Dobry wieczór, Tony!

Tony odwrócił się szybko i na widok Ermlera w obstawie dwóch goryli wzdrygnął się.

- Dobry wieczór! - powiedział, siłąc się na spokój. - Kochanie! - zwrócił się do dziewczyny - przepraszam cię na moment. Muszę chwilę porozmawiać.

- Ale Tony...

- Idź przypudruj nosek... - głosem nie znoszącym sprzeciwu rozkazał Ermler.

Dziewczyna fuknęła i kołysząc biodrami odeszła. Ermler przeciągle popatrzył na jej biodra i pokiwał z aprobatą głową.

- Jak interesy? - zapytał, ujmując Tony'ego pod ramię.
- Nie najlepiej!
- Och! To przykre! - głos właściciela kasyna był współczujący. - To naprawdę bardzo przykre. Nie chciałbym być natrętny, ale termin płatności weksli upływa za trzy dni.

Serce Tony'ego przyspieszyło rytm.

47

- Panie Ermler! - powiedział dość twardo. - Ja naprawdę staram się zorganizować te pieniądze, ale to jest prawie ćwierć miliona.
- Dwieście czterdzieści siedem tysięcy.
- Miałem zbyt mało czasu.
- Doprawdy zasmucasz mnie chłopcze.
- Gdybym miał trochę więcej czasu...
- Tony, lubię cię. Ale obaj wiemy, że twoja szansa na zdobycie tej kwoty jest żadna. Twój ojciec nie da ci nic, na znajomych też nie możesz liczyć... Nie masz grosza w kieszeni, za to masz dom obciążony hipoteką. - Ermler wyglądał na zasmuconego. - Chciałbym ci pomóc, ale sądzę, że odroczenie zapłaty nie uratuje cię.

Tony nie znosił, gdy przemawiano do niego takim ojcowskim tonem. Jednak stawka, o jaką toczyła się gra, powstrzymała go od jakichkolwiek uwag.

- Gdybym mógł rozłożyć tę spłatę na...

-Nie!

To jedno słowo rozwiało nadzieje Tony'ego.

- Jeśli w ciągu tygodnia nie będziesz miał tych pieniędzy, będziemy musieli... chociaż nie chcemy tego... ukarać cię.

Tony zbladł.

- Będę miał te pieniądze! - powiedział twardo.
- Cieszę się, że jesteś optymistą. To ważne w życiu - Ermler uśmiechnął się dobrotliwie. - Ale pozwolisz, że będę innego zdania! - jego twarz ściągnęła się, a głos stał się twardszy. - Nie zdobędziesz tych pieniędzy! Wiemy o tym obaj i dlatego powinniśmy zastanowić się nad innymi rozwiązaniami.

Tony uniósł brwi. - Co ma pan na myśli?

- Twój ojciec jest bardzo bogatym i wpływowym człowiekiem. A ty i twoja siostra jesteście jedynymi spadkobiercami.

- Co pan sugeruje?

48

- Czy nigdy nie zastanawiałeś się nad tym, że po jego śmierci odziedziczysz niezły majątek?

- Mój ojciec jest okazem zdrowia...

- W życiu nigdy nic nie wiadomo. Może jutro wpadnie do basenu i utopi się.

Tony zjeżył się. - Nie podoba mi się ta rozmowa.

- Och! To tylko takie rozważania o nietrwałości ludzkiego życia. Ale znam kilku ludzi, którzy daliby wiele, żeby zobaczyć jego pogrzeb. Dla nich to wydarzenie byłoby warte więcej niż dwieście czterdzieści siedem tysięcy.

Przez chwilę Tony miał ochotę rzucić się na niego, ale jedno spojrzenie na goryli ostudziło jego zapał. Czy ta sucha tyka przypuszczała, że on weźmie udział w zgładzeniu własnego ojca?

- I myśl^, że jeszcze długo tego nie zobaczą! - powiedział cedząc słowa. - To mój ojciec, a ja nie jestem mordercą!!!

- Och! Z pewnością nie jesteś... - Ermler na chwilę zawiesił głos -... ale za to ty możesz być martwy!

Tony wyprostował się, jakby dzielono go w twarz.

- Przemyśl to chłopcze! - Ermler poklepał go po ramieniu. - Wspaniały wieczór - dodał rozglądając się. - Uwielbiam to kino.

Bezwzględny wierzyiciel oddalił się. Tony patrzył za nim przez chwilę i ze złości przygryzał wargi. „Jak mogłem być tak głupi i grać za jego pieniądze - pomyślał z wyrzutem. - I jak on śmie mnie straszyć?...”. Czuł się osaczony, a to wyzwalalo w nim agresję. Wewnętrznie był przekonany, że Ermler miał rację twierdząc, że nie uda mu się zdobyć tych pieniędzy. Wykorzystał już wszystkie możliwości i jedyną nadzieją pozostawał ojciec. Była to jednak nikła nadzieja. Znał swego ojca na tyle, by wiedzieć, że łatwo nie zmienia zdania i potrafi być w swej konsekwencji okrutny.

49

„A właściwie kim dla mnie jest ojciec? Czy kiedykolwiek coś dla mnie zrobił? Czy za cokolwiek mogę być mu wdzięczny?”. Tony nigdy nie zapomniał ojcu tego, że zabronił mu spotykać się z jedynym przyjacielem, jakiego miał w dzieciństwie. Ojciec uznał, że ma on zły wpływ na jego syna. Nie zapomniał również, w jaki sposób został ukarany, gdy nie usłuchał zakazu ojca. Pamiętał te wszystkie noce, gdy połykał gorzkie łzy nie mogąc pogodzić się z tym, że ojciec kocha jego siostrę Jessicę bardziej niż jego. Pamiętał, jak często był traktowany niesprawiedliwie i pamiętał również, co „stary” uczynił z życia matki. Tony ze zdumieniem zauważył, że ma zaciśnięte pięści i nie może rozewrzeć skurczonych szczęk. „Czy aż tak go nienawidzę?”. Odszukał wzrokiem ojca i widok jego uśmiechniętej twarzy wzburzył mu krew w żyłach.

„To ja gram właśnie o życie, a on się bawi!” - pomyślał z goryczą i nagle przyszła mu do głowy straszna, lecz przez swą potworność pociągająca myśl: „A może włączyć się do tej gry? Dlaczego miałbym go oszczędzić? Przecież on też może sam wybrać swój los!”.

Zadowolona mina „starego” działała na niego jak płachta na byka. Nie wahając się nawet chwili, zdecydowanym krokiem podszedł do ojca. - Chcę z tobą porozmawiać - powiedział z determinacją.

- Jestem zajęty! - Torrucci rozmawiał właśnie z dwoma producentami. - Nie przeszkadzaj mi.
- To bardzo ważne!

Grymas gniewu przemknął po twarzy ojca.

- Przepraszam panów na chwilę! - Odstawił kieliszek i przeszedł kilka kroków. - Czego chcesz? - zapytał, gdy stanęli w rogu sali.
- Mam poważne kłopoty!
- Czy chodzi o ten dług, o którym mi mówiłeś?

-Tak!

50

- Chyba poznałeś już moje zdanie!
- Nie mówiłem ci wtedy, że jestem winien te pieniądze mafii.

Torrucci przecząco pokręcił głową. - Kiedy rok temu zapłaciłem za ciebie sto osiemdziesiąt tysięcy, obiecałem ci, że bez względu na to, co się stanie, nigdy więcej nie dostaniesz ode mnie pieniędzy na hazard. Ty obiecałeś, że już nigdy mnie o to nie poprosisz.

- I przez ten rok dotrzymałem słowa! Ale teraz jestem przyparty do muru.
- Nie interesuje mnie to!
- Ojcze! Jeżeli nie oddam tych pieniędzy, oni mnie zabiją!

Torrucci odwrócił głowę.

- Wybacz synu! Gdybym dał ci teraz te pieniądze, wszystko zostałoby jak dawniej. To jedyna metoda byś w końcu coś zrozumiał.
- Proszę cię, ojcze! - głos Tony'ego w niczym nie przypominał błagalnej prośby.
- Nawet teraz uważasz, że te pieniądze ci się należą. Nie czujesz najmniejszej skruchy.
- Tato zostawmy to. Jeśli pożyczysz mi tę kwotę, postaram się ją oddać w ciągu roku.

Torrucci roześmiał się. - W jaki sposób? Wygrasz w karty? A może obrabujesz bank?

- Zarobię! - powiedział twardo z trudem panując nad sobą.

- Sprzedając hamburgery?
- Nieważne! Proszę cię! Pożycz mi te pieniądze!
- Nie! Tony! Nie pożyczę ci ich!

Twarz Tony'ego wykrzywiła się w grymasie wściekłości i ochryłym głosem mocno akcentując słowa wyrzucił z siebie gorycz, frustrację i lęk, które nagromadziły się w nim w ciągu ostatnich tygodni.

51

- Jesteś skąpym, złośliwym draniem! Nie chcesz dać mi głupich dwustu tysięcy, chociaż dla ciebie to mniej niż splunąć. Gówno cię obchodzi, co stanie się ze mną! Ważne jest to, że ty swoje postępowanie uważasz za słuszne! Zawsze masz to cholerne przekonanie, że postępujesz słusznie! Nigdy nie miałeś wątpliwości, prawda? Nawet wtedy, gdy zabiłeś matkę!
- Wiesz dobrze, że ona...
- Nienawidzisz mnie tak samo, jak nienawidziłeś jej.
- To nieprawda!
- Prawda! Nienawidziłeś jej za to, że chciała być wolna, że nie chciała ci się podporządkować, że nie chciała patrzeć, jak niszczysz innych ludzi, jak niszczysz ją i siebie.
- Skończ!
- Ja też cię nienawidzę! Nienawidzę cię za to co zrobiłeś jej i co robisz mnie! Nie dość ci, że zabiłeś ją, to teraz chcesz zabić mnie!
- Nie ja ją zabiłem! Zabił ją nałóg i chęć lekkiego życia. To ona dokonała wyboru, gdy odeszła z jakimś żigolakiem! Z własnej woli zostawiła ciebie i Jessicę!
- Bo ją do tego zmusiłeś! Nie masz żadnych ludzkich uczuć!

Torrucchi oparł się ciężko o ścianę i chwycił się za serce. Tony wykonał ruch jakby chciał mu pomóc, ale „stary” powstrzymał go gestem. - Od dziś nie jesteś już moim synem! - powiedział cichym głosem! - Wydziedziczę cię i pozbawię wszelkich praw do majątku. A teraz wynoś się!!!

Tony chciał coś jeszcze powiedzieć, ale rozmyślił się. Odwrócił się i rozejrzał wokół. Ich głośna wymiana zdań przyciągnęła spojrzenia kilkunastu par oczu, ale gdy wzrok Tony'ego krzyżował się z nimi, szybko umykały. Tony jeszcze raz zmierzył ich wszystkich wrogo i wyszedł.

Był wściekły. Chciał poprowadzić tę rozmowę spokojnie, ale ojciec go sprowokował. Spłata tego długu znaczyła

52

dla „starego” tyle co nic, a on robił z tego wielki problem. W dodatku teraz ten stary skąpiec chciał mu odebrać jego przyszłość. Nie zamierzał dać się tak wyrolować. Zamierzał działać.

Tak jak jego ojciec uważał, że powinien dostawać to wszystko, co jego zdaniem mu się należało. Pod tym względem był nieodrodnym synem swojego ojca. Gotów był dążyć do celu po trupach i gdyby Dominik Torrucci znał myśli swojego syna, mógłby być dumny; syn pod tym względem przerósł ojca - zamierzał dopiąć swego po jego trupie.

Tony, podobnie jak ojciec, gdy podjął decyzję nie wahał się już dłużej. Zanim dotarł do domu miał już gotowy plan.

Plan wymagał udziału jeszcze dwóch ludzi i Tony szybko zdecydował się na, jego zdaniem, właściwych kandydatów.

Jednym z nich był Falstaff. Dwa lata wcześniej zabił człowieka w wypadku, a Tony pomógł mu uniknąć kary. Poza tym był wystarczająco nikczemny i zachłanny, by zabić i wystarczająco tchórzliwy, by dać się potem zastraszyć.

Drugim był Walter Quincy, dla którego wybrał mniej istotną rolę. Tony miał jednak wobec niego pewne plany na przyszłość i chciał przygotować sobie właściwy grunt. Poza tym miał na Waltera tak mocnego haka, że żał mu było go nie wykorzystać.

* * *

Następnego dnia Tony zaprosił Falstaffa na spotkanie w małym pubie. Wybrał to miejsce, ponieważ chciał stworzyć korzystne warunki do rozmowy. Miał zamiar przychylnie nastawić go do siebie i po trzeciej szklaneczce whisky osiągnął swój cel. Gdy oczy Falstaffa zamgliły się nieco, młody Torrucci zaczerpnął głębiej oddechu i rozejrzał się wokół. Warunki były doskonałe - siedzieli w rogu sali

53

i nikt się nimi nie interesował, a mimo to Tony czuł dreszcz niepokoju. Gdy patrzył na tę czerwoną nalaną twarz, na której złośliwość, nikczemność i Bóg wie co jeszcze wycisnęło swoje piętno, wahał się. Tego człowieka mógł kupić każdy i to mogło okazać się niebezpieczne. Gdyby coś poszło źle, to Falstaff z pewnością sprzedałby go, żeby ratować własną skórę...

Tylko że plan Tony'ego nie zakładał takiego scenariusza

- wszystko musiało pójść dobrze. Po prostu musiał rozegrać to bezbłędnie.
- Napijesz się jeszcze? - zapytał widząc, że Falstaff opróżnił szklaneczkę.
- Nie! Nie! - Świńskie oczka Falstaffa zapaliły się pożądliwym blaskiem. - To znaczy nie chciałbym sprawiać kłopotu.

Tony skinął na kelnerkę i pokazał jej pustą szklanekę.

- Domyślasz się, że nie spotkaliśmy się tu bez powodu?
- zaczął, uważnie przyglądając się twarzy Falstaffa.
- Hm... - to mogło oznaczać zarówno potwierdzenie, jak i zaprzeczenie. Tony nie oczekiwał zresztą żadnej konkretnej odpowiedzi.

- Chcę, żebyś to wiedział... Uważam, że mój ojciec zachował się wobec ciebie nie fair.

W oczach Falstaffa przez chwilę pojawił się lisi błysk.

- Nie przepadasz za nim, prawda? - zapytał Tony. „Czego on ode mnie chce? - zastanawiał się Falstaff. -

Chce mnie podpuścić? Nastał go tatuś?" - a na głos zapytał: - Nie wiem, dlaczego o to pytasz?

- Rozumiem cię. Ja też go nie lubię, a raczej nienawidzę!

- Tony podniósł na chwilę głos i z rozmachem postawił szklanę na stole.

Falstaff skulił się, jakby w obawie, że Tony wyładuje swój gniew na nim. Tony jednak szybko zapanował nad sobą i nadał twarzy kamienny wyraz.

54

_ A co myślisz o Gratiano?

- Kawał drania! - tu Falstaff nie był już tak ostrożny. Dodatkowo odwagi dodawały mu wypite szklaneczki whisky. - Ukradł mój film.

- A mój ojciec mu na to pozwolił. - Tony pokiwał ze zrozumieniem głową. - Nieźle świństwo ci zrobili.

Falstaff oblizał tłuste wargi i nawet na chwilę nie oderwał wzroku od twarzy Tony'ego. Czuł, że za chwilę wydarzy się coś niezwykłego. Jego mięsisty nos informował go o takich rzeczach bezbłędnie.

- Możemy za jednym zamachem pozbyć się ich obu... -Tony zawiesił głos i obserwował jak szczęka Falstaffa powoli opada.

- Nie rozumiem! - wykrztusił pijaczyna, gdy udało mu się pokonać siłę^rawitacji i jego żuchwa wróciła na swoje miejsce.

- Obaj nam dopiekli. Tak... Tak... Mnie też się oberwało... Mam dość ich obu i dlatego chcę się ich pozbyć raz na zawsze - Tony zawiesił głos. - Jeżeli mi pomożesz, dostaniesz pięćdziesiąt tysięcy.

Falstaff szerzej otworzył oczy. - Pomóc? W czym?

Tony nabrał głębiej powietrza. Jeśli zrobi ten krok, nie będzie miał już odwrotu; bez względu na cenę będzie musiał przekonać Falstaffa. Nie mógł dopuścić, żeby ktoś, kto poznał plan, znalazł się poza jego kontrolą. Poczul dreszcz, który znał dość dobrze - dreszcz hazardzisty, który stawia wszystko w jednym rozdaniu. Lubił to. Lubił rozgrywki o wysoką stawkę.

- Chcę, żebyś pomógł mi usunąć mojego ojca?

- Jak to usunąć?

Tony popatrzył znacząco.

Falstaff cofnął się nieco. Patrzył w oczy Tony'ego i zrozumiał, co ten miał na myśli, ale wolałby tego nie wiedzieć.

- Żartujesz? - zapytał niepewnie.

55

- Nie, Thomas! Nie żartuję!

Tony rozpoczął rozgrywkę, teraz już nic nie mogło go zatrzymać.

- Mam plan. Bezbłędny plan! A ty pomożesz mi go zrealizować.

* * *

Następnego dnia rano Tony zjawił się u Waltera. Quincy układał się właśnie do snu po całonocnej libacji urządzonej z okazji sukcesu filmu. Tony'emu to zupełnie nie przeszkadzało.

- Wyglądasz na zmęczonego! - zagadnął przyjaźnie, gdy usiedli w saloniku.

Walter coś odburknął dając do zrozumienia, że nie ma ochoty na dłuższą pogawędkę.

- Rozumiem! Rozumiem! - Tony zachowywał się tak, by nie rozdrażnić Waltera. - Zajmę ci tylko kilka minut.

Walter sięgnął po drinka.

- Napijesz się? - zapytał zrezygnowanym głosem.

- Chętnie! - Tony skinął głową. - Czy miałeś już jakieś propozycje ról? - zapytał, sięgając po szklaneczkę.

-Nie!

- Po takim sukcesie? - Tony udał zdziwienie. - Myślałem, że jesteś zasypywany ofertami?

- Nie! Nie jestem! - Quincy jak zwykle starał się zachowywać uprzejmie, ale zmęczenie i ból głowy były silniejsze, niż przywiązanie do dobrych manier. Poza tym nie rozumiał, po co Tony tu przyszedł. Nie utrzymywali kontaktów towarzyskich, więc ta wizyta była dość nieoczekiwana i z pewnością nie w porę.

- A Gratiano? - zapytał Tony.

- Co Gratiano?

- Czy miał już jakieś propozycje?

56

- Nie wiem! - Złotą dewizą Waltera było, że każdy gość ma swoje prawa, ale istniały pewne granice.

- A propos... - Tony przerwał, żeby napić się drinka. -Co sądzisz o Gratianie?

- O Nedzie? Nic specjalnego! Dobry reżyser! - Walter zdziwił się, że Tony pyta go o Gratiana. „Przecież oni się nie cierpią, więc skąd to zainteresowanie?” - pomyślał.

Tony wpatrywał się w Waltera z niezwykłą uwagą. Szukał potwierdzenia swych przypuszczeń. Chciał mieć pewność, że właściwie go ocenił.

- Nic więcej? - zapytał.

-Nic!

- A to ciekawe. On o tobie mówi dość dużo...

Walter spojrzął na Tony'ego uważniej. - Tak? I co mówi? ;

- Żartuje sobie z ciebie. Głównie na temat twoich westchnień do Patrycji.

Walter zarumienił się. - Ona nic... nic dla mnie nie znaczy! - powiedział jękając się nieco. - Wcale nie jestem nią zainteresowany.

- A czy ja mówię, że znaczy? - Tony wzruszył ramionami. - Powtarzam, co słyszałem.

- On naprawdę to powiedział? - Walter z niedowierzaniem pokręcił głową.

- Nie chcesz to nie wierz! - Tony zrobił minę, jakby go to w ogóle nie obchodziło. - W końcu to nie moja sprawa! Myślałem tylko, że pomożesz mi trochę przytrzeć mu nosa, ale widzę, że się pomyliłem.

Tony umilkł, żeby sprawdzić, jakie wrażenie wywołał na Walterze. Szukał przyzwolenia na wdrożenie go w swój plan. Nie zamierzał wyjawiać mu wszystkiego, a jedynie to, co było mu wygodne. Całości Walter miał się dowiedzieć po fakcie, gdy będzie już za późno na wycofanie się.

57

- Co chcesz zrobić? - zapytał aktor.

Tony uśmiechnął się w duchu, ale zachował kamienny wyraz twarzy.

- Nic wielkiego! Chcę go trochę odbraćować.

- W jaki sposób?

- Robiąc z niego złodzieja.

Walter zapomniał o bólu głowy i złym samopoczuciu. Nigdy nie przepadał za Tonym, podświadomie obawiał się go, a ta nieoczekiwana wizyta upewniła go, że unikając Tony'ego miał rację. To spotkanie zapowiadało kłopoty.

- A jaka byłaby moja rola?

- Nic wielkiego! Musiałbyś dać mu do ręki pewną figurkę, w taki sposób, żeby zostały na niej tylko odciski jego palców. To wszystko.

- A co potem?
- To już moje zmartwienie.
- Jeżeli to taka niewielka rola, dlaczego to ja mam ją zagrać?

Tony spodziewał się takich pytań, pomimo to dociekliwość Waltera irytowała go.

- Bo gdybym to ja zjawił się u niego, z pewnością nie uwierzyłby, że są to przyjacielskie odwiedziny.
- A jeśli zrobię to ja, nie będzie niczego podejrzewał.
- Właśnie!
- Wybacz, ale nie licz na mnie.
- Ale...
- Powiedziałem: nie! Szanuję Edgara i nie zrobię mu takiego świństwa.

Tony zaklął w duchu. Co za dureń. Na szacunek mu się zebrało. Błazenada. Kto by pomyślał, że ten lękliwy bubek jest taki honorowy.

- Szacunek zostaw sobie na później! - Tony podjął decyzję, musiał to dokończyć. - Pomyśl o Patrycji...
- Co ma z tym wspólnego Patrycja?

58

- Nic! Ale gdyby Gratiano okazał się złodziejem, Patrycja mogłaby zmienić zdanie na jego temat.
- Nic z tego! - Walter wstał z fotela. - Być może nie jestem najuczciwszym z ludzi, ale z pewnością nie jestem świnią!

Tony'ego zaczęła ogarniać wściekłość. Ten amancik myślał, że to film i że mógł grać bohatera bez skazy. Uważał się za człowieka honoru i puszył się tym jak paw. „Chłopak ma krótką pamięć” - pomyślał Tony ze złością. „Najwyższa pora przypomnieć mu, kim jest naprawdę... i na jakim haku wisi”!

- Walterze! Nie sądziłem, że tak szybko zapomnisz przysługę, jaką ci kiedyś wyświadczyłem!

Quincy zbladł i opadł na fotel. - Pamiętam o tym! - powiedział chryple.

- Cieszy mnie to niezmiernie! Gdyby ta sprawa ujrzała światło dzienne, mógłbyś mieć kłopoty. Seks z nieletnimi to niebezpieczne hobby.
- Wiesz dobrze, że to wszystko ukartowała jej matka!

- Media przedstawiłyby to inaczej.

Walter zaciął usta. - Oddałem ci pieniądze, które jej wtedy dałeś.

Tony skinął głową. - To prawda, ale nadal jesteś mi winien przysługę.

- Nie mogę tego zrobić!

- Wprost przeciwnie! Musisz to zrobić! - wycedził Tony. - Jeżeli tego nie zrobisz, postaram się, żeby mamuśka

1 córeczka przypomniały sobie parę szczegółów. Myślisz, że to nie zainteresuje pismaków? A policję?

Walter głębiej zapadł się w fotel. - Nie zrobisz tego!

- Tak sądzisz? - zapytał chłodno. - A czy warto ryzykować tak wiele z powodu takiej drobnostki, o jaką cię proszę?

- Jesteś łajdakiem!

59

- Epitety zostaw sobie na później! Teraz zrób to, o co cię proszę!

* * *

Ned przetarł oczy, gdy w progu zobaczył Waltera. Ta wizyta była tak nieoczekiwana, że przez chwilę miał wrażenie, iż ulega halucynacji. Mimo to ucieszył się na jego widok.

- Czy można? - zapytał nieśmiało Quincy, wpatrując się usilnie w guziki koszuli Neda.

- Jasne! Wejdz proszę!

Bari sprzeciwił się temu zaproszeniu głośnym szczekaniem. Wyglądało to dość zabawnie, gdy mały szczeniak usiłował zachowywać się jak dorosły pies.

- Spokój! - Ned uspokoił go ruchem ręki. Bari siadł na tylnych łapach, ale nadal uważnie przypatrywał się intruzowi.

- Przechodziłem w pobliżu i pomyślałem, że wpadnę! Nie zajmę ci dużo czasu! - zastrzegł się Walter, gdy przeszli do pokoju. - Chciałem tylko zapytać, czy nie znasz kogoś, kto interesuje się sztuką Afryki.

- Czym? - Nedowi przez chwilę wydawało się, że się przesłyszał.

- Sztuką afrykańską! Chcę kupić taką jedną figurkę. - Klepnął w leżącą na jego kolanach torbę. - Szukam kogoś, kto mógłby mi doradzić. Ktoś mi mówił, że się na tym znasz.

Tym razem Bari przeszedł do bardziej zdecydowanych działań i zaatakował nogawki Waltera. Ned pochylił się w fotelu i chwycił szczeniaka za kark. Układając psiaka na kolanach równocześnie

zastanawiał się, co odpowiedzieć Walterowi. Z pewnością nie był ekspertem w tej dziedzinie, chociaż kiedyś trochę interesował się Czarnym Łą-

60

dem. Cała jego wiedza była bardzo powierzchowna i z pewnością nie znał się na afrykańskiej sztuce.

- Obawiam się, że nie mogę ci pomóc - powiedział głaszcząc Bariego po karku. - Nie jestem nawet hobbystą.

Walter wyjął z torby białe zawiniątko.

- A może znasz kogoś, kto mógłby mi pomóc? Mam coś takiego... i nie wiem, ile jest to warte... Zobacz! - podał Ne-dowi pakunek.

Edgar wydobył z niego masywną, toporną rzeźbę kobiety. Bari obwąchał ją podejrzliwie i zjeżył się.

- Podoba ci się? - Ned zapytał psiaka, podsuwając mu rzeźbę pod nos. Bari skulił się i schował się pod oparciem fotela. Edgar przyznał mu rację; rzeźba była nieco przerażająca. Przyglądał się grubym rysom twarzy kobiety i zastanawiał się, dlaczego Walter chce ją kupić. Czy naprawdę pieniądze aż tak zmieniają ludzi?

- Co o tym sądzisz? - zapytał Walter z zapalem początkującego kolekcjonera.

- No... Jest intrygująca! - Ned wołał go nie zrażać. W końcu nie znał się na tym rodzaju sztuki. - Nie wiedziałem, że się tym interesujesz.

- Właściwie to zupełnie się na tym nie znam, ale projektant, który będzie mi urządzał mieszkanie, namawia mnie na kupno. Mówi, że takie rzeczy są teraz modne i są niezłą lokatą.

Walter z trudem zdobywał się na recytowanie słów, których wyuczył go Tony. Jeszcze trudniej było mu patrzeć Edgarowi w oczy.

„A więc jednak pieniądze!” - skwitował w myśli Ned, a głośno powiedział: - Nie mam pojęcia, ile to może być warte! Zapytaj w jakimś antykwariacie albo w galerii sztuki... Tam powinni to wycenić.

Obrócił rzeźbę w dłoni.

- Wygląda jak maczuga! - zauważył Walter nieco schrypniętym głosem.

61

Edgar ujął zwężającą się część figury i zważył w dłoni jej ciężar. Gdzieś już widział taką rzeźbę, ale nie pamiętał gdzie. - Tak! Faktycznie. Tylko że w ten sposób raczej nie ocenia się jej wartości, co najwyżej użyteczność.

- Ha! Ha! - trochę sztucznie roześmiał się Walter. - Masz rację - powiedział i pospiesznie odebrał figurkę... Znajdę jakąś galerię... albo... Poradzę sobie. Dzięki!

Ned spojrzał na niego ze zdziwieniem. „Co mu jest?” - pomyślał, patrząc jak Walter nerwowymi ruchami zawija rzeźbę i wkłada ją do torby. „Czyżby to objawy zbyt dużego stresu?”.

- Może się czegoś napijesz? - zapytał.

Walter zawahał się. - Chętnie! - powiedział w końcu. * * *

Tego wieczoru rezydencja Torrucciego w Central Parku stała się mekką gwiazd show-biznesu. Rzęście oświetlona, otoczona tłumem gapiów sprawiała imponujące wrażenie bogactwa i przepychu. Z pewnością stanowiła odpowiednie tło dla ludzi, których miała przyjąć. Niektórzy z nich warki byli setki milionów i to dla zaspokojenia ich snobizmu Dominik Torrucci wydawał przyjęcie fetujące sukces filmu Edgara.

John Widmark przyjechał złotym szewroletem z Ostatniego dnia życia. Fritz Lebeman zjawił się w towarzystwie hebanowo czarnej modelki, w odkrytym powozie zaprzężonym w parę czarnych jak noc rumaków, reklamując w ten sposób swój najnowszy film. Irwin Sheen wylądował na spadochronie ubrany w czarny kostium super-agenta, czym wzbudził poklask gapiów. Za nimi przybywali następni, próbując bardziej lub mniej udanie zaimponować oryginalnością i pokonać innych w tej dziwnej rywalizacji.

62

Ned witał ich wszystkich. Na życzenie Torrucciego wraz z nim czynił honory domu.

- To pan jest tym nowym geniuszem filmu?

- Niektórzy tak mówią, madame.

- Jest pan bardzo młody!

- To zarzut czy komplement?

Ned zadrzał, gdy księżna Chant-Moison podała mu swą chłodną dłoń.

- Oglądałam! - powiedziała z nieodgadnionym uśmiechem. - Ma pan okropny smak.

- Księżno! W dzisiejszych czasach trudno jest mieć jakikolwiek smak.

- Pańskie wizje są niebezpieczne!

- Czy dlatego, że mówię prawdę?

- piątego, że mówi pan o uczuciach! - Jej uroda, młodość, jej chłód przesycony nieokreśloną aurą zmysłowości miały w sobie coś hipnotycznego. - Poza tym jest pan nieprzyzwoity.

- Staram się! Człowiek przyzwoity nie wzbudza zainteresowania.

- Czy dla sukcesu jest pan w stanie zrobić wszystko?

- Ja już to zrobiłem!

Księżna uśmiechnęła się. - Widzę, że nie tylko pańskie wizje są niebezpieczne.

- Moja droga. - Jej stary zazdrosny mąż poczuł się zagrożony. - Sądzę, że powinniśmy przejść dalej.

- Mam nadzieję, że jeszcze się spotkamy. - Spojrzała na Neda spod niesamowicie długich rzęs.

Gratiano skłonił się i w tej samej chwili poczuł silne uszczypnięcie. Patrycja dała mu do zrozumienia, by na to nie liczył.

- Nawet się nie waż! - szepnęła mu do ucha, gdy księżna odeszła.

- Zazdrosna? - Ned znacząco uniósł brew.

63

- Nie igraj ze mną! - Pat strzeliła mu pstryczka w nos i weszła na salę balową.

Edgar uśmiechał się patrząc, jak Pat idzie płynnym krokiem, lekko kołysząc biodrami. Nawet w udawanej złości była wspaniała.

- Gratuluję sukcesu!

Edgar odwrócił się iomal nie zemdlał z wrażenia; przed nim stał Emil Patroni - Midas sztuki filmowej. Człowiek, który mając za kapitał jedynie swój talent, w ciągu dwudziestu lat zbudował prawdziwe imperium. To był duchowy przywódca Neda.

Przez chwilę patrzyli sobie w oczy i Ned ze zdziwieniem stwierdził, jak łagodne a nawet ciepłe jest spojrzenie Patro-niego. Ta łagodność była tym bardziej zaskakująca, gdyż wielu ludzi opisywało go jako bezwzględnego biznesmena, rekina branży filmowej.

- Jesteś zaskoczony? - Patroni uśmiechnął się lekko.

Młody reżyser speszył się nieco, ale zaraz wrócił do równowagi.

- Nie! Nie! Tylko... - nabrał powietrza w płuca. -Chciałbym usłyszeć pana opinię na temat mojego filmu. Szczerą opinię.

Edgar zawahał się. Przestraszył się, że opinia mistrza będzie nieprzychylna, ale było już za późno, żeby się wycofać. Życzenie zostało wypowiedziane.

- Chcesz usłyszeć kolejne pochwały czy krytykę?

- Chciałbym rzetelną ocenę filmu.

- A po co ci ona?

Ned zawahał się ponownie. „Jak to, po co? A skąd miał wiedzieć czy wszystko zrobił tak jak powinien, czy gdzieś się nie wyłożył. Patroni był ekspertem; czuł i rozumiał kino. Mógł dostrzec coś, co inni przeoczyli”.

- Chcę znać jego wartość.

Patroni uśmiechnął się.

64

- Myślisz, że ja mogę to ocenić? Kto mi dał takie prawo?

- Jest pan moim mistrzem. Ucieczkę oglądałem pięćdziesiąt razy i wiem, że jest to najlepszy film, jaki kiedykolwiek zrobiono. Ktoś, kto potrafi stworzyć takie arcydzieło, ma prawo sądzić innych.

- Tak myślisz? - Patroni patrzył na niego badawczo. - Czy mój głos jest ważniejszy od tych setek tysięcy, którzy wyrazili opinię idąc na twój film?

- Nie to miałem na myśli.

- Wiem. Wiem. Chcę ci tylko powiedzieć, że opinia jednego człowieka, nawet kogoś, kogo uważasz za mistrza, nie powinna wpływać na to, co robisz. Jedynym sposobem, żeby osiągnąć sukces, jest żyć i tworzyć według własnych zasad. Gdy zaczynamy spełniać zachcianki innych albo gdy słucham[^] głosu guru, tracimy wiarygodność i zaczynamy być podobni do kuglarza w cyrku.

Ned stał jak wmurowany. Patroni mówił spokojnym, aczkolwiek zdecydowanym głosem i trudno było mu się sprzeciwić.

- Jedynej oceny możesz dokonać ty sam. Gdy wiesz, że w swoją pracę włożyłeś duszę, wiesz również, ile jest warta. Nie powiem ci, co było dobre, a co nie. Powiem tylko, że masz dar i musisz go wykorzystywać.

Ned słuchał zaskoczony. Oczekiwał krótkiej recenzji, a usłyszał dewizę życiową, której chciałby być wierny.

- Więc nie ważne, co inni myślą o mojej pracy? - chciał się upewnić.

- Gdy czujesz, że jest to właśnie to, co chciałeś przekazać i uwierzysz w to, inni też uwierzą.

Zapadła chwila milczenia, po której Patroni kontynuował.

- Mogę ci dać tylko jedną recenzję, która moim zdaniem jest odpowiednia.

Edgar z zaciekawieniem nadstawił uszu.

65

- Chciałbym, żebyś następny film nakręcił u mnie.

Ned przez chwilę starał się zrozumieć sens tych słów.

Czy to oznaczało, że będzie mógł pracować pod okiem swego mistrza? Nagle poczuł jak rosną mu skrzydła. To była najpiękniejsza chwila, jaką mógł sobie wymarzyć. Podziękował Patroniemu i zaczął gorączkowo poszukiwać Patrycji, chciał... musiał podzielić się z nią swoją radością. Gdy dostrzegł ją, zrobił w jej kierunku kilka kroków i zatrzymał się. Pat znajdowała się w grupie osób, w której wyróżniała się tylko jedna rzecz - ogromny kapelusz. „Skąd ona się tu wzięła?” - pomyślał, gdy spod kapelusza wydobył się głośny śmiech Gabrielli Faltzman. „Przecież ona nie miała zaproszenia” - pomyślał. Gdy w końcu przełamał się i postanowił podejść do Pat, tuż za swoimi plecami usłyszał niski, zmysłowy, kobiecy głos.

- Czy my się nie znamy?

Odwrócił się i stanął twarzą w twarz, a właściwie piersią w pierś z Rebeką Griffith. Ned słyszał nieco o stosowanych przez nią sposobach zdobywania ról i musiał przyznać, że miała ku temu warunki. Po prostu nie sposób było nie zaglądać do jej dekoltu.

- Raczej nie! - powiedział, patrząc na jej ładną twarz.
- A może byśmy się poznali? - Jej piersi wbiły mu się w przeponę tamując oddech.
- Nie mogę... - nie dokończył, jej ręka znalazła się pomiędzy jego nogami.
- Mam na ciebie ochotę - powiedziała szeptem, napierając na niego całym ciałem.

Ned odskoczył jak oparzony. Tak. Tego mu brakowało do szczęścia, żeby stać się obiektem westchnień jakiejś napalanej nimfomanki.

- Przepraszam! - powiedział chłodnym, stanowczym głosem. - Jestem zajęty.
- Gdybyś zmienił zdanie... - przymknęła oczy.

66

Ned wolał nie przedłużać tej rozmowy. Nie chciał pokazać Rebecce, że jej prowokujące zachowanie spieszyło go. Odwrócił się więc i szybkim krokiem przeszedł do bufetu. Tu ochłonął na tyle, żeby cała ta przygoda wydała mu się zabawna. Zachował się przecież jak uczeń, który po raz pierwszy w życiu usłyszał taką propozycję. „Szkoda, że się jeszcze nie zaczerwieniłem” - pomyślał z ironią i z niedowierzaniem pokręcił głową. „Po prostu uciekłem! Przestraszyłem się. Dobrze, że nikt tego nie widział”.

- Widzę, że zawarłeś bliższą znajomość z Rebeką! Cóż za wybór!

Ned rozpoznał głos Tony'ego i zdrętwiał. Jeśli Tony widział całe to zajście... Krew napłynęła mu do twarzy, ale zmieszanie szybko zostało wyparte przez gniew. A jeśli nawet, tojco z tego? Odwrócił się gwałtownie i spojrzał na niego z nieukrywaną wrogością. Napotkał równie wrogie spojrzenie.

- Właśnie powiedziała mi - zaczął, cedząc słowa - że po spotkaniu z tobą chciałaby dla odmiany poznać jakiegoś mężczyznę.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem i stojąc naprzeciw siebie przypominali dwa mosiężne posąжки rozgrzane do białości.

- Mój ojciec chce cię widzieć u siebie w gabinecie!

Nawet ta informacja w ustach Tony'ego zabrzmiała jak

obelga.

- Teraz?
- Tak! Teraz!

Ned chciał coś powiedzieć, ale rozmyślił się; to prowadziło donikąd. Zamiast zacząć kolejną awanturę, Ned odstawił kieliszek i skierował się ku schodom. Zastanawiające było to, jak szybko między nimi

dochodziło do starć. Wyglądało jakby ich wzajemna niechęć była im dana razem z kodem genetycznym. Wystarczało, żeby Tony poja-

67

wił się w jego pobliżu, a Edgar czuł od razu silne pulsowanie krwi w skroniach. Wolał nie myśleć, co by się stało, gdyby obaj dali się ponieść emocjom.

Chcąc wyrwać się z nieprzyjemnego stanu, zmienił kierunek swych myśli. Wrócił do spotkania z Patronim i niespodzianki, jaką ten mu sprawił proponując nakręcenie filmu. Praca pod okiem mistrza. Czy mógł oczekiwać czegoś więcej?

Zatrzymał się przed drzwiami gabinetu „starego” i lekko zapukał. Ich gładka, lakierowana powierzchnia chyba już zawsze będzie mu się kojarzyła z ich pierwszym spotkaniem. Był wówczas na granicy załamania - po dziesiątkach rozmów z producentami był wyczerpany do tego stopnia, że gdyby nie wiara Pat, poddałby się. To ona zorganizowała spotkanie z Torruccim; to ona przekonała go, żeby jeszcze raz spróbował. Gdy wówczas stanął przed tymi drzwiami, wiedział, że mogą być wrotami sezamu lub piekła. Dziś już wiedział, że były wejściem do krainy spełnionych marzeń. Chyba nigdy nie dowie się, co wówczas dostrzegł w nim Torrucci. Być może talent, a być może coś zupełnie innego. W każdym razie ten stary lis uwierzył w niego, a tego się nie zapomina.

Zniecierpliwiony oczekiwaniem zapukał ponownie, ale odpowiedzią była cisza. Ned nie zdziwił się specjalnie - znał przyzwyczajenia „starego”, który lubił sobie ucinać kilkunastominutowe drzemki o różnych porach dnia, za to w nocy nie sypiał prawie wcale. Delikatnie, tak żeby go nie zbudzić, Ned otworzył drzwi i cicho wszedł do środka. Ulubiony fotel producenta był jednak pusty.

- To ja, Edgar! - powiedział wystarczająco głośno, żeby Torrucci mógł go usłyszeć, nawet jeżeli przebywał w połączonej z gabinetem bibliotece.

Ned szedł w stronę wejścia do biblioteki i prawie potknął się o niego. Torrucci leżał nienaturalnie skręcony z twarzą

68

ukrytą w puszystym szarym dywanie, który wokół jego głowy nabrał szkarłatnego odcienia. Gratiano pochylił się nad ciałem i na widok roztrzaskanej czaszki zachwiał się i opadł na kolana. Przez chwilę patrzył na ciało nie widząc go, widział tylko czerwoną plamę wokół głowy Torrucciego-go. Potem pochylił się szukając oznak życia, choć miał świadomość, że nikt z taką raną nie mógłby przeżyć. Chciał jednak coś zrobić. Bezsilność była nie do zniesienia, potęgowała chaos w jego głowie. Chcąc opanować szalony pęd myśli, uchwycił się jednej: - To niemożliwe! To nie mogło się wydarzyć!

Usiadł na piętach. Był przybity i zrozpaczony. Ten człowiek był jego przyjacielem, który uwierzył w niego bardziej niż we własnego syna, stał się dla niego ojcem, a teraz leżał tu martwy.

Jego wzrok zatrzymał się na leżącej na dywanie masywnej, hebanowej figurce kobiety. Jej toporne kształty wydały mu się znajome i z ciekawości, odruchowo sięgnął po nią. Zamiast gładkiej powierzchni drewna pod palcami wyczuł lepki maź. Ze zdziwieniem popatrzył na podstawę figury, gdzie czern hebanu pokryta była brudną czerwienią i nagle przypomniał sobie... Ta figurka zawsze stała w gabinecie „starego”, a ostatnio taką samą pokazywał mu Walter. Taką samą... czy tę samą?

- Tato! Jesteś tu?

Ned poderwał się gwałtownie - w drzwiach stała Jessica.

- Ned!? - podskoczyła. - Ale mnie przestraszyłeś. Gdzie ojciec?

Ned stał jak sparaliżowany i nie mógł wydusić nawet słowa. W dłoniach kurczowo ścisnął nieszczęsna figurkę. „Jak Jessica zareaguje na widok ojca?”. Chociaż Ned jej nie lubił, wiedział jak bardzo kochała „starego”. Nie mógł pozwolić, żeby przeżyła taki szok, jak on przed chwilą. Musiał coś zrobić.

69

- Ned! Wyglądasz jak trup. Co się stało z twoimi rękoma? - podeszła już dostatecznie blisko, żeby zobaczyć ciało ojca. Jej oczy rozszerzyły się. Ned zrobił krok, chcąc zastonić sobą ten straszny widok i wyprowadzić ją z gabinetu. Jessica gwałtownie szarpnęła się w tył. Jej spojrzenie przesunęło się z ciała ojca na niego, zatrzymało się na jego dłoniach i z jej gardła wydobył się nieludzki, histeryczny krzyk. Głos bólu, rozpacz i strachu, który musiał być słyszany w całym domu. Ned doskoczył do niej, chcąc ją uspokoić, ale umknęła mu. Ścisnąjąc w rękę figurkę pobiegł za nią. Wołał, żeby się zatrzymała, ale Jessica nie usłuchała go. Dopiero w połowie korytarza udało mu się schwycić ją za ramię i zdumiał go krwawy odcisk dłoni, który zostawił na białej sukni. Jessica wykorzystała ten moment zawahania, z całej siły uderzyła go w twarz i wyrwała mu się akurat w chwili, gdy w korytarzu pojawił się Tony i kilku gości.

- On zabił tatę! To morderca!

Krzyk Jessiki zmroził Nedowi krew w żyłach. Stał przed powiększającym się szybko tłumem i spojrzał na swoje dłonie. Wzdrygnął się na widok zasychającej krwi i poczuł jak figurka rozżarza się w jego dłoniach i parzy mu palce. Upuścił ją na podłogę, a świat zaczął wirować w szaleńczym tempie. Teraz rozumiał przerażenie Jessiki i wrogość ludzi zagrządzających mu drogę. Oni po prostu byli przekonani, że jest mordercą. Musiał im to wytłumaczyć, wyjaśnić, że są w błędzie. Postąpił krok w ich stronę, lecz powstrzymał go pistolet Tony'ego wycelowany w jego pierś.

- Zatrzymaj się!

-Tony! Ja go nie zabiłem! To tylko tak wygląda! Uwierz mi!

- Wyjaśni to policja. A teraz nie ruszaj się, bo będę strzelał!

- Ale...

- Nie ruszaj się!

70

Ned ciężko oparł się o ścianę. Coś w nim łkało, rozdzierało serce i sprawiało nieznośny ból. Ta śmierć była tak nieoczekiwana i tak bolesna. Osunął się wzdłuż ściany na podłogę, podkulił kolana i oparł na nich głowę. Oto umarł ktoś, kogo darzył prawdziwym, głębokim szacunkiem; ktoś, kogo traktował jak ojca, a ten tłum bezdusznych istot nie tylko nie potrafił dostrzec jego cierpienia, ale podejrzewał go o... Nie był w stanie wypowiedzieć tego słowa. Co za potwór byłby zdolny do zabicia swojego dobroczyńcy?

- To, że masz tę zabawkę, nie znaczy, że będziesz mi rozkazywał, co mam robić!

Czy mu się zdawało, czy słyszał głos Gabrielli Faltz-man? Dlaczego miał jej rozkazywać? Czy to był sen? Tak! Uchwyc[^] się tej myśli. To na pewno był koszmarny sen. Uniósł głowę i rozejrzał się błędnym wzrokiem. Gabriella nacierała na Tony'ego, który starał się ją zatrzymać, lecz ona nie zwracała na to najmniejszej uwagi. Odepchnęła go robiąc miejsce dla Pat, która przecisnąwszy się przez tłum podeszła do Neda.

- Kochanie! - przyklękęła przy nim. - Jestem przy tobie.

Czuły dotyk jej dłoni uspokajał go, ale równocześnie odbierał te resztki hartu ducha, które w nim zostały. „Kochana Pat” - pomyślał, tuląc policzki do jej dłoni. Tylko ona rozumiała, co się działo w jego duszy, tylko ona chciała mu pomóc. Ci wszyscy, którzy jeszcze przed chwilą uśmiechali się do niego, teraz odwrócili się jak od trędowatego. Gdyby nie ona, byłby zupełnie sam.

- Ja go nie zabiłem! - powiedział przez łzy.

* * *

Porucznik Alvarez z Wydziału Zabójstw nie był człowiekiem, który na pierwszy rzut oka wzbudza sympatię. Je-

71

go ospowata, ciemna twarz miała w sobie coś odpychającego, a on sam wężąc dokoła bardziej przypominał gończego psa niż człowieka. Poza tym porucznik był rozdrażniony. Zawsze wrogo odnosił się do ludzi, którzy przysparzali mu dodatkowej pracy, zwłaszcza gdy byli to ludzie bogaci. Choć twierdził, że nie ma nic przeciwko moźnym tego świata, to w głębi duszy nie miałby nic przeciwko, żeby wszyscy oni pozabijali się nawzajem. Oczywiście nie wtedy, gdy był akurat na służbie.

W ciągu kilku minut zorientował się w sytuacji i wyrobił sobie zdanie na całą sprawę. Uważał się jednak za wzorowego policjanta, więc przystąpił do pełnienia obowiązków zgodnie z procedurą. Przepisy regulowały sposób postępowania z podejrzanymi i świadkami i porucznik jak zawsze miał zamiar postępować zgodnie z nimi - punkt po punkcie. Zanim jednak przystąpił do wypełniania pierwszego punktu regulaminu, stało się coś nieoczekiwanego, coś, czego przepisy nie opisywały zbyt szczegółowo. Córka denata rzuciła się na podejrzanego i okładając go pięściami zaczęła wyzywać go od morderców. Alvarez był zły, że nie przewidział tej sytuacji. Postanowił działać zdecydowanie i zapanować nad sytuacją. Musiał udowodnić swoją kompetencję i postanowił z tej zwykłej awantury uczynić wstępną konfrontację pomiędzy świadkiem i podejrzanym.

- Czy twierdzi pani z całą odpowiedzialnością, że to Edgar Gratiano zabił pani ojca? - zapytał oficjalnym tonem z marsowym wyrazem twarzy.

Jessica przytrzymana przez Tony'ego i jednego z policjantów spojrzała trochę nieprzytomnie na porucznika.

- Tak! - krzyknęła.

- Czy widziała to pani?

-Tak!

- Nie mogłaś tego widzieć! Ja... - Edgar, wytrącony z równowagi bezpodstawnymi oskarżeniami, krzyczał.

72

_ Spokój! - Alvarez był dumny, że potrafił skutecznie kontrolować zachowania innych i poskramiać emocje. -Pan będzie miał głos za chwilę.

Ned umilkł.

- Więc widziała pani jak pan Gratiano uderza pani ojca?

- Tak! Miał zakrwawione ręce i ojciec... Ta krew!

- Podniosłem figurkę, na której była krew! - Edgar nie panował nad sobą. - Tylko ją podniosłem! Nigdy...

- Proszę się uspokoić!

- Nie uspokoję się! Jestem niewinny.

- Sierżancie! - porucznik wystudowanym gestem przywołał podwładnego. - Proszę umieścić pana Gratiana w sypialni i zapewnić mu ochronę.

Gdy policjant zabrał Edgara, porucznik odetchnął z ulgą. Choć ni i wypadło to tak wspaniale, jak planował, to z pewnością udało mu się zachować twarz i wybrnąć z kłopotliwej sytuacji. Był z siebie dumny i z zadowoleniem stwierdził, że zachował się w sposób godny oficera policji - wykazał się elastycznością, zimną krwią i zdecydowaniem. W lekkim uśmiechu samozadowolenia uniósł kąciki ust -na tyle okazywania emocji mógł sobie pozwolić na służbie. Ten test własnej sprawności zdał doskonale i teraz ze spokojem mógł powrócić do działań rutynowych. „Pokażę im jak pracuje prawdziwy profesjonalista!” - postanowił.

Gdy Edgar znalazł się w pustej sypialni, wciąż jeszcze był oszołomiony. Wszystko działo się tak szybko, że dopiero teraz miał chwilę, żeby się zastanowić nad tym, co się stało. Im dłużej o tym myślał, tym silniejszy gniew go przepełniał. Był wściekły na Jessikę, że zarzuciła mu morderstwo. Jak mogła twierdzić, że widziała, jak uderzał jej ojca? Jak mogła coś takiego powiedzieć? Czuł się rozgoryczony i skrzywdzony. Jak mogli go podejrzewać? Kto przy zdrowych zmysłach mógł uwierzyć, że on, Edgar Gratiano, jest mordercą? Przecież to absurd!

73

Te rozmyślenia wypełniały mu czas oczekiwania, który dłużył się niemiłosiernie. Miał wrażenie, że wszyscy o nim zapomnieli. Jak w koszmarnym śnie, wszystko działo się wbrew jego woli i miał wrażenie, że na nic nie ma wpływu. Gdy w końcu zjawił się Alvarez, Edgar skoczył do niego niczym tygrys.

- Jestem niewinny. To wszystko to jakiś straszny zbieg okoliczności.

- Spokojnie! - porucznik powstrzymał go jednym władczym gestem. - Nie ja będę to osądzać. - Znów spodobał się sobie. - Proszę mi tylko opowiedzieć, co zaszło.

- Nic nie zaszło. On już leżał...

- Co zaszło od chwili, gdy pojawił się pan na przyjęciu - Alvarez zmarszczył brwi; nie lubił, gdy mu przerywano. - Proszę opowiedzieć to szczegółowo. Mamy dużo czasu.

Ned zrelacjonował swoje zachowanie, starając się nie pominąć najdrobniejszego szczegółu. Gdy skończył, Alva-rez zapytał:

- Więc twierdzi pan, że podniósł tę figurkę odruchowo?

-Tak!

- Tak po prostu podniósł ją pan?

- Mówiłem już, że Walter Quincy pokazał mi identyczną i to mnie zaskoczyło.

- Identyczną? A może tą samą?

Ned drgnął. Przez chwilę już przemknęła mu ta myśl, ale to było niemożliwe.

- Nie wiem. Wydaje mi się, że była identyczna.

Alvarez spojrzał na Neda z niechęcią. Znał takich ludzi.

Te uwagi na temat identycznej figurki miały go zbić z właściwego tropu i skierować podejrzenia na tego Quincy'ego. Sprytny sposób, żeby ratować własną skórę. Ci artyści wszyscy byli tacy sami. Porucznik miał już kiedyś podobny przypadek - malarz zabił swoją żonę, a potem chciał

74

zrzucić podejrzenia na swego przyjaciela. Gdyby tamtą sprawę prowadził jakiś żółtodziób, może by mu się udało. Na szczęście Alvarez zawsze był czujny.

- Niezwykły zbieg okoliczności - powiedział, pozwalając sobie na ledwie zauważalną ironię. - Zawsze mnie zadziwia, że takie niezwykle przypadki zdarzają się zwłaszcza w sprawach o morderstwo.

- Co pan sugeruje?

- Nic! Ale to bardzo niedobrze, gdy ktoś miewa takie niekontrolowane odruchy. Może stracić panowanie nad sobą i w innych sytuacjach.

Alvarez uznał tę uwagę za wyśmienitą. Jeśli ktoś był na tyle głupi, żeby z narzędziem zbrodni biegać po domu, to sam był sobie winien. Nawet jeśli był niewinny, to powinien zostać ukarany za bezmyślność.

- Proszę tu zostać! Wrócę do pana.

Ned został sam i ciężko opadł na łóżko. Łatwo było zauważyć, że porucznik nie był sprzymierzeńcem; jego aluzje były zbyt przejryste. Ale przecież nastawienie jednego tępego policjanta nie mogło być rozstrzygające w takiej sprawie. To wszystko, co zdarzyło się tego wieczoru, musiało się jakoś wyjaśnić, bez względu na poczynania porucznika. „Taki koszmarny sen nie może trwać wiecznie” - pomyślał, chcąc wzbudzić w sobie nadzieję, ale na razie nic nie zapowiadało szczęśliwego przebudzenia. Natłok myśli był przygniatający. Czy to była ta sama figurka? Czy Walter mógł mu pomóc? Jaki był jego udział w tej sprawie? Dlaczego Quincy wyjechał na festiwal filmowy akurat teraz? Mógłby przecież rozwiązać część wątpliwości. Kim był morderca Torrucciego? Gdzie on teraz przebywał? Zbyt wiele pytań, zbyt wiele niewiadomych. Jedyne, czego mógł być pewien, to fakt, że był głównym podejrzanym. To wydawało mu się zbyt okrutnym żartem, żeby mogło przydarzyć się nawet we śnie.

75

Wrócił Alvarez i Ned musiał zmienić zdanie.

- Tony Torrucci zaprzeczył, jakoby mówił panu, że jego ojciec wzywa pana do siebie.
- Przecież... - Ned umilkł w pół zdania. Straszne podejrzenie ścisnęło mu gardło. A jeśli Tony chciał wykorzystać tę sytuację, żeby się na nim zemścić? Jeżeli zaprzeczając, chce go pogrążyć?
- Poza tym kilkanaście osób widziało, jak szarpał się pan z córką denata.
- Chciałem ją tylko uspokoić. - Jego niepokój wzrastał. Jak to się działo, że wszystko, co wydarzyło się tego wieczoru, obracało się przeciwko niemu? - To mogło wyglądać inaczej, ale ja tylko chciałem ją uspokoić.

Alvarez chłodno popatrzył na Gratiano.

- Przykro mi, ale jestem zmuszony aresztować pana! Uprzedzam, że wszystko, co powie pan od tej pory, może być użyte przeciwko panu.

Nedowi wydawało się, że się przestyszał. Dopiero po chwili sens słów porucznika dotarł do niego.

- Pan się myli! - zaprotestował gwałtownie. - Ja tego nie zrobiłem. Zostałem w to wplątany przypadkiem.
- Tak! Przez faceta, który wyjechał. To już słyszałem. Nie ja to będę osądzał. Proszę nie utrudniać mi wykonywania czynności.

Gdy wyprowadzano go, wokół kłębił się tłum fotoreporterów.

- Co ma pan do powiedzenia, panie Gratiano? Jak do tego doszło? Zabiłeś?

Dziesiątki mikrofonów, kamer i rozpalonych twarzy. Zabójstwo rekina show-biznesu to był temat na pierwszą stronę.

Ned powtarzał jak zaklęcie jedno zdanie: - Ja go nie zabiłem! Ja go nie zabiłem!

76

Czuł się okropnie dźwigając na sobie dziesiątki spojrzeń. Wiele z nich potępiało go, jeszcze więcej oskarżało, ale najboleśniej odczuł obojętność jednego człowieka. W pierwszym szeregu stał Patroni, jak zwykle dostojny, chłodny, opanowany. Niestety w jego spojrzeniu również nie było żadnego uczucia. Minął Patroniego nie doczekawszy się najmniejszego gestu sympatii. Zanim się z tego otrząsnął, minął również Pat. Ona także nie spróbowała podejść do niego. Czyżby się bała zaszkodzić swojej karierze?

Choć bardzo chciał, żeby zabrzmiało to przekonująco, zabrakło mu wiary, by powiedzieć to pewnym głosem. Wbrew tym wszystkim spojrzeniom, jeszcze raz powtórzył:

- Ja go nie zabiłem!

j * * *

Potrzebował dobrego adwokata.

Siedział w areszcie i czuł się zupełnie bezradny. Jego przyjaciel prawnik, z którego usług już kilkakrotnie korzystał, pojawił się w areszcie chwilę po tym, gdy przywieziono tam Edgara. Starszy pan o dość jowialnym wyglądzie miał zatroskaną twarz. Gdy zapoznał się z pełnym obrazem sytuacji, jego twarz poszarzała.

- Ned! Jesteś moim klientem! - zaczął poważnym tonem. - Będę z tobą szczery. Jestem starym człowiekiem, który najlepsze lata ma już za sobą. W moim wieku miałbym wiele do stracenia i prawie nic do zyskania prowadząc tę sprawę. Nie czuję się na siłach ją wygrać, a nie chcę, żeby zrobiono ze mnie starego sklerotyka. Gdybym ją przegrał, byłaby to ostatnia sprawa w moim życiu.

- Ale ja jestem niewinny! - zauważył Ned. - To wszystko to zbieg okoliczności.

- Tylko że ten zbieg okoliczności jest tak niewiarygodny, że przekonanie ławy przysięgłych będzie graniczyło

77

z cudem. Do tego będziesz potrzebował jakiegoś młodego zapaleńca, a nie takiego starego piernika jak ja. Musisz znaleźć chłopaka z ikrą, najlepiej dobrze się zapowiadającego prawnika, który szuka życiowej szansy do wybicia się. Taki ktoś nie sprzeda cię w imię układów z prokuraturą. Mogę ci znaleźć takiego chłopaka.

Brzmiało to rozsądnie i Ned postanowił usłuchać rady. Jednak znalezienie odpowiedniego człowieka okazało się trudne. Stary adwokat zaproponował dwóch kandydatów, ale żaden z nich nie przypadł Edgarowi do gustu. Rozczarowany poprosił o pomoc Patrycję i Brunsa, ale oni także nie potrafili znaleźć właściwego człowieka. Edgar wiedział, komu chciałby powierzyć swój los i czekał właśnie na niego. Był pewien, że gdy go zobaczy, będzie wiedział, że to on.

Tym właściwym okazał się Sirus Sterling. Był młodym prawnikiem, z kilkoma sukcesami na koncie, ambitnym i szczerym do bólu. Niezwykle było to, że znalazła go Gabriella Faltzman. Ned z niedowierzaniem wysłuchał opowieści Patrycji o zaangażowaniu, z jakim Gabriella włączyła się w sprawę i musiał zmienić swoją opinię o tej kobiecie.

Sterling był żwawym młodzieńcem o fizjonomii zachwyconego królika i miał w swoim zachowaniu coś, co wzbudzało zaufanie. Jego bezpośredniość szybko zbudowała nić sympatii pomiędzy nim i Edgarem. Po godzinie rozmawiali jak starzy znajomi i jedynym zgrzytem był powód tego spotkania. Gdy Sirius poruszał tematy związane ze sprawą, Ned jeżył się.

- Gdybym stwierdził, że nie ma czym się martwić, to bym cię okłamał - Sterling po raz kolejny starał się wyjaśnić grozę sytuacji. - Ty bardziej potrzebujesz dobrego detektywa, który znalazłby nowe dowody, niż adwokata. Jeśli nie uda nam się podważyć dowodów oskarżenia, możemy w ogóle nie wychodzić na salę rozpraw.

78

- Ale ja go nie zabiłem!

- Wtedy pozostanie nam zabójstwo w afekcie - prawnik zdawał się nie słyszeć słów Neda. - Tak! Wtedy tylko przyznanie się da nam jakąś szansę na łagodny wyrok. Może ugoda?

Ned zaciął usta i po chwili milczenia, akcentując słowa, wycedził: - Wynająłem cię, żebyś dowiódł mojej niewinności i skoncentruj się na tym.

Sirus spojrział na niego uważnie.

- Czy zdajesz sobie sprawę, czym ryzykujesz? Nie mamy świadków, dowody przeciwko tobie są miażdżące, jeżeli przegramy, grozi ci dożywocie. Dlatego właśnie powinniśmy rozważyć wszystkie możliwości obrony, łącznie z ugodą. Jeśli okaże się, że nie można znaleźć żadnych dowodów /ia twoją obronę, ugoda może być najlepszym rozwiązaniem.

- Nie chcę takiego rozwiązania. Jestem niewinny!

- Może dasz mi dokończyć. Trzeba to skalkulować na chłodno. Może lepiej jest zdecydować się na łagodny wyrok, niż podjąć walkę, która w przypadku przegranej będzie cię kosztowała kilkadziesiąt lat więzienia? Jeśli się przyznasz, przy dobrze poprowadzonej obronie, dostaniesz od pięciu do dziesięciu lat. Mogę ci to zagwarantować. Wyjdiesz po odsiedzeniu połowy wyroku.

- Nie przyznam się do czegoś, czego nie zrobiłem! -Ned był zirytowany.

Nie tego oczekiwał od Sirusa. Sama myśl, że musiałby żyć napiętnowany zbrodnią, była nie do zniesienia. Czy Sirius tego nie rozumiał? Co miałby powiedzieć ludziom, przyjaciółom, Patrycji? Kto by mu wtedy uwierzył, że nie jest mordercą? Czy musiał to tłumaczyć Sirusowi? Czy pomylił się wybierając go na swego obrońcę?

- Jeśli nie chcesz prowadzić tej sprawy, to mi to powiedz.

79

Sirus rozłożył ręce. - Tego nie powiedziałem. Chcę ci tylko pokazać, jakie ryzyko podejmujemy i sprawdzić twoją determinację. Poza tym do moich obowiązków należy przedstawić wszystkie alternatywy.

- Tu nie ma żadnych alternatyw.

- To ty decydujesz.

* * *

Areszt dla żywiołowej natury Edgara był okrutną karą. Monotonny upływ czasu, odmierzany posiłkami i odwiedzinami, męczył i rozdrażniał. Przygnębienie Neda pogłębiał sukces jego filmu. Siedząc za kratami mógł śledzić euforyczne recenzje. Wiedział, że jest to niesamowity sukces i nie mógł w tym uczestniczyć. Za co został tak ukarany? Dlaczego odebrano mu możliwość bycia tam, w centrum wydarzeń. Z niecierpliwością czekał na wyznaczenie kaucji, ale tu też spotkał go zawód. Sędzia oddał wniosek Si-rusa o wyznaczenie kaucji. Równocześnie Ned dowiedział się, że Tony zakwestionował ważność umowy Edgara z Torruccim. Oznaczało to, że do czasu rozpatrzenia tej sprawy przez sąd Ned nie dostanie ani grosza. Co prawda, Sirius zapewnił go, że umowa jest ważna i nie ma w niej błędów prawnych, ale to nie poprawiło nastroju Edgara.

Znalazł odpowiedź, dlaczego tak nie znosił Tony'ego.

Gdy w areszcie zjawiła się Patrycja, Ned nie potrafił nawet udawać optymizmu. Siedział naprzeciw niej zaszępioty i przyglądał się jej pięknej twarzy, na której przeżycia ostatnich dni odcisnęły piętno zmęczenia. Nie chciał, żeby cierpiała przez niego. Tylko jak miał jej pomóc, skoro nie potrafił pomóc sobie? Ten koszmarny sen trwał już zbyt długo.

- Jak się czujesz, kochanie? - jej głos jak zwykle był cudowny.

80

„Zapomnieć o wszystkim! Wyjechać stąd i zabrać ją w jakiś dziki zakątek; może nad to jezioro, gdzie spędzili weekend cztery miesiące temu”.

- W porządku! - Chciał, żeby zabrzmiało to krzepiąco, ale wypadło dość żałośnie. - A ty?

- Dobrze! - uśmiechnęła się blado. - Trzymam się.

- A co z Barim?

- Tęskni za tobą. Prawie nic nie chce jeść.

- A film?

- Nie było takiego sukcesu od lat. Kina wprowadzają dodatkowe nocne seanse, na których sale wypełnione są po brzegi.

Ned pokiwał głową. O co jeszcze miał zapytać? Dopóki tu siedział, to wszystko nie miało znaczenia. Co z tego, że tam był! Był wiekiem dnia, jeśli tu był tylko więźniem. Zaciśnął pięści.

- Kochanie! - głos Pat wyrwał go z zamyślenia. - Rozmawiałam z twoim adwokatem... - mówiła z wahaniem, starannie dobierając słowa, jakby bała się popełnić błąd

- ...zbadał tę sprawę, zapoznał się z dowodami i rozmawiał ze świadkami i... Nie zrozum mnie źle, ale on twierdzi, że najlepszym rozwiązaniem byłoby przyznanie się do...

- głos jej się załamał.

Ned zacisnął dłonie na brzegach stołu. Dlaczego oni wszyscy chcą zrobić z niego mordercę? Dlaczego?

- Czy ty także uważasz, że go zabiłem? - zapytał ostro.
- Nie! To nie tak.

Patrzyła na niego z uczuciem, chcąc go przekonać, że mu wierzy. W jej oczach było jednak coś, co temu przeczyło. Były tam niepewność i obawa.

- To nie tak? A jak? Chciałbym wiedzieć, czy ty także uważasz mnie za mordercę?
- Neddzie, proszę cię! To tylko dla twojego dobra. On mówi...

81

- Wiem, co mówi. Rozmawiałem z nim. Chcę wiedzieć, co ty myślisz?

Patrycja opuściła głowę.

- Nie wiem! To wszystko jest takie... trudne. Nie wiem.

Ned odebrał to jak cios. Jeśli Pat nie była pewna, jeśli nie

potrafiła mu uwierzyć, to dlaczego miałby mu uwierzyć ktokolwiek inny? Przecież ona miała wątpliwości, mimo że go znała, mimo że go kochała. Jeśli nie ona, to kto miał uwierzyć, że jest niewinny?

- Idź już! Chcę zostać sam!
- Neddzie...

Opuścił głowę. Nie chciał, nie mógł powiedzieć nic więcej. Wpatrując się uparcie w brzeg stołu odczekał, aż Pat wstanie i wyjdzie. Gdy wychodziła czuł, że razem z nią odchodzi jego pewność, że wszystko samo ułoży się pomyślnie. Pozwalając jej wyjść, pozwalał rozwiać się złudzeniom, ale nie potrafił, a może nie chciał, jej zatrzymać. Co prawda, gdy znikła za drzwiami, poderwał się, chcąc za nią pobiec, ale szybko opadł na krzesło. To przecież Pat uświadomiła mu, że łudził się próżną nadzieją. Przez nią, a może dzięki niej zrozumiał, że będzie musiał stoczyć trudną walkę o swoje życie. Nie wiedział, czy być jej wdzięcznym, czy mieć do niej żal. Czuł tylko, że znowu jest sam. Nawet wtedy, gdy uciekł z domu, to uczucie nie było tak przytłaczające. Zacisnął zęby i z rozpaczliwą determinacją pomyślał: „Udowodnię im wszystkim jak bardzo się mylą!”. * * *

Gdy następnego dnia Sirius znów napomknął o możliwości przyznania się do winy, Ned był na to przygotowany. Nie zamierzał brać tej opcji pod uwagę, ale nie zamierzał również użalać się dłużej nad niesprawiedliwością oskarżenia. Był gotów do walki.

82

- Ja tego nie zrobiłem! - powiedział spokojnym tonem, który wyprowadził Sirusa z równowagi.

- Czy nie możesz zrozumieć zakuty łbie, że tutaj nie jest ważne, co zrobisz, a czego nie zrobisz. Liczy się tylko, jaki werdykt wydadzą sędziowie! To jest gra i żeby w niej wygrać, trzeba mieć jakieś atuty. My nie mamy nic!

- Więc trzeba ich poszukać.

Sirus spojrzął na niego uważnie.

- Mój przyjaciel mawia - kontynuował Ned - że gdy nie możesz góry przeskoczyć, powinieneś ją obejść. Sądzę, że rozumiesz, co miał na myśli.

Sirus uśmiechnął się lekko.

- Co on miał na myśli, nie wiem. Ale domyślam się, co ty masz na myśli.

- I co ty na to?

Sirus poskubał dolną wargę. Robił tak zawsze, gdy nad czymś intensywnie myślał.

- Gdyby udało nam się znaleźć prawdziwego mordercę, cała sprawa przybrałaby zupełnie inny obrót. Potem trzeba by znaleźć przeciw niemu dowody... To nie takie proste. Tu przydałby się dobry detektyw.

- To go wynajmij.

Sirus uśmiechnął się szeroko. - Już to zrobiłem.

Ned roześmiał się również. - Uwielbiam cię.

- Widzisz. Nadal uważam, że nie mamy zbyt wielkich szans i nie chciałem cię łudzić nadzieją, dopóki czegoś nie znajdziemy.

-1 odkryłeś coś?

- Poskładałem to, co wiemy i zrobiłem kilka założeń...

-1?...

- Po pierwsze przyjąłem, że to morderstwo było zaplanowane.

- Dlaczego tak uważasz?

83

- Po pierwsze: jeżeli było to przypadkowe zabójstwo lub zrobił to ktoś, kto nie miał motywu, to leżymy. Szansa, że go znajdziemy, jest jak jeden do miliona. Po drugie: jest kilka zastanawiających zbiegów okoliczności, a ja z zasady nie wierzę w niezwykłe zbiegi okoliczności. Ta figurka! Czy nie zastanowiło cię, że Walter Quincy pokazał ci taką samą, a raczej tę samą na kilka dni przed morderstwem? To stawia go w kręgu podejrzanych?

Ned pokręcił głową. - Walter?

- Daj mi dokończyć. Zakładam, że przyniósł ci tę figurkę, żebyś zostawił na niej odciski palców. To oznacza, że powinien wiedzieć, kto zaplanował morderstwo albo sam jest mordercą.

- To nie Walter! On się do tego nie nadaje! I na pewno nie potrafiłby zabić!

Sirus pokręcił głową. - To typowe dla ciebie. Zawsze zakładasz, że ludzie są lepsi niż w rzeczywistości? Pamiętaj! Nie oceniaj ludzi zbyt pochopnie, bo może cię to drogo kosztować. Ale tu się z tobą zgadzam. Po pierwsze, trudno znaleźć motyw, po drugie, ma świetne alibi. Na festiwalu widziało go parę tysięcy osób. Jednak sądzę, że jest w to zamieszany.

- W jaki sposób?

- Ktoś się nim posłużył.

-Kto?

- Tego nie jestem pewien, ale jest jeden świetny kandydat - Sirus zawiesił na chwilę głos - Tony Torrucci!

- Dlaczego on?

- Miał motyw. Jest winien mafii mnóstwo pieniędzy. Miał ostry konflikt z ojcem. I co najważniejsze: dlaczego zeznał, że nic ci nie mówił, że stary Torrucci cię wołał?

- Chyba nie chcesz powiedzieć, że zabił własnego ojca?

- Dlaczego by nie? Zabicie z zimną krwią własnego ojca z pewnością nie jest najpotworniejszą zbrodnią, jaką od-

84

notowały kroniki kryminalne. Młody Torrucci to niezły raptus i jest nieobliczalny, ale nie jest głupi. Byłby zdolny opracować taki plan i go zrealizować!

- Niemożliwe!

_ No tak! Dla ciebie najpotworniejszą zbrodnią, którą może popełnić człowiek taki jak Tony Torrucci, jest przejechanie skrzyżowania na czerwonym świetle. Już dopuszczenie myśli, że mógł wykorzystać śmierć ojca, żeby pogrążyć ciebie, wymaga od ciebie wysiłku. Wydaje ci się to nieprawdopodobne. A pomysł, że mógł to wszystko zaplanować, przekracza granice twojej wyobraźni.

Ned milczał. Jego umysł sprzeciwiał się słowom Sirusa. Zabicie własnego ojca dla pieniędzy czy też dla zemsty było czymś tak potwornym, że nawet Tony nie mógł być do tego |dolny.

- To niemożliwe, żeby Tony zabił własnego ojca. Rozmawiałem z nim wtedy. Nawet człowiek ze stalowymi nerwami nie mógłby zachować tyle zimnej krwi. Zdradziłby się czymś.

- A może miał współnika?

Ned patrzył na prawnika nie widząc go. Argumenty Sirusa miały swoją logikę. Trudno było mu nie wierzyć, ale Ned nie chciał przyjąć tego do wiadomości. Walter! Tony! A może ktoś jeszcze. Ale

dla czego mieliby to zrobić? Dlaczego on miałby być kozłem ofiarnym? Przecież nic im nie zrobił! Ale jeśli Sirius miał rację... Zaczęło ku niemu skradać się zwątpienie. Jeśli naprawdę był pionkiem w grze, to wykazanie niewinności będzie wymagało pokonania gracza, który ustalił jej reguły. To nie będzie łatwe. Czyżby naprawdę mógł zostać skazany za coś, czego nie zrobił? Czy mogli go ukarać za brak przebiegłości? Za wiarę, że świat jest lepszy?

- Czy naprawdę zdobywamy mądrość, kiedy przestajemy ufać innym? - zapytał Sirusa, chociaż to pytanie zadał

85

samemu sobie. - Powiedz, czy można zostać ukaranym za trochę naiwności? Czy to byłoby sprawiedliwe?

Sirus patrząc gdzieś w bok powiedział: - My mamy do czynienia z prawem, a nie ze sprawiedliwością. A ja mam wrażenie, że chociaż podobno są rodzeństwem, to bardzo kalekim. Jedno z nich mocno niedowidzi, a drugie jest ślepe.

- A czy nikt nie rozumie, że ja nie potrafiłbym zabić człowieka, który zrobił dla mnie więcej niż ojciec?

- A co on takiego dla ciebie zrobił? Dla niego to była kolejna udana inwestycja.

- Nie mów tak!

- Dlaczego? Co ty o nim wiesz? Dał ci pieniądze, bo dostrzegł twój talent. Tak to widzą ludzie i nie można ich za to winić. Powiedz, ile on by zarobił na tym filmie, a ile ty?

- Wynoś się!

- Dobrze, dobrze! Uspokój się! Wiem, co czujesz. Ja cię rozumiem, ale ci wszyscy...

- Zostaw mnie! Chcę być sam - Ned podparł głowę dłońmi.

Sirus skubnął dwa razy dolną wargę.

- OK, spotkamy się jutro.

Gdy Sterling wyszedł, Ned przekonał się, że pozbycie się go było kiepskim pomysłem. Fala przygnębienia powstrzymywana dotychczas żywotnością prawnika teraz rozlała się po umyśle Neda. Wiedział, że to wszystko, co mówił Sirius, niestety było prawdą, jednak odrzucił to. Chciał wierzyć, że sprawiedliwość istnieje. Chciał mieć nadzieję i wierzyć, że nie mogą go skazać za coś, czego nie zrobił. Gdyby przestał w to wierzyć, zgasłby ostatni promyk nadziei... No, może nie ostatni...

Miał jeszcze Patrycję. Jej uśmiech dodawał mu sił. Jej bliskość odpędzała zwątpienie. Gdy słyszał jej „kochanie”, przestawał wątpić w zwycięstwo. Z Patrycją u boku był go-

86

tów walczyć do upadłego. Bez względu jak długo będzie to trwało i ile wysiłku przyjdzie mu w to włożyć, wygra.

Musiał wygrać!

* * *

Rozprawa, śledzona przez tłumy reporterów, rozpoczęła się miesiąc później. Prywatne śledztwo Sirusa nie przyniosło znaczących rezultatów i do procesu przystępowali wyposażeni jedynie w podwyższony poziom czujności. Byli przygotowani do wyłapania wszystkich sygnałów, które mogłyby ich upewnić, że Tony Torrucci i Walter Quincy byli w to morderstwo zamieszani. Jediną szansą dla Edgara było potknięcie się w zeznaniach lub załamanie się któregoś z nich.

Prokurator Biggle rozpoczął od przesłuchania swych głównych świadków.

Pierwsza zeznawała Jessica.

- Czy widziała pani, jak Edgar Gratiano dokonał zabójstwa pani ojca?

Ned był w wojowniczym nastroju. To pytanie mu się nie podobało. Ale zanim zdążył zareagować, Sirus już działał.

- Sprzeciw! - głos Sirusa zabrzmiał jak huk wystrzału. - Oskarżyciel sugeruje świadkowi przebieg wydarzeń.

- Sprzeciw podtrzymany!

Sędzia rumiany, szpakowaty mężczyzna w wieku około sześćdziesięciu lat miał spokojny, nieco znudzony głos i sprawiał wrażenie powagi i dostojeństwa.

Ned spojrział z uznaniem na Sirusa. Tym bardziej był zadowolony, bo zauważył wrogie spojrzenie posłane Sirusowi przez prokuratora. Biggle właśnie zrozumiał, że będzie miał ciężką przeprawę z młodym prawnikiem, który na pierwszy rzut oka nie sprawiał wrażenia wojownika.

- Proszę nam opowiedzieć, co pani widziała - Biggle zmienił taktykę.

87

- Widziałam, jak Edgar pochylał się nad ciałem mojego ojca, trzymając w ręku zakrwawioną figurkę.

- Czy jego zachowanie wskazywało na to, że...

- Sprzeciw! - Sirus nie pozwolił Biggle'owi dokończyć pytania. - Świadek nie jest specjalistą od określania stanów psychicznych.

- Sprzeciw podtrzymany!

Edgar z uznaniem obserwował poczynania Sirusa. Narastająca irytacja Biggle'a, wyraz złości zakrzepły na jego wąskich rybnych wargach były jak balsam dla napiętych nerwów Neda. Teraz miał już stu procentową pewność, że wybrał właściwego człowieka.

Jessica odpowiedziała na ostatnie pytanie zadane przez prokuratora. Ten posłał Sirusowi lodowate spojrzenie, żeby chociaż w ten sposób wymusić dla siebie trochę respektu. Sirus wydawał się tego nie zauważać. Wstał rozluźniony i pewnym krokiem wyszedł na środek sali.

- Mam jedno pytanie do świadka - powiedział stając przed Jessicą. - Czy widziała pani jak oskarżony walczy z pani ojcem lub jak go uderza?
- Widziałam jak...
- Jednym zdaniem: tak czy nie?
- Nie! Ale...
- Dziękuję! Nie mam więcej pytań.

Ned obserwował Jessicę, której najwyraźniej nie odpowiadał sposób zadawania pytań stosowany przez Sirusa. Otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć, ale rozmyśliła się. Wstała z obrażoną miną i zajęła miejsce na sali. Ned przestał się nią interesować, gdy na salę wszedł Tony. Gdy Tony zajął miejsce dla świadka, ich spojrzenia skrzyżowały się. Ned zadrżał. Spojrzenie Tony'ego było zimne i pełne determinacji. Patrzyły na niego oczy człowieka, który zna stawkę, o jaką toczy się gra i jest przekonany, że wygra. Jeszcze nigdy nikt nie patrzył na Edgara z taką wrogo-

88

ścią. Nienawiść Tony'ego była porażająca, emanowała z niego jak chłód z wnętrza lodowej jaskini. Przez chwilę Edgarowi wydawało się, że widzi jakieś monstrum, które oplata go swoimi mackami i zaczyna dusić. Z trudem zaczerpnął głębiej powietrza i odwrócił wzrok.

Sirus zauważył ten pojedynek spojrzeń. Położył dłoń na ramieniu Edgara i nachylając się ku niemu szepnął: - Zaraz się nim zajmujemy. Trzymaj się!

Nienaturalna bladość twarzy Edgara zaczęła stopniowo ustępować. To dotknięcie Sirusa dodało mu sił. Zanim prokurator skończył przesłuchanie, Edgar powrócił do równowagi. Prokurator usiadł, a Sirus mrugnął do Neda porozumiewawczo i ruszył do boju.

- Więc twierdzi pan, że nie rozmawiał pan tego wieczoru z oskarżonym!
- Mówiłem już, że nie.
- Nie! Zeznał pan jedynie, że nie mówił pan oskarżonemu, że pański ojciec prosi go do siebie. Ja pytam, czy nie rozmawiał pan z nim w ogóle?

Tony zmarszczył brwi.

- Nie pamiętam dokładnie, ale raczej nie.
- Za to dokładnie pan pamięta, że nie mówił mu pan o prośbie ojca - Sirus na chwilę zawiesił głos. - A jak pan wytłumaczy fakt, że pani Graham i pani Faltzman zeznały, że widziały jak rozmawiał pan z oskarżonym; i to na chwilę przed tym jak oskarżony poszedł do gabinetu.

Tony zawahał się. Czy ktoś mógł słyszeć ich rozmowę? Ważył przez chwilę ryzyko, ale teraz nie mógł już odwołać swoich zeznań. To byłoby zbyt podejrzane.

- Być może powiedzieliśmy sobie „dobry wieczór”. Z pewnością nie była to rozmowa.
- Z pewnością! - Sirus powiedział to dość dwuznacznym tonem, ale zanim prokurator zdążył zareagować, zmienił temat.

89

- Zostawmy tę sprawę. Mam inne pytanie. Czy wiedział pan, że pański ojciec podjął kroki, by zmienić testament na pańską niekorzyść?

Przez salę przebiegł szmer, a Tony mocniej zacisnął szczękę.

- Nic mi o tym nie wiadomo - powiedział twardo.
- Ale przyzna pan, że pańskie stosunki z ojcem układały się, delikatnie mówiąc, nie najlepiej.
- Zgłaszam sprzeciw! - prokurator postanowił zrewanżować się Sirusowi. - To nie ma związku ze sprawą.
- Uchylam! - sędzia ostudził jego zapędy.

Tony przez chwilę milczał, a w końcu skinął głową.

- Tak! Różniliśmy się w kilku kwestiach.
- Na przykład pańskich długów?
- Sprzeciw!

Tym razem prokurator był jeszcze szybszy.

- Podtrzymany! Proszę obronę o trzymanie się meritum sprawy.

Sirus nawet na chwilę nie dał się wybić z rytmu.

- Czy pańskie kontakty z Edgarem Gratiano układały się na stopie przyjacielskiej, czy raczej nie darzyliście się sympatią?
- Sprzeciw!
- Podtrzymuję! Proszę obronę, żeby wyjaśniła, do czego te pytania prowadzą.

Sirus zawiesił przez chwilę spojrzenie na Tonym i dobitnym głosem powiedział: - Chcę zgłosić wniosek o nie branie pod uwagę zeznań świadka, ze względu na jego stronniczość. Wrogość świadka wobec oskarżonego jest powszechnie znana.

Po sali znów przetoczył się szmer. Edgar uśmiechnął się lekko, to zagranie Sirusa było bardzo zręczne. Tak czy inaczej Tony jako świadek został zdyskredytowany. Ned zauważył na jego twarzy cień niepewności i ten objaw ludz-

kiej słabości poprawił mu nastrój. Znów miał przed sobą człowieka, a nie monstrum. Mógł z nim walczyć i był pewien, że Tony go nie pokona, dopóki on sam się nie podda. A zamierzał walczyć długo.

Następnym świadkiem była Pat. Ned był zaskoczony, gdy dowiedział się, że oskarżyciel ma zamiar wezwać ją na świadka. Próbował zgadnąć, co kryło się w tym ruchu. Próbował wy badać Sirusa, ale ten albo nie chciał mu nic powiedzieć, albo sam nie miał pomysłu. Stwierdził tylko, że to nic dziwnego, że chcą przesłuchać pod przysięgą dziewczynę oskarżonego. Jednak Ned podświadomie obawiał się, że wydarzy się coś złego; coś, co odsunie Pat od niego. Wystarczyło mu już dręczące poczucie winy, które męczyło go od czasu ich rozmowy w areszcie. Omal jej nie zwymyślał za to, że troszczyła się o niego. Przeprosił ją już, ale nadal pozostał cień niepokoju. A przecież tylko przy niej czuł się szczęśliwy i bezpieczny.

Spojrzał na nią. Była jeszcze szczuplejsza niż zwykle i nadal piękna, choć jej ogromne oczy nie miały już tego niezwykłego blasku, który rzucał na kolana mężczyzn. Była wyczerpana. Kochana Pat! Musiała to wszystko bardzo przeżywać.

- Czy dobrze zna pani oskarżonego! - pytanie prokuratora wyrwało Neda z zamyślenia.

-Tak!

- To znaczy jak dobrze?

Patrycja spojrzała na Edgara i uśmiechnęła się nieznacznie.

- Jesteśmy kochankami, jeśli o to panu chodzi.

Ned uśmiechnął się również, była odważna.

- A czy to prawda, że z zamordowanym łączyły panią stosunki, hm... powiedzmy intymne?

Patrycja zamarła, Edgar również.

- Sprzeciw! - Tylko Sirus jak zwykle zachował zimną krew.

- Uchylam!

Ned jak zahipnotyzowany wpatrywał się w Pat, nie mogąc wykonać najmniejszego ruchu. „Dlaczego nie odpowiada? Czemu jest taka spięta i zmieszana? Dlaczego na mnie nie patrzy?”.

- Proszę odpowiedzieć!

- To było dawno temu! Jeszcze zanim poznałam Neda! - nadal unikała jego wzroku.

- Według zeznań służby ostatnia pani wizyta miała miejsce dziesięć dni przed morderstwem. Dom opuściła pani dopiero nad ranem. Czy pan Gratiano wiedział o tym?

Ned poczuł jak wali się na niego sklepienie sali. Nie słyszał odpowiedzi, nie widział jak Sirus zerwał się, by protestować. Lecił w głąb studni i słyszał tylko swój krzyk, który trwał w jego głowie. A więc to

wszystko było takie proste! I te perły! Asekuracja?! Ale dlaczego właśnie z Torruccim? Dlaczego z nim? Dlaczego nic mu nie powiedziała? Odszukał jej twarz i przez chwilę wydawało mu się, że Pat drwi z niego. Z bólem odwrócił wzrok i trafił na spojrzenie To-ny'ego. Wyraz triumfu w jego oczach był nie do zniesienia. Taką satysfakcję mógł odczuwać jedynie ktoś, kto właśnie doprowadził swój plan do końca. Ned przestał wątpić, że istnieje zbrodnia, której Tony nie potrafiłby popełnić. Ale było mu już to obojętne.

* * *

- Mówię do ciebie! - Sirius od godziny usiłował przebić się przez mur obojętności, którym otoczył się Ned. - Przestań o niej myśleć! To w tej chwili nie ma znaczenia. Ważne jest to, że nas dopadli. Zazdrość to świetny motyw.

Ned leżał na wąskiej kozetce, a jego twarz straciła wszelki wyraz.

- Daj mi spokój!

92

- Dobrze! Ale najpierw mnie wysłuchaj. Po pierwsze, mówiłem ci, żebyś nie oceniał ludzi zbyt szybko. Najpierw spróbuj się dowiedzieć, jakie miała motywy, a dopiero potem wydaj wyrok. Zachowujesz się jak dziecko, a ostatnio ktoś tu mówił o sprawiedliwości.

Ned drgnął. - Ty wiedziałeś ...?!

- Nie! Ale uważam, że każdy ma prawo do obrony. A poza tym fakt, że twoja dziewczyna najprawdopodobniej przespaa się z jakimś starym prykiem, to nie jest wystarczający powód, żeby umrzeć.

- Daruj sobie!

- Czy odkąd jesteście razem, ty nigdy nie przespaa się z żadną babką? Albo przynajmniej nie miałeś na to ochoty? Jeśli nie, no cóż, pierwszy rzuć kamieniem; ale jeśli tak, to może doycholery spróbowałbyś oceniać ją tą samą miarą co siebie!

Ned milczał. Przypomniał sobie tamten wieczór i dziewczynę. .. Ale wtedy czuł się taki samotny...

- W każdym razie przemyśl to! - Sirius nie zamierzał jednak dać mu nawet chwili do namysłu. - A teraz mnie posłuchaj! Mamy minimalną szansę, ale jeszcze nie przegraliśmy. Porozmawiam z Walterem... Nie mam pewności, że jest w to zamieszany, ale czuję, że maczał w tym palce. Może trochę go postraszę albo ruszę mu sumienie... W czasie przesłuchania może się załamać. Może się udać i dlatego chcę, żebyś jeszcze trochę powalczył... Poddać się zawsze zdążysz.

- Idź do diabła!

- Słuchaj! Jak mogę bronić kogoś, kto już pogodził się z wyrokiem? Gdzie ten facet, który chciał walczyć do upadłego?

- Jestem zmęczony!

Sirus pokręcił głową i wyszedł.

Ned tępo wpatrywał się w sufit. Ból! Gorycz! Ale przede wszystkim otępienie i apatia. Nagle stało mu się zupełnie

93

obojętne czy zostanie skazany, czy nie. Stracił Patrycję, jedyną kobietę, którą kochał i walka przestała mieć sens. Jeszcze niedawno nie wyobrażał sobie życia bez niej, a teraz... A może Sirus miał rację, może powinien jej wybaczyć? Ale co wybaczyć? Czy w ogóle mógł mieć do niej pretensje? On też nie był jej wierny. „Oceniaj ją tą samą miarą....”. Tylko dlaczego sprawiało mu to taki ból?

- Pani Patrycja chce się z panem koniecznie zobaczyć -staruszek strażnik przerwał jego rozmyślenia. - Bardzo proszę.

Ned poderwał się. W pierwszym odruchu chciał krzyknąć, żeby sobie poszła, ale głos uwiązł mu w gardle. „Boże! Ja nadal ją Kocham!” - pomyślał idąc do salki spotkań. „Nadal Kocham” - powtórzył, gdy ją zobaczył. Podeszedł do niej i usiadł ciężko naprzeciw. Przez chwilę wpatrywali się w siebie w milczeniu.

- Dlaczego z nim? - zapytał w końcu ochryplym od napięcia głosem.

- To przez ten film. Obiecał, że ty będziesz miał pieniądze na realizację, a ja zagram główną rolę.

Ned zdrętwiał. A więc to nie jego talent przekonał Tor-ruciego! To było zupełnie coś innego. Coś tak banalnego! „O Boże! Jakim ja byłem głupcem!”.

- Dlaczego mi o tym nie powiedziałaś?

- Bałam się...

Zrozumiał.

- To dlatego nie byłaś pewna czy to nie ja go zabiłem, prawda? Sądziłaś, że się dowiedziałem i wpadłem w szaf.

Pat powoli skinęła głową. A jakbyś się zachował, gdybyś dowiedział się o tym wcześniej, gdy on jeszcze żył? Czy przyjąłbyś to tak spokojnie?

Spokojnie? Chciał się rozeźmiać. Czy ona naprawdę uważała, że przyjął to spokojnie? Czy nie widzi, co się z nim dzieje?

94

- Zostawmy to! To nie ma już znaczenia. Zastanawiam się tylko czy tak trudno było ci uwierzyć we mnie na tyle, żeby nie kupować mi filmu w ten sposób?

- Właśnie dlatego, że wierzyłam, nie mogłam patrzeć jak się szamoczesz, chodząc od producenta do producenta. Ile czasu byś jeszcze stracił?

- Ty także!

Nie chciał tego powiedzieć. Wiedział, że Pat ma rację. Doskonale pamiętał, że był wówczas na granicy załamania, a Torrucci był już ostatnią nadzieją. Nie chciał..., ale nie potrafił powiedzieć jej nic ciepłego.

- Tak! Ja także! - mówiła patrząc mu w oczy. - Wiesz doskonale, ile znaczy dla mnie gra. Nie zamierzam cię oszukiwać, że nie zrobiłam tego również dla siebie. To są

ipsze lata. Wtedy byłam dla tej roli gotowa zrobić

- A to ostatnie spotkanie?

- Szantażował mnie. Obiecał, że to będzie ostatnie spotkanie i da mi spokój.

- Szantażował cię? Czym? Sznurami pereł?

Na chwilę opuściła wzrok, ale szybko podniosła go znowu.

- Tak! Masz rację! Byłam zbyt tchórzliwa, by uwierzyć w siebie. Nie potrafiłam żyć z widmem nędzy. Ja po prostu potrzebuję choć trochę pewności...

- Dałem ci wszystko, co miałem...

- Wiem. Dlatego cię kocham. Tamto to był najgłębszy krok w moim życiu, ale zabrakło mi odwagi, żeby wierzyć tak bezgranicznie jak ty.

Sądziłem, że kochać to znaczy również wierzyć...

- Nie jestem tak silna jak ty! Ty nawet w najtrudniejszych sytuacjach jesteś optymistą.

- Byłem! Zostałem wyleczony.

Zapadło kłopotliwe milczenie. Ned zdawał sobie sprawę, że to on powinien teraz wykonać gest. To on powinien zro-

95

zumieć, wybaczyć, ale nie zdobył się na to. Siedział wpatrzony w brzeg stołu i próbował strawić to, co bolało go najbardziej: jej brak wiary i zaufania.

- Dlaczego nawet nie próbowałaś wytłumaczyć mi tego wcześniej?

- Bałam się, że cię stracę!

Ned uśmiechnął się gorzko.

- I udało ci się.

- Neddie...

Nie zareagował. Gdy wychodziła, powiedział tylko -Opiekuj się psem! - zabrzmiało to o wiele brutalniej niż zamierzał, ale nie zrobił nic, żeby to złagodzić.

* * *

To była ostatnia szansa, a mimo to Ned zachowywał obojętność postronnego obserwatora. Przesłuchanie Waltera w wykonaniu Sirusa było mistrzowskim popisem i Edgar z zainteresowaniem patrzył na jego poczynania. Był to jednak ten rodzaj zainteresowania, który wzbudza wirtuoz przy pracy, a nie rozgrywka o życie; Ned był spokojny, a nawet apatyczny. Wynik tej potyczki znaczył już dla niego tak niewiele...

Słuchał Sirusa i cały czas starał się spojrzeć w oczy Walterowi. Zawiesił wzrok na jego twarzy, ale ten cały czas unikał spojrzenia. Robił to tak konsekwentnie, że Edgar nie miał już cienia wątpliwości, co do jego winy. Walter miał swój udział w tej intrydze i jedyną nadzieją były wyrzuty sumienia, które mogły go skłonić do wyznania prawdy. Być może, gdyby spojrzeli sobie w oczy, tama, którą odgradzał się Walter, pękłaby. Być może...

Po kilkunastu minutach Edgar zrezygnował z uporczywego wpatrywania się w Waltera. Jego spojrzenie przeniosło się na Tony'ego. W jego oczach dostrzegł niepokój i to

96

sprawiło mu satysfakcję. Uśmiechnął się z wyższością, tak by dostrzegł to Tony. Potem z niewymuszoną swobodą odwrócił się od niego.

To podziałało na młodego Torrucciego jak zanurzenie we wrzątku. Niepokój ogarnął go ze zdwojoną siłą i zrobiło mu się gorąco. Beztrioskie i pewne siebie zachowanie Edgara mogło wskazywać, że jego obrońca ma coś jeszcze w zanadrzu. Tylko co? Do tej pory wszystko przebiegało po myśli Tony'ego. Romans starego z Patrycją dawał Edgarowi świetny motyw działania. Figurka w jego rękach była dodatkowym obciążającym dowodem i teraz tylko jakiś cud mógł go uchronić przed otrzymaniem wyroku skazującego. Ale teraz Tony zaczął się obawiać, że ta łatwość, z jaką jego plan się realizował, zapowiadała katastrofę. Jego obawy dotyczyły osoby Waltera. Źle go ocenił i teraz był już pewien, że wciągnięcie Waltera w tę intrygę było błędem. Gdyby przewidział, ile nerwów będzie go to kosztowało, zrezygnowałby z jego udziału, nawet kosztem zmiany planów, które miał wobec niego na przyszłość.

Ich ostatnia rozmowa dała mu wiele do myślenia. Z trudem, grożąc i kusząc, udało mu się uspokoić rozwścieczonego Waltera, ale nie miał pewności czy ten spokój był trwały. Zachowanie Waltera było nieprzewidywalne i Tony obawiał się czy hak, na którym go zawiesił, jest wystarczająco mocny. Niepokoiło go to, że Walter poważnie rozważał możliwość poświęcenia siebie dla ratowania Edgara. Całe szczęście, że była jeszcze Patrycja.

- Pamiętaj - powiedział Walterowi w kluczowym momencie - Patrycja będzie potrzebowała kogoś, kto się nią zajmie. Taka kobieta nie może być sama.

Uważał, że to był decydujący argument. Jeżeli coś powstrzymało Waltera przed wydaniem go, to była wizja spędzenia życia u boku Patrycji. Być może nawet nie uświada-

97

niał sobie tego, ale Tony w tym względzie nie miał wątpliwości.

Sirus czarował Waltera. Robił wszystko, by sumienie aktora przemówiło i osiągał pewne efekty. Walter zachowywał się, jakby ktoś kłuł go rozżarzoną żelazką. „Życie Edgara jest w pańskich rękach” - to jedno zdanie, które usłyszał wczoraj od Sirusa, paliło jak ogień. Nie mógł spać, a teraz brakowało mu tchu. Musiał zdecydować, czy żyć z poczuciem winy, od którego nigdy się nie uwolni, czy poświęcić siebie. Na dokonanie drugiego wyboru brakowało mu jednak odwagi.

Sterling podszedł do niego trzymając w dłoniach figurkę kobiety. Uniósł ją na wysokość jego twarzy i patrząc w oczy zapytał: - Czy widział pan już tę figurkę?

Walter milczał. Chciał uciec, rozpuścić się, zniknąć. Spojrzał na Tony'ego i wzdrygnął się, jakby zobaczył wielką jaszczurkę. Z lękiem przeniósł wzrok na Edgara i po raz pierwszy od początku procesu ich spojrzenia skrzyżowały się. Obojętność, z jaką patrzył na niego Edgar, wstrząsnęła nim. Poczł się małym człowieczkiem, żalonym w swym strachu i tchórzostwie. W spojrzeniu Neda nie było ani oczekiwania, ani nadziei. Nie było tam też gniewu ani nienawiści. Był spokój i odrobina ciekawości i to było najstraszniejsze. Poczł się tak, jakby to jego sumienie patrzyło na niego, żeby ocenić, czy ma prawo nazywać siebie człowiekiem. To było nie do zniesienia.

- Tak! - powiedział w pierwszym odruchu, próbując się uwolnić od przygniatającego go ciężaru i przyznać się do wszystkiego. Zaraz jednak przyszło opamiętanie. Nie mógł pogrążyć siebie. Nie mógł tego zrobić.

- Widziałem ją u Torrucciego w gabinecie! - wyjaśnił szybko, trochę zbyt szybko.

- I nigdy więcej nie miał jej pan w rękach?

- Nie! - to był rozpaczliwy krzyk. - Nigdy.

98

Tony poczuł, że jego serce zaczyna bić ponownie. Edgar, który na chwilę wyrwał się z obojętności, skrzywił się rozczarowany. Sirus zamarł w wyczekiwaniu, ale Walter już na niego nie spojrzał. Wpatrywał się w swoje dłonie z wielką determinacją i Sirus zrozumiał, że to już koniec.

- W takim razie dziękuję panu. Mam tylko nadzieję, że wie pan, co pan zrobił.

Sirus wrócił na swoje miejsce.

- Rozprawa zostaje odłożona do jutra do godziny dziesiątej - głos sędziego zabrzmiał jak wyrok.

Edgar nękanym flesztami i pytaniami powoli opuszczał salę.

- Czy jest pan winien? Jakiego wyroku się pan spodziewa? Dlaczego zabiłeś? Czy odpowiedź jest w filmie?

Edgar zatrzymał się. Ostatnie pytanie wydało mu się tak niedorzeczne, że roześmiał się. Flesze rozbłyły ze zdwojoną intensywnością.

- Nie powinieneś tego robić! - zauważył Sirus.

- Przecież to już nie ma znaczenia. To koniec!

* * *

Siedzieli obaj na kozetce w celi i milczeli. Słowa były zbędne. Słowa były niebezpieczne. Żaden z nich nie chciał powiedzieć tego, z czego obaj zdawali sobie sprawę. Łudzili się, że dopóki te słowa nie zostaną wypowiedziane, nie staną się rzeczywistością. W końcu jednak milczenie stało się bardziej nieznośne niż prawda.

- Przegraliśmy!

Ned spojrzął na Sirusa i mimo woli uśmiechnął się. Teraz, gdy entuzjazm ulotnił się z twarzy prawnika, jego wystające zęby nadały twarzy nieco komiczny wyraz.

- Zrobiłeś dla mnie tyle, że jest mi głupio, że przegraliśmy. Twoja kariera...

99

- Moja kariera! - parsknął prawnik. - Możesz mi wierzyć, że jak dotąd nic takiego nie istniało. Ta sprawa z pewnością jej nie zaszkodzi.

- Ale jednak przegrałeś!

- Tak! Przegrałem - powiedział z goryczą i skubnął dolną wargę. - Przegrałem resztę złudzeń. Jeżeli nie ma sposobu, żeby uratować takiego faceta jak ty, jaki sens ma praca prawnika? Twoja wiara w sprawiedliwość była czymś, czego ci zazdrościłem. Byłeś beznadziejnie uparty i bezwzględnie przekonany o swojej racji i... za to właśnie cię podziwiałem. Na tym paskudnym świecie był ktoś, do kogo zawsze mógłbym obrócić się plecami nie obawiając się ciosu. To warte więcej niż kariera. A ja cię zawiodłem - głos Sirusa załamał się.

- To nie twoja wina - Ned poklepał go po ramieniu. - Zrobiłeś wszystko, co możliwe. To chyba ja zbyt późno zrozumiałem zasady tej gry. Widziałem to, co chciałem widzieć i wydawało mi się, że umiem odróżnić dobrych i złych. Nie chciałem uwierzyć, że niektórzy mogą mnie nienawidzić bardziej, niż potrafię to sobie wyobrazić, że niektórzy, których uważałem za przyjaciół, zdradzą mnie dla własnej korzyści. To była skuteczna lekcja... trochę gorzka, ale skuteczna. Dziś wiem, że takie złudzenia mogą być kosztowne. To, co wiemy o innych to pozory, domysły. Nigdy nie możesz mieć pewności, z której strony może paść cios. Jeśli tego nie zrozumiemy w porę - przegrywamy.

- Tak! Tylko, że wtedy, gdy już to wiemy, wiemy także, że przegraliśmy coś znacznie większego.

Zamilkli.

Wszystko, co miało być powiedziane, zostało powiedziane. Wszystko, co mogło być zrobione, zostało zrobione. Teraz musieli już tylko czekać na wyrok, a wyrok mógł być tylko jeden.

100

- Ile dostanę? - zapytał Ned.

- Nie wiem! To zależy od sędziego. Prawdopodobnie dwadzieścia pięć.

Ned zastanowił się chwilę. - Będę miał pięćdziesiąt jeden.

- Wyjdiesz po piętnastu, może siedemnastu latach. Dobre sprawowanie. Amnestia.

Ned uśmiechnął się. - To i tak za dużo!

- Posłuchaj! Ja się nie poddam! Ten proces przegraliśmy, ale znajdę dowody, znajdę sposób, żeby wydostać cię z więzienia. To, że oni dziś są górą, nie znaczy, że tak będzie jutro. Znajdę coś na nich. Tylko ty też musisz walczyć, nie możesz się poddawać.

Ned spojrzał na niego uważnie.

- Dzięki! Żałuję, że poznaliśmy się w takich okolicznościach. Myślę, że zostalibyśmy dobrymi przyjaciółmi.

- Nie wiem jak ty, ale ja już uważam cię za swojego przyjaciela. To nie ma znaczenia, jakie są okoliczności. Być może dzięki nim poznaliśmy się lepiej. I dlatego wiem, że zrobię wszystko, żebyśmy mogli już niedługo pójść na piwo i pogadać przy szklaneczce.

- Nie zapomnę tego, co dla mnie zrobiłeś. Byłeś doskonały.

Sirus skrzywił się.

- Gdybym naprawdę był doskonały, dowiodłbym twojej niewinności. Chcę jednak, żebyś wiedział, że bez względu na to, ilu ludzi uzna cię winnym, ja do nich nie dołączę. Nawet gdy proponowałem ci przyznanie się do winy, byłem pewien, że ty go nie zabijeś. Nie jesteś zabójcą. Wiem to! Po prostu wiem, że nigdy nie potrafiłbyś zabić człowieka!

CZĘŚĆ DRUGA

Cztery lata spędzone wśród szarych ścian, szarych ludzi, podłego żarcia, brudu i morderstw, czyli cztery lata w Grant Martel - jednym z najlepiej strzeżonych i cieszących się złą sławą więzień. System bezpieczeństwa był skomputeryzowany, samobieżne automaty wyposażone w superprecyzyjne czujniki przemierzały korytarze więzienia i miały zapewniać spokój i porządek. Taka była teoria. W praktyce, co kilka tygodni któryś z więźniów ginął.

Niektórzy ginęli próbując ucieczki. Elektroniczni strażnicy byli niezwykle skuteczni. Superczułe detektory podczerwieni, czujniki zdolne zarejestrować bicie serca z odległości stu metrów lub drgania spowodowane przez spacerującą mrówkę, pozwalały namierzyć każdego więźnia. Małe działko laserowe zamontowane na pokrywie strażnika każdego namierzonego uśmiercało jednym krótkim błyskiem laserowego promienia. Miał to być element odstraszący. Świadomość, że przy próbie ucieczki więzień ryzykuje życiem, miała ich powstrzymać przed próbowaniem. Jednak działało to tylko na tych, którzy mieli szansę na odzyskanie wolności, ale nie na tych, którzy mieli wyroki opiewające na setki lat. Ci starannie planowali, czekali na dogodny moment i ruszali. Ich zwłoki pokazywano pozostałym ku przestrodze.

102

Jednak śmierć w Grant Martel nie była niczym niezwykłym; każdy miesiąc przynosił kolejną ofiarę wewnętrznych porachunków. Tu, tak samo jak na zewnątrz, istniały gangi, które miały swoje strefy wpływów, przywileje i walczyły o lepszą pozycję w hierarchii więziennej. Śmierć była zjawiskiem powszednim, zwłaszcza że władze więzienne interweniowały dość rzadko. Niepisaną zasadą było, że

dopóki więźniowie mordują się między sobą i nie atakują strażników, to nie należy im przeszkadzać. To sprawiało, że świat Grant Martel wymagał odwagi, siły i bezwzględności. Tacy byli jego mieszkańcy i takim po czterech latach stał się Edgar, ale droga, którą przeszedł, była długa i bolesna.

Pierwsze dni były najgorsze. Gdy dowiedział się, do jakiego Więzienia został skierowany, spodziewał się, że będzie ciężko, ale koszmar, który go czekał, był czymś znacznie gorszym niż oczekiwał. Czuł się jak człowiek zamknięty w klatce z dzikimi zwierzętami, a raczej potworami. Zwierzęta zabijały tylko po to, żeby przeżyć, tu każdy pretekst był dobry. Mimo że był zagubiony i osaczony, nie poddawał się. Codziennie, gdy o piątej trzydzieści szedł pod prysznic, gdy jadł obiad i gdy kładł się spać, powtarzał sobie słowa Sirusa: „Człowiek żyje, dopóki walczy”. Walczył więc, choć każdy dzień przynosił nowe porażki i odbierał część nadziei.

Chciał wyjaśnić, dlaczego został zesłany do tak ciężkiego więzienia, ale Sirus nie znalazł nic pewnego. Słyszał tylko plotki, że ktoś przekupił sędziego, że gubernator był przyjacielem starego Torrucciego i teraz chciał się zemścić na jego mordercy; że...

I Ned szybko zrozumiał, że nie miało znaczenia „dlaczego”, ważniejsze było to, czy uda się coś zmienić, czy jest sposób, żeby uzyskać przeniesienie do więzienia o łagodniejszym rygorze. Sirus obiecał mu to i... Ned został sam

103

na sam z więzienną rzeczywistością. Pierwsza lekcja nauczyła go, że oczekiwanie na przeniesienie może być czymś, co dodaje nadziei, ale najpierw trzeba było dożyć do tego dnia, a to mogło być bardzo trudne.

Mijał właśnie drugi tydzień pobytu Neda w tym piekle. W głowie wciąż jeszcze huczał mu zgrzyt zamykanej bramy, wciąż jeszcze, gdy budził się, ulegał złudzeniu, że u jego boku jest Pat, a już dowiedział się, co znaczyło być w męskim więzieniu młodym, niezbyt silnym fizycznie chłopakiem. Pobity, prawie nieprzytomny cudem uniknął roli, jaką przydzieliło mu kilku niezaspokojonych więźniów. Wkrótce przekonał się, że cud miał metr dziewięćdziesiąt wzrostu i praktykę wśród komandosów i terrorystów. Nazywał się Archie i był najlepszym nożownikiem w Grant Martel. Dzięki niemu Ned poznał tajniki więziennego życia; dzięki niemu nauczył się jak nie dać się zgwałcić i nie płacić za to połamanymi żebrami; w jaki sposób unikać kar i dodatkowych dyżurów w kuchni; kogo się bać, a kogo słuchać. Dostał instrukcję przetrwania w tym świecie stworzonym przez istoty, które z rasą ludzką łączyła jedynie przynależność biologiczna.

Walka wręcz, ćwiczenia fizyczne, walka na noże! Odporność na ból, odporność psychiczna, szybkość reakcji. Po roku takiego szkolenia Archie uczynił z Neda maszynę przystosowaną do walki o przeżycie. Więzienie przestało być już takim koszmarem. Ned zaadaptował się do istniejących warunków, a nawet wywalczył sobie pewną pozycję w więziennym hierarchii. Jednak prawa tu panujące były sprzeczne ze wszystkim, w co jeszcze tak niedawno wierzył.

Minęło kolejne sześć miesięcy nauki, gdzie jedynym tematem zajęć było przetrwanie i Ned zaczął wierzyć, że mając u swego boku takiego przyjaciela jak Archie, nie zginie tutaj. Jak kruche były to podstawy wiary, jak złudne na-

104

dzieje, przekonał się, gdy Archie zabił Murzyna o imieniu Casus. Było to jedno z tych drobnych starć, do jakich dochodziło tu często i śmierć Casusa była bardziej nieszczęśliwym wypadkiem niż zamiarem Archiego. Niemniej jednak zabicie kilka dni później dwóch kumpli Casusa było już koniecznością. Ned, zaskoczony i trochę przerażony rozwojem wydarzeń, był zupełnie zdezorientowany. Archie zaczął go unikać i wszelkie pytania na temat tego, co się dzieje, zbywał półśłówkami. Dopiero, gdy Ned przyparł go do muru, na postawione wprost pytanie, odparł:

- Chcesz, kurczę, wiedzieć, czemu cię unikam? - Archie był rozdrażniony. - Dla twojego dobra, kurczę! Znajomość ze mną jest niebezpieczna; jestem „gorący”.

Ned wiedział, co to znaczy - ktoś wydał na Archiego wyrok śmierci.

- Dlaczego? - zapytał.

Archie ze zniecierpliwieniem pokręcił głową.

- Wiesz, że są tu różni faceci, jest kilka gangów. Jak wykończysz jednego, kurczę, to reszta musi cię załatwić; inaczej stracą twarz. Prawo jest proste - życie za życie. Wykończyłem, kurczę, czarnucha, który należał do gangu, teraz oni wykończą mnie.

Ned z niedowierzaniem popatrzył na niego.

-1 ty mówisz to tak spokojnie?

- A jak mam, kurczę, mówić?

- Nauczyłeś mnie jak się bronić, jak być twardym, a teraz sam chcesz się poddać bez walki?

- A co, kurczę! Mam pozabijać ich wszystkich? Podpadłem im, a ich jest trzydziestka, a ja sam. Jeszcze trochę mi się uda, a potem i tak mnie dopadną. Takie reguły. To ostatnia moja lekcja dla ciebie. Jeśli, kurczę, kiedyś wpadniesz w takie tarapaty, masz do wyboru: dać się udupić albo (co wychodzi, kurczę, na to samo) spróbować nawiać. Innych możliwości nie ma.

105

- Nie jesteś sam! Masz tu przyjaciół. Pomogą ci!

Archie roześmiał się gardłowo.

- Przyjaciół? Kurczę, jesteś nawiedzony? - zamilkł na chwilę, a potem zupełnie innym tonem dokończył: -Mam nadzieję, że poradzisz sobie beze mnie.

Tego samego dnia, akurat w czasie, gdy Ned bezskutecznie szukał kogoś, kto chciałby im pomóc, Archie został pchnięty nożem. Mimo natychmiastowej pomocy, zmarł w drodze do szpitala.

To był dla Neda szok. Stracił jedynego przyjaciela, jakiego tu miał i przekonał się jeszcze, że nawet taki facet jak Archie, któremu wielu ludzi zawdzięczało życie, mógł liczyć tylko na siebie. Tutaj każdy dbał o własny tyłek i nic więcej go nie obchodziło. Ned potrafił to zrozumieć, ale nie potrafił wybaczyć. Tych, którzy zabili Archiego, nienawidził równie mocno jak tych, którzy bojąc się o własną skórę nie pomogli mu. Jego rozgoryczenie było tym większe, że uświadomił sobie, jak wiele miał szczęścia spotykając tu kogoś takiego jak Archie. To był niezwykle dar, który otrzymał wtedy, gdy najbardziej

tego potrzebował, tym bardziej bolała teraz ta strata. Przekonał się też jak niepewny jest tu los człowieka.

Było jeszcze coś. Wśród rzeczy, które pozostały po Ar-chim, było małe pudełko, w nim kilka drobiazgów i kartka papieru wyrwana z jakiejś książki, a na niej czterowiersz:

Weź moją duszę do nieba, na zielone łąki.

Wiem, że nie zasłużyłem, na tę łaskę,

Ale zanim mnie potępisz na wieki

Pozwól mi zobaczyć raj; bo piekło już widziałem. * * *

Mijały dni, tygodnie, miesiące. Ból po stracie przyjaciela został przytłumiony przez upływ czasu, lecz wrogość

106

wobec innych więźniów pozostała. Edgar stał się niebezpieczny, zamknięty w sobie, twardy i zupełnie osamotniony. Nie minął nawet rok od śmierci Archiego, a Ned zdobył pozycję człowieka, którego w równej mierze obawiano się, jak i szanowano. Najczęściej jednak po prostu go unikano. Nie szukał przyjaciół; nie szukał też wrogów. Czasem pomagał tym, którzy mieli kłopoty (zwłaszcza gdy mieli je z Murzynami), czasem bił się dla zasady. Zawsze sprzężony, gotów do walki był wystarczająco niebezpiecznym przeciwnikiem, dlatego niewielu próbowało naruszać jego spokój. Mógł więc żyć sobie w miarę spokojnie, ćwiczyć ciało, które funkcjonowało jak dobrze naoliwiona maszyna i... No właśnie! Dzień po dniu, te same twarze, te same czynności, te same ściany. Jak długo można tak żyć i nie statś się pozbawioną uczuć i myśli rośliną? Jak długo? Chcąc ratować swą duszę, próbował pisać, lecz wszystko, na co go było stać, to kilka stron rękopisu. By tworzyć, musiał oderwać się od rzeczywistości, a na to w Grant Martel nie można było sobie pozwolić. Kto chciał przeżyć, musiał twardo stąpać po ziemi. Ned, chociaż bronił się przed tym, po czterech latach upodobił się do tych wszystkich, którzy przestrzegali tego najważniejszego przykazania.

Mimo to, gdy czasem porównywał się z nimi, czuł się jak bogacz wśród żebraków. Gdy patrzył na ich szare, zatrute zwątpieniem twarze, wówczas najpełniej uświadamiał sobie swą przewagę. On miał coś, czego brakowało większości z nich - miał nadzieję. Dopóki Sirius nie rezygnował z prowadzonego na własną rękę śledztwa, dopóki szukał dowodów jego niewinności, Ned wierzył, że wydostanie się stąd dużo wcześniej niż za dwadzieścia kilka lat. Rozmowy z prawnikiem, które odbywał regularnie, co dwa miesiące, dostarczały mu zapasu energii wystarczającego na samotną walkę o przetrwanie, aż do następnego widzenia. Po czterech latach te spotkania stały mu się równie niezbędne

107

do życia jak powietrze. To dzięki nim nie załamał się po śmierci Archiego, dzięki nim miał kontakt z tym jakże odległym, a oddzielnym przecież jedynie murem, światem. Światem, w którym żyła jedyna kobieta, którą kochał - Patrycja Sheraton.

Ona kochała go również. Pisała mu o tym w listach, mówił mu to Sirius. Dzięki temu nie tracił nadziei, że kiedyś będzie jeszcze takim człowiekiem, jakim był, zanim zaczął się ten koszmar. Dopóki był ktoś,

kto nie skazał go na zapomnienie, dla kogo nadal coś znaczył, mógł mieć nadzieję, że gdy stąd wyjdzie, uda mu się zacząć życie od nowa. Mimo to nigdy jej nie powiedział, jak wiele to dla niego znaczy. Nie powiedział też, jak bardzo ją kocha. Uczucie to pielęgnował, chroniąc je przed brutalnością świata Grant Martel. Ogrzewał się w jego ciepłe zawsze, ilekroć ogarniało go przygnębienie. Mimo to powiedział Pat, że po tym, co przeżył, nie potrafi kochać nikogo. Jej wizerunek był jedyną częstką piękna, jaką udało mu się tu przemyścić, a jednak nie zgadzał się na widzenie z nią. Nie było to spowodowane chęcią umartwiania się. Wiedział, że wcześniejsze uwolnienie wcale nie jest rzeczą pewną i chciał dać jej szansę na znalezienie szczęścia, nawet, jeśli on miałby tu spędzić resztę życia. Uważał, że nie ma prawa zachować się inaczej, w czym zupełnie nie zgadzali się z Sirusem.

- Przecież ty ją kochasz do szaleństwa! Dlaczego jej o tym nie powiesz? - dziwił się prawnik.
- Właśnie dlatego, że ją Kocham.

Ned pamiętał dzień, gdy Pat, pomimo że nie zgodził się na to, przyjechała na widzenie. Jak wiele radości i bólu sprawił mu jej widok, gdy patrzył na nią zza uchylonych drzwi. Ukryty tak, żeby go nie zobaczyła, z trudem oparł się pokusie, by podbiec do niej. Był jednak pewien, że patrząc w jej oczy nie potrafiłby ukryć tego, co czuł naprawdę. Domyśliłaby się wszystkiego, a przecież nie mógł do tego dopuścić.

108

- Nie chcę zniszczyć jej życia. To ty powiedziałaś, że mamy tu do czynienia z prawem, a nie ze sprawiedliwością. Powinieneś to rozumieć lepiej ode mnie. Jeżeli nie uda ci się znaleźć dowodów przeciw Tony'emu, nie uwolnią mnie wcześniej niż za piętnaście lat. Wtedy będę starym, zniszczonym człowiekiem. Nie mam prawa wymagać od niej, żeby czekała na mnie tak długo.
- A może pozwoliłbyś jej samej o tym zadecydować?
- Nie! Chcę, żeby była szczęśliwa bez względu na to, czy będzie szczęśliwa ze mną, czy z kimś innym. Zasługuje na to! A nie sądzę, żeby potrafiła ułożyć sobie życie, jeśli będzie wiedziała, że dziś Kocham ją jeszcze bardziej niż wtedy, gdy mogliśmy być razem. Jest zbyt wrażliwa. Na pewno miałaby poczucie winy, że zostawia mnie w chwili, gdy jej wczucie jest wszystkim, co posiadam; a tego nie chcę. Nie mogę dopuścić, żeby czuła się winna tylko dlatego, że miała pecha i zakochała się akurat we mnie. To nie jej wina, że mnie tu zamknęli i nie ona będzie za to płacić. Samo jej istnienie jest dla mnie wystarczającą nagrodą. Nie dowie się prawdy dopóki nie znajdziesz dowodów mojej niewinności.
- A jeśli je znajdę?
- Wtedy możesz powiedzieć jej wszystko. Zresztą wtedy ja jej to powiem. Na razie nie mów jej nawet, że podejrzewamy Tony'ego. Wystarczy mi rozczarowanie, jeśli nie uda ci się nic znaleźć. Nie chciałbym dorzucać do tego jej straconej młodości.
- Dobrze. A jeżeli w tym czasie w jej życiu pojawi się ktoś inny?
- Jeśli stąd wyjdę, będę o nią walczył nawet z całym światem. Dziś lepiej, żeby myślała o mnie jak o zmarłym, bardzo bliskim zmarłym.

Chociaż słowa te wypowiadał bardzo stanowczo, starając się zrobić na Sirusie wrażenie człowieka zdecydowanego

109

i przekonanego o słuszności swego postępowania, w rzeczywistości pełen był wątpliwości. Czy naprawdę tak łatwo pogodziłby się z tym, że Pat jest z innym mężczyzną? A jeśli nie zostanie uwolniony, jeśli będzie musiał odsiedzieć cały wyrok? Czy myśli, że sam z własnej woli odrzucił jej miłość, nie stanie się gwoździem do trumny? Czy za piętnaście lat nadal będzie uważał, że postąpił słusznie? Pytania te zadawał sobie tym częściej, im dłużej przebywał w Grant Martel. Był pewien, że wcześniej czy później przez nie oszaleje.

Gdy mijały miesiące, a on nadal tkwił w tych przeklętych murach, zaczął się bać, że popełnił błąd. Dlatego z takim utęsknieniem czekał na wiadomości od Sirusa i dlatego tak wielką była jego radość, gdy w końcu, po czterech latach pobytu tutaj, usłyszał od niego: - Wiem, kto zabił Torrucciego! Mam dowody, że to Falstaff.

Dla Neda te słowa miały magiczną moc. Było to zaklęcie dające wolność, obietnica szczęścia.

- Czy to pewne? - zapytał drżącym głosem.

- Tak! To, co mam, powinno wystarczyć każdemu sędziemu, ale chcę jeszcze zdobyć coś przeciw Tony'emu. Jeśli uda mi się go sprowokować do popełnienia błędów, wyślemy ich do więzienia na długie lata. On już zaczął się bać. Kazał mnie nawet śledzić. Sądzę, że nie minie nawet miesiąc, a będę go miał na widelcu.

- Nie chcę czekać miesiąca! Chcę wyjść stąd tak szybko, jak to będzie możliwe.

- Wyjdiesz! - zapewnił go Sirus. - Za dwa dni mam spotkanie z prokuratorem. Przedstawię mu dowody i wniosę o ponowne rozpatrzenie twojej sprawy, ale to i tak musi trochę potrwać. W międzyczasie zajmę się Tonym. Nie bój się, nie będziesz siedział tu nawet dnia dłużej niż będzie to konieczne.

Ned nie mógł uwierzyć swojemu szczęściu. Czy to był sen? Czy naprawdę wydostanie się z tego piekła? Czy bę-

110

dzie mógł żyć tak, jak o tym marzył? Jeszcze wczoraj to wszystko wydawało mu się tak odległe, a dzisiaj...

- Jeśli będziesz miał te dowody, powiedz Pat, że chciałbym się z nią widzieć i przywieź ją tutaj. Dobrze?

- Obiecuję! - Sirus uniósł dłoń w geście zapewnienia.

Obiecał... i nie zjawił się.

* * *

Czas mijał, powoli dni przemieniały się w tygodnie, a Ned nie miał od niego żadnych wiadomości. Stopniowo euforia zaczęła przemieniać się w niepewność. Tłumaczył sobie, że nie ustalił z Sirusem dnia spotkania i nie powinien się denerwować, ale oczekiwanie, gdy każdy dzień mógł być ostatnim dniem koszmaru, było torturą nie do zniesienia. Był rozdrażniony, czuł się oszukany. A gdy prawnik nie zjawiał się w ciągu dwóch miesięcy, ogarnęło go przerażenie, że wolność, która była tak blisko, wymknie mu się z rąk. Wykorzystał przysługującą mu rozmowę telefoniczną, ale zamiast głosu Sirusa usłyszał głos jego automatycznej sekretarki. Zostawił wiadomość - bez rezultatu. Wysłał list - bez odpowiedzi. Nie sypiał, nie jadł, nie odzywał się. Za to z każdym dniem stawał się coraz bardziej agresywny.

Na efekty nie trzeba było długo czekać. Trzy dni po upływie terminu zwyczajowego spotkania z prawnikiem Ned, za pobicie dwóch więźniów i uśmiercenie pobicia strażnika, trafił do karceru. Zamknięty w małej klatce, w której chcąc się położyć, musiał związać się w kłębek, pozbawiony światła i jedzenia, przeklinał swoją głupotę. Teraz nawet gdyby Sirius zjawiał się tutaj, on nie dowiedziałby się o tym. Myśl, że prawnik mógł przyjechać z Patrycją, a on by się z nią nie zobaczył, doprowadzała go do szału. Jedyne pocieszenie znajdował wmawiając sobie, że gdy

111

wyjdzie z karceru, Sirius będzie już na niego czekał. Jednak, gdy kara się skończyła, zamiast Sirusa czekał na niego list wysłany przez jakąś kobietę o nazwisku Jones. W pierwszym odruchu chciał porwać go w strzępy; w porę jednak opamiętał się. Przypomniał sobie, że tak właśnie nazywała się sąsiadka Sterlinga, o której prawnik kiedyś mu opowiadał. Nerwowym ruchem rozerwał kopertę i szybko przebiegł wzrokiem treść listu. Szanowny Panie!

Jak zapewne Panu wiadomo jestem sąsiadką pana Sterlinga, który często opowiadał mi o Panu. Nazywał Pana swoim przyjacielem, dlatego poczuwam się do obowiązku powiadomienia Pana o nieszczęściu, które nas spotkało. Otóż mój drogi sąsiad nie żyje. Dwa miesiące temu został potrącony przez samochód i zmarł w szpitalu nie odzyskawszy przytomności. Piszę do pana dopiero teraz... Ned nie mógł czytać dalej. Litery rozplynęły się, a on przygięty z bólu, ogłuszony tym ciosem podniósł umęczoną twarz i patrząc w odrapany sufit wycharczał:

- Dlaczego? Za co? Co wam zrobiłem przekłęci bogowie? * * *

Monotonny rytm dnia - prysznic, posiłek, praca; posiłek, przerwa, posiłek, sen. Stały repertuar zniechęconych czynności, które miały być treścią jego życia przez dziesięć, a może dwadzieścia lat. Ned nie mógł się z tym pogodzić. Czyżby więc te cztery lata zmagania były daremnym wysiłkiem? Czyżby jego przeznaczeniem była wegetacja, którą z trudem można nazwać życiem? Czy miał się stać taką samą, niemal pierwotną istotą, jak ci wszyscy, którzy siedzieli tu kilkadziesiąt lat? On, który tak kochał piękno, który widział sens życia w tworzeniu. Czy miała sens walka o piętnaście czy dwadzieścia lat takiej egzystencji? Jeśli

112

minione pięć lat odebrało mu wszystko, co cenił w sobie najbardziej, jakie spustoszenia poczyni kolejne dwadzieścia? Dwadzieścia lat! A przecież nie mógł już mieć nadziei. Gdyby Sirius przed śmiercią dostarczył dowody prokuratorowi, wiedziałby już o tym. Musiał pogodzić się z tym i musiał

pogodzić się, że nie będzie już nikogo, kto zachęcałby go do walki. Musiał zaakceptować fakt, że jeśli chce uniknąć powolnego konania, musi stąd uciec.

Ta myśl stała się obsesją. Gdy tylko otrząsnął się z pierwszego szoku, zaczął planować ucieczkę. Szybko przekonał się jednak, że działając w pojedynkę nie ma najmniejszych szans. Jeśli ucieczka miała mieć szansę powodzenia, musiał znaleźć współników, przynajmniej kilku zaufanych ludzi. Tylko skąd ich wziąć? Tu w Grant Martel miał, co najwyżej, kilku wrogów; przyjaciół nie miał żadnych. Oa śmierci Archiego wystarczyło mu, że się go bali, nigdy nie starał się, żeby go lubili lub ufali mu. Teraz musiało się to zmienić. To wymagało czasu - miesięcy, a być może lat. Postanowił wykorzystać każdą nadarzającą się sposobność.

Okazja pojawiła się nieoczekiwanie. A wszystko zaczęło się od bardzo prozaicznej wizyty w łazience.

Gdy Ned wszedł do łazienki, Bart Lombardi - prawa ręka szefa w gangu mafijnym - mył właśnie ręce. Nie znali się bliżej, ale wystarczająco dobrze, żeby się rozpoznać. Zmierzyli się twardymi spojrzeniami i nie dostrzegłszy żadnego zagrożenia przestali się sobą interesować. Ned wszedł do kabiny i zamknął za sobą drzwi. Nie zdążył jeszcze opuścić spodni, gdy za drzwiami rozległy się niepokojące odgłosy. Zaintrygowany poprawił spodnie i delikatnie uchylił drzwi.

Trzej Murzyny dopadli Lombardiego jak ogromne muchy. Bart próbował jeszcze się bronić, ale dwaj czarni przycisnęli go do ściany uniemożliwiając mu jakikolwiek ruch.

113

Trzeci otworzył sprężynowy nóż, uniósł go na wysokość twarzy i wycedził: - To od Macabu! - Nie zdołał jednak zrobić z niego użytku. Ned pamiętał, kto zabił Archiego i nie zamierzał spokojnie przyglądać się, jak ginie z ich ręki kolejna ofiara. Pchnął drzwi i jednym skokiem znalazł się przy napastnikach. Zanim którykolwiek z nich zdołał zareagować, Ned chwycił Murzyna uzbrojonego w nóż za dłoń i za ramię i jednym potężnym szarpnięciem wyłamał mu rękę. Trzask miazdzonego stawu i ryk bólu; Ned zostawił swoją ofiarę petzającą po śliskiej posadzce. Dwaj pozostali próbowali podjąć walkę, ale nie na wiele im się to zdało. Wpadł na jednego z nich i zadał mu cios w szczękę tym groźniejszy, że poparty impetem całego ciała. Murzyn nie zdążył jeszcze upaść, a Ned już był przy jego koledze.

Ten był jednak zdecydowanie szybszy od swych kumpli, Ned poczuł jak po żebrach ześlizguje się nóż. Ból podrażnił go. Nie panując nad sobą chwycił Murzyna za kark i roztrzaskał mu głowę o brzeg umywalki. Odsunął się przed padającym ciałem i dysząc ciężko przyjrzał się dziełu zniszczenia, którego dokonał.

Był zaszokowany tym, że zabił człowieka, ale jeszcze bardziej tym, że w chwili, gdy to zrobił, odczuł coś w rodzaju satysfakcji.

„Nigdy nie potrafiłbyś zabić człowieka!” - przypomniał sobie słowa Sirusa i z niedowierzaniem pokręcił głową. „Przecież właśnie to zrobiłem!” - pomyślał z niesamowitą trzeźwością i wzdrygnął się. Czy to Sirius mylił się wówczas tak bardzo, czy od tego czasu to on tak bardzo się zmienił?

- Gdzie zgubiłeś swoją obstawę? - zapytał Lombardiego takim tonem, jakby to on był wszystkiemu winien.

Mafioso przyglądał mu się badawczo.

- Dlaczego to zrobisz?

114

- Bo miałem ochotę!

- Niezły jesteś! Słyszałem o tobie wcześniej, ale dopiero teraz widziałem cię na własne oczy w akcji. Chętnie przyjmę cię do nas.

Ned skrzywił się. - Zbytek łaski!

- Jak chcesz! W każdym razie jestem twoim dłużnikiem.

Ned skinął głową i zebrał się do wyjścia. Bart zatrzymał go.

- A co z tymi dwoma? - Głową wskazał dwóch poturbowanych, ale żywych Murzynów. - Jeśli nie chcesz mieć kłopotów, powinniśmy ich dobić.

-Nie!

Jeśli nawet potrafił zabić, to nie mordować z zimną krwią. ^

- Jeśli ci dwaj przeżyją, to będziesz miał na karku cały ich gang. Załatwią cię!

- Powiedziałem: Nie!

- Twoja sprawa! Ale myślę, że szybko wspomnisz moje słowa.

Trzy dni później w pralni dopadli go czterej Murzyni. Byli wysocy, twardzi i silni, a przede wszystkim potrafili się bić. Mimo to do chwili, gdy jeden z napastników przebił mu nożem biceps prawej ręki, Ned bronił się skutecznie. Walcząc tylko jedną ręką nie miał najmniejszych szans; został przewrócony, a jeden z Murzynów przycisnął go kolanami do ziemi. Ned strącił go z siebie, ale zabrakło mu sił, żeby powstać. Wsparty na kolanach i zdrowej ręce widział jak drugi z napastników unosi nogę i jak ta sama noga w niewiarygodnym tempie zbliża się do jego twarzy. W ostatniej chwili szarpnął się w tył, dzięki czemu kopnięcie w twarz rozbiło mu tylko nos; ale nie odebrało przytomności. Jeszcze jeden kopniak w brzuch i zaraz następny w twarz. Rzuciło nim o ścianę, na której zatrzymał się, ude-

115

rzając w nią całym impetem zranioną ręką. Jęknął głucho, a świat skrył się nagle w głębokim cieniu.

- Wydaje ci się, że jesteś bohaterem? - głos Murzyna docierał do niego jak przez ścianę. - Jesteś tylko zawszonym białasem! Słyszysz!

Znów kopnięcie w brzuch.

- Powtórz! Jestem białym gnojem!

Ned chwytając się jakichś rurek i kranów spróbował podciągnąć się na nich, by stanąć na nogach; jednak zawiodły go siły. Opadł na brudną posadzkę, zostawiając na równie brudnej ścianie krwawy

ślad. Mniej zapuchniętym okiem, tym, na które jeszcze trochę widział, spojrzął na wykrzywione twarze Murzynów i wypluwając krew wycharczał: - Zabiję was!

Zainkasował za to kolejny cios w twarz.

- To my wyprujemy ci flaki!

Najwyższy z napastników, czarny olbrzym o ostro rzeźbionej twarzy, roześmiał się unosząc nóż.

- Ale najpierw zajmujemy się twoimi oczami.

Ned przyglądał się wąskiemu ostrzu noża do chwili, aż znalazło się w zasięgu jego nogi. Zbierając resztki sił kopnął Murzyna w dłoń i wytrącił mu nóż. Właśnie w tym momencie pojawił się Lombardi ze swoimi ludźmi. W ciągu kilku sekund Murzyni zostali poszatkowani, a Ned wyniesiony.

Chwilę przedtem stracił przytomność.

* * *

Ocknął się w sali medycznej. Czuł się tak, jakby przejechał po nim walec, ale był żywy. Z tą diagnozą zapadł w niespokojną drzemkę. Śniło mu się, że budzi go Pat i zdziwił się bardzo, gdy po otwarciu oczu, a właściwie oka, zobaczył pochyloną nad nim twarz lekarza.

116

- Jak się czujesz?

Ned miał problemy z otwieraniem ust, więc lekko skinął głową.

- Mam wiadomość od Barta - lekarz zniżył głos. - Kazał ci powiedzieć, żebyś był gotów. Potrzebne ci świeże powietrze. Rozumiesz?

Ned przymknął na chwilę oko na znak potwierdzenia.

- Bart poczeka, aż dojdiesz trochę do siebie - dziwny posłaniec w białym kitlu na chwilę zawiesił głos. - Ale nie może czekać zbyt długo.

Ned po raz drugi mrugnął potakująco. Gdy otworzył oko, lekarz zniknął równie cicho i tajemniczo, jak się pojawił.

Kiedy spróbował zebrać myśli, a szło mu to dość opornie, jednak wystarczająco sprawnie, by doszedł do wniosku, że ta nieoczekiwana możliwość ucieczki jest jego jedyną szansą na przeżycie. „Żaden człowiek nie ma szans w walce z organizacją!”. Archie! Archie! Jak zawsze miałeś rację! - Ned zrozumiał w końcu, co przyjaciel miał na myśli mówiąc te słowa: „J^epiej późno niż wcale” - pomyślał. Tylko że możliwość docenienia rad Archiego nie zawdzięczał własnej mądrości, lecz Bartowi Lombardiemu. „Gdyby Bart spóźnił się minutę, byłbym już martwy” - pomyślał z goryczą. - „A ja głupi miałem wyrzuty sumienia, że zabiłem człowieka”. Przecież to wszystko stało się przez to, że był za miękki. Gdyby zgodził się wykończyć tych dwóch czarnuchów, teraz nie miałby takich problemów. Była to gorzka prawda, ale prawda. Sirius zawsze zmuszał go do walki, ale nigdy nie mówił o tym, że to wymaga bezwzględności. - Jeśli go nie zabijesz, on zabije ciebie! - To była kolejna lekcja przeżycia.

Głowa zaczęła mu ciążyć, ale próbował bronić się przed zaśnięciem.

- Muszę być czujny! - nakazał sobie i z tą myślą zasnął.

* * *

117

Jego organizm był wyjątkowy - w ciągu czterech dni Ned doszedł do siebie na tyle, żeby nie podejrzewać się o halucynacje, gdy zjawił się u niego Lombardi.

- Co ty tu robisz?

- Wziąłem dyżur w kuchni. - Bart wskazał wózek zastawiony talerzami. Mrugnął do Neda, podszedł do kamery umieszczonej w rogu salki i zakleił ją gumą do żucia. Była to jedyna sprawna kamera, która ocalała po odstąpieniu od systemu obserwacji na rzecz automatycznych strażników.

- Raczej tego nie używają, ale strzeżonego... - wyjaśnił Bart. - Moi ludzie postarali się o to, żebyśmy mieli chwilę spokoju, ale czasu mamy niewiele. Czy przyłączasz się do nas?

- A mam inne wyjście?

- Rozsądne pytanie - Bart z aprobatą pokiwał głową. - Więc słuchaj! Plan wygląda następująco. Po pierwsze: udało się nam przekupić faceta od konserwacji, automaty na tym poziomie mają ostatnio przytępiony „słuch” i znacznie słabszy „wzrok”. Po drugie: ponieważ w nocy korytarze są oświetlone jedynie podczerwienią, postaraliśmy się o wojskowe peleryny pochłaniające promieniowanie podczerwone i o gogle noktowizyjne. - Bart podał mu niewielką paczkę. - Gdy to założysz, będziesz widział, nie będąc widzianym. To powinno wystarczyć, żeby przemknąć się obok strażników. Po trzecie: po kolacji lekarz przyniesie ci elektrycznie podgrzewany koc. Włączysz go i ułożysz na łóżku. Dla detektorów podczerwieni będzie to po prostu jasna plama ciepła. Przy odrobinie szczęścia nikt nie zauważy, że cię pod nim nie ma. Akcja zaplanowana jest na dzisiejszą noc. Dwie godziny po wygaszeniu świateł musisz być gotowy. Załóż pelerynę i gogle i nie ruszaj się, dopóki po ciebie nie przyjdę. OK?

- A co potem?

118

- O nic się nie martw! Ta ucieczka jest planowana od trzech miesięcy i wszystko jest już gotowe. Ty musisz jedynie wytrzymać dość długą wspinaczkę po drabinie sznurowej. Mam nadzieję, że dasz radę z tą swoją ręką?

- A mam inne wyjście?

Bart roześmiał się.

- Dlaczego to robisz, Bart? Dlaczego mi to zaproponowałeś?

- Powiedzmy, że nie lubię mieć długów.

- Raz już uratowałeś mi życie.

- Więc chcę cię zwerbować do organizacji. Zadowolony?

Zanim Ned odpowiedział, Bart odkleił z obiektywu gumę, zabrał wózek i wyszedł. Ned nie miał mu tego za złe. Jakie znaczenie miała odpowiedź na pytanie: dlaczego Bart to zrobił? Ważne było tylko, że była to szansa przeżycia. Jeśli zostałby tutaj, wcześniej czy później skończyłby jak Archie. To już nie był wybór między dwudziestoma latami nędznej wegetacji i wolnością, lecz między życiem i śmiercią; a Ned nie chciał umierać. Poza tym obiecał sobie, że nie przepuści żadnej sposobności, żeby się stąd wyrwać. Tylko że teraz, już za kilka godzin, miał dotrzymać danego sobie słowa i zaryzykować życie. Powoli narastał w nim niepokój. Tłumaczył sobie, że podjęcie każdego ryzyka jest lepsze, niż pogodzenie się ze śmiercią, ale niewiele mu to pomagało. Przecież nie wiedział nawet, w jaki sposób wydostaną się z Grant Martel. W jaki sposób miał ocenić ryzyko, na które się zdecydował, jeśli wszystko, co wiedział o planie ucieczki, zawarte było w kilku zdaniach wypowiedzianych przez Barta. Ned domyślał się, że ta tajemniczość spowodowana była ostrożnością. Taki człowiek jak Lombardi nie dowierzałby własnej matce, a co dopiero zupełnie obcemu człowiekowi. Ned rozumiał to, ale nie potrafił pozbyć się wrażenia,

119

że decyduje się na skok przed siebie z zamkniętymi oczami. Być może wyląduje bezpiecznie, ale równie dobrze

może runąć w przepaść.

* * *

Gdy zgasło światło, włączył koc, który przyniósł lekarz i zaczął odliczać upływające minuty. Korciło go, żeby od razu założyć gogle i pelerynę, ale byłoby to niepotrzebne ryzyko. Ktoś mógł zajrzeć do niego i zdziwiłby się bardzo, gdyby zobaczył go tak przebranego. Ned leżał więc spokojnie i próbował ustalić upływ czasu. Dopiero, gdy uznał, że minęły dwie godziny, założył sprzęt na siebie.

Świat wrócił do niego w zielono-seledynowych półcieniach. Edgar zaczął wpatrywać się w drzwi, ale zanim dostrzegł jakikolwiek ruch minęła wieczność. Nabral już pewności, że cały plan się zawalił, a Barta złapano. Już miał zdjąć pelerynę i gogle, gdy nagle drzwi uchyliły się. Ned zamarł. Za chwilę miał się przekonać czy jego podejrzenia były słuszne. Jeśli ktoś ich zdradził...

- Jesteś gotów? - usłyszał szept.

Wyteżył wzrok, aż do oczu napłynęły mu łzy. Nie dostrzegł nikogo.

- To ty, Bart? - zapytał niepewnie.

- Tak! Popraw pelerynę. Idziemy.

Ned dopiero teraz zauważył odrobinę ciemniejszą plamę zieleni w miejscu, z którego dochodził głos. Wyciągnął dłoń i dotknął ramienia Barta.

- Tak! Trochę nas widać! - powiedział Bart. - Kaptur i gogle nie zasłaniają całej twarzy. Ale nie martw się; czujniki automatów są wystarczająco rozstrojone, żeby tego nie wychwycić. Pamiętaj tylko o jednym: jeżeli natkniemy się na strażnika, zatrzymaj się, pochyl głowę i absolutnie żadnego ruchu. A teraz idziemy! - Bart wcisnął mu do ręki ka-

watek linki. - Jeśli chcesz żyć, trzymaj się tego. Nikt nie będzie cię szukał, jeżeli się zgubisz.

Wyszli na korytarz i ruszyli cichym krokiem. Ned starał się sprawiać jak najmniej hałasu, ale zeszywniałe ciało stawiało zbyt duży opór. Chciał poruszać się jak indiański wojownik na łowach, a zamiast tego kuśtykał jak niedołążny starzec.

Właśnie zaklinał swoje mięśnie, by funkcjonowały sprawniej, gdy Bart zatrzymał go i zmusił do przykłonienia. Ned spojrzał przed siebie i mocniej przycisnął się do ściany; wprost na nich jechał automatyczny strażnik. Tak jak nakazał Bart, opuścił głowę, ale nie potrafił powstrzymać się przed zerkaniem na pełną jego stronę siłowniki. Czuł na sobie chłodne oko strażnika i w wyobraźni* widział oślepiający błysk laserowego promienia, który odbiera mu życie. Przypomniał sobie, o czym go uprzedzono, gdy się tu zjawił; ta maszyna potrafiła wykryć bicie serca z odległości stu metrów. Momentalnie tętno wzrosło mu dwukrotnie, a serce zaczęło uderzać z taką siłą, jakby chciało wyrwać się z klatki piersiowej. Co gorsza, im bardziej starał się je uspokoić, tym biło mocniej. Wydawało się niemożliwe, żeby automat tego nie zarejestrował. Ned w desperacji pomyślał o ucieczce. Zerwał się i pobiec przed siebie; wszystko wydawało się lepsze od tego oczekiwania na wyrok. Nie poruszył się jednak. Jak modlitwę powtarzał w myślach słowa Barta: - automaty są uszkodzone, nie odkryją ich obecności, trzeba zachować spokój - i trwał w bezruchu. Czuł tylko, jak po karku spływają mu krople zimnego potu.

Zanim strażnik ich minął, Ned postarzał się o kilka lat.

Odczekali jeszcze chwilę i ruszyli dalej. Bez żadnych problemów dotarli do szybu wentylacyjnego. Tu czekało na nich kilku ludzi; nie widział czy było ich dwóch, czy dziesięciu, ale nie miało to znaczenia. Ważne było to, że

krata zasłaniająca wlot do szybu była wymontowana, a wewnątrz szybu wisiała drabina sznurowa. To była jego nić Ariadny i równocześnie droga krzyżowa. Bolał go każdy mięsień, czuł się zupełnie rozbity, a ręka zraniona przez Murzyna nadal była niesprawna. Czy zdoła pokonać kilkanaście metrów po kołyszących się szczelach, jeżeli z trudem poruszała się po podłodze? Wolał się nad tym nie zastanawiać. Ktoś podsadził go na drabinę i Edgar rozpoczął swą walkę o wolność. Walkę, którą musiała stoczyć jego wola ze stawiającym opór ciałem.

Nie wiedział, jak długi był ten szyb, nie wiedział, jaką część drogi już przebył. Po wspięciu się na dziesiąty, może piętnasty szczebel, poczuł jak ponownie otwiera mu się rana. Ciepły strumień krwi zaczął spływać po ramieniu i Ned przestał myśleć o czymkolwiek. Każdy ruch sprawiał mu ból, każdy pokonany szczebel kosztował tyle wysiłku, że nie starczało miejsca na myśli. Pamiętał tylko jedno: poddanie się oznaczało śmierć. Dlatego zmuszał swoje mięśnie do pracy, której po ostatnich przejściach nie były w stanie wykonać. Mimo to powoli piął się do góry.

- Walcz! - nakazywał sobie podciągając się o kolejny szczebel. - Walcz! Walcz! - powtarzał mechanicznie, zaklinając słabnące ciało. Tak dotarł do wylotu szybu.

Zaskoczyło go to. W pierwszej chwili nie rozumiał, dlaczego ktoś go zatrzymuje i nie pozwala iść dalej. Dopiero gdy jakieś silne ramiona ujęły go, podtrzymując słabnące ciało, zrozumiał.

- Musimy tu poczekać! Zaraz zjawi się śmigłowiec - usłyszał czyjs szept. To oznaczało koniec męczarni. Zdrową ręką wczepił się mocniej w szczeble drabinki.

- W porządku, koleś - usłyszał za swoimi plecami. - Utrzymam cię!

Poczuł, że chwyt asekurującego go człowieka staje się mocniejszy.

122

Łomot pulsującej krwi zaczął słabnąć. Jeszcze przez chwilę Ned oddychał ciężko, z trudem łapiąc powietrze, ale w końcu jego ciało uspokoiło się. Gdy wróciła zdolność myślenia, pojawiły się pierwsze pytania.

- W jaki sposób śmigłowiec tu wylądował - zapytał unosząc głowę.

- To wojskowy AH-47 - z góry dobiegł go głos Barta. - Wyciszona praca wirnika, osłony termiczne i superfarba pochłaniająca promienie radarowe. Nie zobaczą go! Już za chwilę w Grant Martel zostanie przecięty główny kabel zasilający i zgasną wszystkie światła. Zanim uruchomią generator, minie co najmniej kwadrans. W tym czasie pilot śmigłowca zgłosi dowództwu problemy z silnikiem i na chwilę tu przysiadzie. To nasz człowiek i ma dokładne instrukcje. Zanim ktokolwiek się połamie, co się dzieje, my będziemy już w drodze do domu.

Ned miał jeszcze kilka pytań, ale nie zdążył ich zadać.

- Idziemy! - rozkazał Bart, wypychając pokrywę szybu.

Ned został przepchnięty przez krawędź szybu. Ktoś

przytrzymał go, chroniąc przed upadkiem; ktoś ujął go pod ramię i poprowadził na miejsce na dachu, które było wolne od szybów, kominów i innych urządzeń mogących utrudnić śmigłowcowi lądowanie. Zanim tam dotarł, potknął się dwukrotnie. Nawet w noktowizyjnych goglach widział niewyraźnie. Bezksiężycowa noc i brak w pobliżu silnych źródeł ciepła skrywały świat w seledynowym mroku. Z trudem dostrzegł zarys śmigłowca i gdyby nie podmuch powietrza wywołanego przez pracujące łopaty wirnika, nie byłby pewien czy nie uległ złudzeniu. Odruchowo schylił głowę, przebiegł kilka kroków i nagle znalazł się w kabinie śmigłowca.

Zdjął gogle i rozejrzył się. Wewnątrz panował półmrok rozświetlony zielonkawą poświatą emitowaną przez monitor pokładowego komputera. Z przodu majaczyły sylwetki

123

pilotów, obok Edgara usadowiło się sześciu ludzi. Z pewnością był tu bezpieczny; mógł zająć się swoją ręką. * * *

Po godzinnym locie przesiedli się do samochodów. Ned, po przejechaniu kilku kilometrów, zasnął ukołysany monotonną pracą silnika. Gdy ponownie otworzył oczy, zaczynało świtać. Przez chwilę zastanawiał się, co go obudziło. Coś się zmieniło w pracy silnika... samochód zwolnił. Wyrzął przez

okno i przez chwilę uległ złudzeniu, że znów znalazł się za murami Grant Martel. Wysokie ogrodzenie, potężna brama, reflektory i strażnicy rozmieszczeni na wieżyczkach - to nie była zwykła posiadłość, to była obronna forteca. Dostać się tutaj bez zgody właściciela byłoby niezmiernie trudno, ale jeszcze trudniej byłoby się stąd wydostać. Nie podobało mu się to.

Nie podobał mu się także człowiek, który powitał ich na progu okazałej rezydencji. Szczupły elegancki mężczyzna, lekko szpakowaty, z gładko wygoloną twarzą i zimnym spojrzeniem szarych oczu roztaczał wokół siebie aurę chłodu. Jego spojrzenia w najmniejszym stopniu nie łagodził ba-zyliskowaty uśmiech zakrzepły na wąskich rybich wargach.

- Bart, drogi chłopcze! Cieszę się, że znów jesteś z nami. Dużo czasu to zajęło.

Mężczyzna uściśkał Lombariego, ale nawet wówczas, gdy wydawało się, że cała jego uwaga skupiona jest na Barcie, Ned miał wrażenie, że cały czas jest uważnie obserwowany. Ten człowiek emanował pewnością siebie, którą daje poczucie władzy. Był niebezpieczny, a uwaga, z jaką obserwował Edgara, mogła być zwiastunem zagrożenia.

Ned stał się czujny.

- Czy pozwoli pan, panie Cartwright, że przedstawię mojego przyjaciela. - Bart odwrócił się i kładąc dłoń na ra-

124

mieniu Neda, dodał: - Edgar Gratiano, człowiek, który uratował mi życie.

Ned wzdrygnął się, gdy spoczęło na nim spojrzenie Cartwrighta. Znał takie spojrzenia, choć ich posiadacze nie byli tak dobrze ubrani, jak ten tutaj. Wielu więźniów Grant Martel patrzyło w taki sposób. To było spojrzenie mordercy.

- Przyjaciele Barta są moimi przyjaciółmi! - jego oczy nawet na chwilę nie zmieniły wyrazu. - Nie wygląda pan najlepiej. Czy jest pan ranny? Francis zajmie się panem! - ton głosu sugerował, że nie jest to propozycja, którą można odrzucić.

- Pozwoli pan ze mną!

Ned słysząc głos za plecami odwrócił się i... ze zdumienia opadła mu szczeka. Francis miał dwa metry wzrostu, ważył około stu czterdziestu kilogramów, a jego twarz robiła wrażenie, że jest z grubsza ociosana tępym toporem. Jeśli to był kamerdyner, to jak wyglądała reszta służby? I w jaki sposób ta góra mięsa podeszła do niego tak bezszelestnie? Edgar miał coraz głębsze przekonanie, że wpadł z deszczu pod rynnę.

Musiał być czujny, ale przede wszystkim sprawny fizycznie. Tak osłabiony nie miał najmniejszych szans ani na obronę, ani na ucieczkę. Był pewien, że kłopoty są kwestią czasu. Cartwright najwyraźniej nie był zachwycony, że Bart przywiózł go tutaj. Jeśli będzie chciał się go pozbyć, zrobi to - tego Ned był pewien na sto procent - ale było mało prawdopodobne, żeby zrobił to dzisiaj. Raczej zrobi to dyskretnie i w dogodnym dla siebie momencie. Na razie mógł, a w zasadzie musiał wierzyć, że może zasnąć bez obaw.

Cartwright odczekał, aż zostanie z Bartem sam na sam i podszedł do barku.

- Napijesz się? - zapytał sięgając po kryształową karafkę.

125

- Tak! Chętnie! - z pośpiechem odparł Bart.

Ze szklaneczkami w dłoniach usiedli przy wygaszonym kominku.

- Powiedz Bart! Jak tam było? Miałeś dobrą opiekę?

Lombari sączył przez chwilę drinka.

- Tak! - powiedział w końcu. - Chłopaki dobrze mnie ochraniali. Strażnicy też byli w porządku. Wiem, że zapłaciłeś im mnóstwo pieniędzy. Dziękuję!

Cartwright uniósł dłoń, powstrzymując słowa Lombariego.

- Twój ojciec uratował mi kiedyś życie. Jemu nie zdążyłem spłacić tego długu, a tego, co zrobił dla mnie, nie da się przeliczyć na pieniądze. Ty też zapracowałeś już na specjalne względy... Więc po prostu nie mówmy już o tym. Powiedz mi coś o tym nowym...

Bart spojrział na Cartwrighta. - O Gratiano? Uratował mi życie! Wyciągnąłem go z dwóch powodów: po pierwsze, chciałem spłacić dług; po drugie, sądziłem, że taki facet może się nam przydać. Naprawdę jest dobry, widziałem go w akcji.

- O tym, kto może się nam przydać, decyduję ja! - Cartwright mówił spokojnym tonem, ale jego głos był lodowaty. - Chyba że chcesz zająć moje miejsce.

Bart z trudem przełknął porcję alkoholu. Słowa Cartwrighta wywoływały skurcz gardła i zimny dreszcz na plecach. Ta rozmowa zmierzała w niebezpiecznym kierunku. Przywiezienie Edgara do rezydencji Cartwrighta było naruszeniem zasad, ale Bart nie przypuszczał, że szef podejdzie do tego tak poważnie. Ich relacje zawsze były prawie rodzinne i Bart chciał, żeby tak zostało.

- On nigdy nie powinien się tu znaleźć! Znasz zasady.

Cartwright stawiał sprawę tak ostro właśnie dlatego, że

nie zamierzał Barta karać. Traktował go jak syna, którego nigdy nie miał i nie było to wykroczenie, które mogłoby ten stan rzeczy zmienić. Musiał jednak dbać o swoją pozycję.

126

Bart ponad rok spędził w więzieniu i dobrze było już na początku przypomnieć mu, kto tu rządzi. Chłopak powinien zrozumieć, że zachował się nieodpowiedzialnie. Co ważniejsze, powinien w przyszłości pamiętać o tej lekcji.

- Postępując tak narażasz nie tylko mnie, ale i Organizację. Rozumiesz to?

Lombari był gotów przyznać mu rację tylko po to, żeby ta rozmowa już się skończyła. Wierzył, że Ned byłby cennym nabytkiem, jednak sprzeciw Cartwrighta przesądzał sprawę.

- Tak! Rozumiem. Obiecuję, że to się nie powtórzy.

Cartwright odprężył się. Żadnego oporu, sprawa załatwiona w kilka minut. Uśmiechnął się w duchu. Nadal miał kontrolę nad tym chłopakiem; więzienie nic nie zmieniło. Teraz mógł już okazać wspaniałomyślność, zwłaszcza że miał pewien plan, jak rozwiązać ten problem i nie urazić Barta.

- Cieszę się, że to rozumiesz. To ważne, żeby uczyć się na własnych błędach. Jesteś młody i czasem młodzi ludzie dają się ponieść emocjom. Rozumiem to, dlatego postaram się, żeby twój znajomy nie ucierpiał na tym. Dostanie pracę i schronienie, przynajmniej na pewien czas, a potem zobaczymy czy rzeczywiście jest dla nas przydatny.

Bart odetchnął głęboko. - Dziękuję panu.

Gdy decydowały się jego dalsze losy, Ned spał twardym, nieprzytomnym snem człowieka do cna wyczerpanego.

* * *

Colder!

Sierżant Colder!

Myśli czterdziestu sześciu ludzi koncentrowały się na jego osobie i nie były to myśli przyjazne.

Stali w dwuzeregu prażeni słońcem, rozgrzani wysiłkiem, spoceni. Po czterech godzinach treningu ich trawio-

127

ne gorączką ciała odmawiały posłuszeństwa. Krew pulsująca w skroniach przyćmiewała wzrok, rozżarzone powietrze paliło płuca, a mimo to marzyli. Patrzyli na Coldera i marzyli.

- W walce musicie być szybsi i twardsi od waszego wroga. Będziemy walczyć z zawodowcami i chcę, żebyście przeżyli przynajmniej pierwszy atak. Nie chcę zostać sam po dziesięciu minutach.

Słyszeli to po raz setny i po raz setny marzyli. Marzyli o Colderze smażącym się w piekle, o Colderze poszatko-wanym na kawałki, o Colderze konającym z pragnienia. Przede wszystkim jednak marzyli, żeby się w końcu zamknął.

- Nienawidzicie mnie! Ja chcę, żeby ta nienawiść was paliła. Będzie coraz silniejsza, taka, że nie będziecie mogli nad nią zapanować, a wtedy zmuszę was, żebyście ją zdusili w sobie. Żołnierz musi być twardy jak stal i zimny jak lód. Żadnych uczuć!

Colder, krokiem zawodowego żołnierza, zbliżył się do jednego z nich.

- Nienawidzisz mnie synu! Prawda?

Zapytany nawet nie drgnął.

- Prawda?

Żadnej reakcji.

Colder roześmiał się gardłowo.

- Dobrze! Bardzo dobrze. Będziesz żołnierzem. Masz to we krwi. Pamiętajcie! - zwrócił się do całej grupy. - Tam nie będzie miejsca na sentymenty. Każde zawahanie to śmierć. Jeśli ty nie zabijesz, zabiją ciebie. Macie to zrozumieć, zakute łby! Nauczę was tego, zanim zaczną do was strzelać. W prawo zwrot! Biegiem maaarsz!!

Tor przeszkód, strzelanie, walka wręcz, obsługa sprzętu elektronicznego zwiadu; morderczy trening, który wysysał siły, a w końcu odbierał nawet marzenia. Gdy mogli wresz-

128

cie potożyć się spać, zasypiali, zanim zamknęli oczy. Ned nie był wyjątkiem.

Kiedy miesiąc wcześniej Bart powiedział mu, że zostanie wysłany na szkolenie najemników, spodziewał się, że będzie ciężko; jednak to, co go tu spotkało, przerosło jego najgorsze obawy. Pod wieloma względami było tu gorzej niż w Grant Martel. Pomijając wyczerpujący trening i wojskowy dryl, któremu musiał się podporządkować, byli jeszcze ludzie. Niektórych więźniów w Grant Martel Ned uważał za coś gorszego od zwierząt. Był przekonany, że takie indywidua można spotkać tylko w więzieniu. Tu przekonał się, że był w błędzie.

Było to zbiorowisko kryminalistów, psychopatów i frustratów. Gdy wysłuchał kilku opowieści i zobaczył jak się zachowują, stracił ochotę na bliższe ich poznanie. Chwalili się zbrodniami, których się dopuścili, jak inni chwalą się sukcesami sportowymi. Pedro - potężny Metys, z dumą opowiadał, że jest ścigany za sześć morderstw i pobicia z okaleczeniem ciała. Przechwalał się, że nie jest to nawet jedna piąta jego „osiągnięć”. Lennox - nożownik, o twarzy oszpeconej poszarpaną blizną, mówił mało, za to legendy

O nim, które krążyły tutaj, mroziły krew w żyłach. Bali się go wszyscy, nawet Pedro. Z „ciekawszych” osobników byli jeszcze: Cabarra - Murzyn o zwierzęcej sile, który zabijanie traktował jak rozrywkę, i Shagasa, który sypiał z rewolwerem i strzelał zanim się przebudził.

Ned nie chciał nawet wiedzieć czy są to ich prawdziwe nazwiska, czy tak jak on używają tu przybranych imion. Sam przybrał nazwisko Paul Vernon i nie zamierzał dzielić się swoją przeszłością z żadnym z nich. Czasem tylko, po wyczerpującym dniu, zastanawiał się, czy dokonał właściwego wyboru. Uciekł z więzienia do innego więzienia

1 był pewien, że szybko będzie znów musiał walczyć o życie. Ale czy miał inne wyjście?

129

Doskonale pamiętał rozmowę z Lombarim, którą odbył po kilkudniowym pobycie w rezydencji Cartwrighta. Bart zaproponował mu udział w akcji najemników; nie podał zbyt wielu szczegółów, ale przekonywał go, że musi zniknąć na pewien czas. Ned zgodził się, choć podejrzewał, że była to część planu Cartwrighta. Nie był pewien, co stary mafioso szykował dla niego, ale był to chyba jedyny sposób wydostania się z rezydencji-więzienia. Nie widział wówczas żadnego innego sposobu na odzyskanie wolności, oczywiście poza skończeniem w plastikowym worku albo dwa metry pod ziemią. Wybrał tę opcję i teraz nie mógł już tego zmienić, żeby przetrwać, po prostu musiał być czujny.

Ta akcja mogła być próbą sprawdzającą jego przydatność, ale mogła też być sposobem na pozbycie się go. Dla Lennox'a czy Cabarry zabicie jednego człowieka więcej nie stanowiło problemu, więc Edgar równie dobrze mógł być zwierzyną jak myśliwym. Cały czas pamiętał spojrzenie Cartwrighta przy ich pierwszym spotkaniu i to zmuszało go do rozpatrywania najgorszych wariantów.

Nauczony doświadczeniem z Grant Martel wiedział, że musi znaleźć przynajmniej jednego człowieka, któremu mógłby zaufać. Nie było to łatwe, ale w pojedynkę nie miał najmniejszych szans.

Wśród czterdziestu pięciu ludzi tylko jeden spełniał dwa podstawowe warunki: był wystarczająco dobrze wyszkolony, żeby jego pomoc mogła być przydatna, i nie był degeneratem. Michael Spari - dawny komandos, sprawny i doskonale przygotowany do walki. Dość szybko zdobył zaufanie Neda, być może dlatego, że przypominał mu Archie'go - tak samo opanowany, budził szacunek i kierował się własnym, nieco złożonym poczuciem honoru. Poza tym Ned nie potrafił rozmawiać.

Był jeszcze Alex - marzydzielski chłopak o dziewczęcej twarzy i smutnym spojrzeniu, który znalazł się tutaj ucie-

130

kając przed samym sobą. Jednak on nie mógł być wsparciem, ponieważ sam potrzebował ochrony. Zupełnie nieprzygotowany na to, co czekało go tutaj, bez opieki Neda nie przetrwałby nawet tygodnia. Edgar pamiętał jednak, kim był, gdy zjawił się w Grant Martel, i jak by skończył, bez pomocy Archiego. Stał się więc aniołem stróżem i przewodnikiem Alexa. Chronił go przed najbardziej agresywnymi najemnikami, takimi jak Cabarra i pokazywał jak nie dać się złamać morderczemu treningowi; dzięki niemu Alex przetrwał. Pozostała tylko wątpliwość: czy nie lepiej dla Alexa byłoby, gdyby się wycofał i zrezygnował z udziału w tej akcji. Ta wątpliwość zagościła w umyśle Neda na stałe po zajściu, które miało miejsce w drugim tygodniu szkolenia.

Ciągłe uderzenia pod adresem Alexa stawały się coraz bardziej natarczywe i w końcu chronienie go bez ostrej interwencji nie było już skuteczne. Gdy Cabarra przewrócił Alexa i kazał zlizywać ze swoich butów błoto, Edgar zaatakował go. Po stronie Murzyna stanęli jego kumple, a w sukurs Nedowi pospieszili Spari i Rodriguez - krępy ciemnowłósy facet, były bokser wagi średniej. Rozgorzała regularna bitwa na pięści i nogi.

Colder interweniował dopiero, gdy sięgnięto po noże. Nie dochodził przyczyn zajścia, ale po prostu ukarał wszystkich jego uczestników. Sprzątanie starych baraków, w których mieszkali tu, na terenie dawno opuszczonego poligonu wciśniętego w piaski pustyni, nie miało większego sensu, za to odbierało siły i ochotę do awantur. Po całonocnej pracy, następnego dnia, Ned czuł każdy mięsień. W czasie treningu ból pleców stawał się nieznośny, a potrzeba snu była jeszcze bardziej obezwładniająca niż wyczerpanie fizyczne.

Ned był wściekły na Coldera. Miał mu za złe, że ten nie interesował się, co się działo w grupie, a przede wszystkim,

131

że ukarał również Alexa. Chłopak z trudem wytrzymywał zwykłą dawkę treningu, a co dopiero całonocny dodatkowy wysiłek. Jego mięśnie dopiero przyzwyczajały się do pracy i w każdej chwili

organizm mógł odmówić posłuszeństwa. Ned powiedział o tym Colderowi, ale jedynym efektem było to, że dostał dodatkowy wycisk. Przed Colderem nie można było uchronić nikogo.

Alex wydawał się z tym pogodzony; zresztą cała jego postawa granoczyła z rezygnacją. Wydawał się nie zauważać obelg ani zaczepok, znośił to ze spokojem i nawet dodatkowe ćwiczenia wykonywał systematycznie jak automat, bez buntu. Ned rozumiał go lepiej niż on sam siebie.

Alex miał dwadzieścia lat i był sierotą. Rok temu spotkał dziewczynę i zakochał się w niej. Ona też sprawiała wrażenie zakochanej, więc Alex już po kilku tygodniach zachowywał się jak ślepy i głuchy i marzył tylko o byciu razem z nią. Był tylko jeden problem: Alex nie miał pieniędzy i żeby zarobić na studia musiał pracować jako informatyk. To pochłaniało dużo czasu, a jego ukochana chciała się bawić. Ciągłe bywanie w klubach i na dyskotekach wyczerpywało go zarówno finansowo, jak i fizycznie. Zaczęli się kłócić i stopniowo zaczął ją tracić. Nie potrafił bez niej żyć, więc porzucił studia, ale jej wymagania rosły. W końcu w czasie jednej z kłótni usłyszał, że jest nikim, bo nie ma pieniędzy i zostawiła go. To go załamało; runął w przepaść trzymając w dłoniach resztki miłości i szczęścia, a dno przepaści znalazł tutaj.

Przez kilka tygodni po rozstaniu żył jak w letargu, nie miał sił, żeby o nią walczyć, a nie potrafił sobie wyobrazić życia bez niej. Gdy widział jak bawi się i spotyka z innymi mężczyznami cierpiał jak na torturach, a mimo to zakradał się do klubów, w których bywała, żeby chociaż przez chwilę na nią popatrzeć. Próbował z nią rozmawiać, ale była opryskliwa i złośliwa, bawiła się nim, śmiała się z niego,

132

a on z każdym dniem stawał się słabszy i słabszy; i wreszcie w ostatnim geście rozpaczy zgłosił się tutaj. Było mu wszystko jedno czy zginie, czy wróci z pieniędzmi za akcję. Chciał uciec.

Czy mogło być coś bardziej banalnego. A przecież Ned nie śmiał się. Rozumiał Alexa, rozumiał ten stan, w którym śmierć wydaje się czasem mniej przerażająca niż życie.

Historia Alexa przypominała mu jego własne przeżycia. Pomoc jaką dostał od Brunsa czy to, co dała mu Patrycja, uchroniło go przed załamaniem. Alexowi nie pomógł nikt, był sam ze swoimi rozterkami i bólem. Czy gdyby nie Sirius i Archie, Ned żyłby jeszcze? Czy mógł pozwolić, żeby ten chłopak zginął? Przecież Alex miał więcej powodów, żeby żyć niż on. Mógł wrócić do zwykłego życia, znaleźć właściwą kobietę, założyć rodzinę. A on? Już zawsze zostanie tylko zbiegiem, zawsze będzie się ukrywał, a ktoś będzie na niego polował. I już na zawsze stracił Pat.

Zanim zakończyła się pierwsza faza treningu grupa zmniejszyła się o cztery osoby. Trzech wycofało się, a jeden zginął, a właściwie został zabity. Tym nieszczęśliwym był Mały Joe - najweselszy i najzabawniejszy człowiek, jakiego Ned poznał. Wydawało się, że potrafił rozbawić każdego. Jak się okazało każdego, oprócz Cabarry.

Mały Joe był niski, korpulentny i z wdziękiem kaczkę poruszał się na swoich krótkich nóżkach. Już sam jego wygląd budził uśmiech, a przy tym był on urodzonym komikiem. Czasem wyglądało, że sensem jego życia jest robienie dowcipów i wymyślanie psikusów. Związanie sznurówek w butach, podrzucenie mrówek do śpiwora, wysmarowanie kolby karabinu pastą do butów - to były typowe dla niego żarty. Miał tyle energii, że czasem dla realizacji swych po-

rnysłów poświęcał kilka godzin snu. Nigdy się nie skarżył, a gdy żart mu się udał, cieszył się jak dziecko. Większość akceptowała te psikusy i traktowała je jako urozmaicenie monotoni treningu. Większość, ale nie Cabarra.

Cabarra wściekał się za każdym razem, gdy padał ofiarą Joego i być może właśnie dlatego stał się ulubionym obiektem żartów. W końcu zagroził, że jeżeli jeszcze raz ten „mały skurwiel” wejdzie mu w drogę, zabije go. Następnego dnia zakładając but rozgniół w nim surowe jajko.

Dwa dni później Mały Joe był martwy. Znaleziono go na skraju obozu z przebitym sercem. Nikt nic nie widział, nikt nic nie słyszał, a Colder ograniczył swoje działania do zadania kilku pytań i pogrzebania Joego. A potem kazał wszystkim zapomnieć o tej sprawie.

Nikt nie zaprotestował i trudno się było temu dziwić. Kwestionowanie rozkazów Coldera zawsze miało ten sam skutek - dodatkowy wycisk. Ned również nie powiedział nawet słowa, wodził tylko spojrzeniem za Cabarrą i za każdym razem, gdy na jego twarzy dostrzegał ten cyniczny zimny uśmiech, przysięgał sobie, że dorwie go kiedyś. Miał

kolejny rachunek do wyrównania.

* * *

Następnego dnia po tym zdarzeniu poznali cel ataku i następne dwa tygodnie zajęło im dopracowanie swoich ról.

Ich zadanie polegało na zdobyciu prezydenckiego pałacu w Absalii, zabiciu prezydenta i jego rodziny i utrzymaniu pałacu przez kilka godzin. To mogłoby wydawać się proste, gdyby nie zabezpieczenia i ochrona pałacu. Czujniki i patrole rozmieszczone wokół pałacu uniemożliwiały niepostrzeżone podkradnięcie się, a nawet gdyby się to udało, to sforsowanie obrony zajęłoby godziny. Wokół pałacu rozmieszczone zostały wieżyczki z ciężkimi karabinami ma-

szynowymi sterowanymi automatycznie, a gwardziści stacjonowali na całym terenie, ukryci w małych bunkrach. Frontalny atak był bez szans, ale w całym systemie obrony był jeden słaby punkt.

Pałac mieścił się pomiędzy niewielkim jeziorem i stromymi wzgórzami, których pokonanie jakimkolwiek pojazdem było niemożliwe. Do pałacu prowadziła tylko jedna droga od strony północnej. Większość linii obronnych była więc zgrupowana z tej strony. Podejścia strzegli gwardziści uzbrojeni w działka kalibru 40 milimetrów i przeciwpancerne działko kalibru 72 milimetry. Z drugiej strony pałacu uzbrojenie nie było już tak potężne. Koszary gwardzistów były oddalone o prawie kilometr i opanowanie budynku pałacu pozwalało bronić się w nim przez kilka dni.

Z południowej strony prawie dotykał ścian pałacu pas lotniska. Stał tam gotowy do lotu prezydencki odrzutowiec, a pas był również wykorzystywany do dowożenia świeżych owoców morza. Każdego dnia pół godziny przed świtem lądował mały samolot załadowany świeżymi morskimi rarytasami - przysmakiem prezydenta. Tym razem zamiast niego miał wylądować duży transportowiec.

Ryzyko akcji polegało na tym, że pas nie był zbyt długi i transportowiec mógł na nim nie wyhamować przy lądowaniu, ponadto potrzebny był element zaskoczenia. Nocne lądowanie zawsze stwarza trudności, ale konieczność przeprowadzenia z marszu ataku na pałac zwiększała dodatkowo ryzyko fiaska operacji. Mieli tylko kilka minut na przedarcie się do pałacu i zdobycie go. Gdyby ktoś zauważył ich wcześniej, mogli zostać przygwożdżeni na pasie lotniska albo w ogrodzie przed pałacem. W obu przypadkach czekała ich śmierć. Niepowodzenie pozostawiało małą szansę na przeżycie. Mogli spróbować wycofać się do transportowca albo wykorzystać prezydencki odrzutowiec, ale były to szanse czysto iluzoryczne.

135

Colder nie ukrywał tego przed nimi.

- Jeżeli nie opanujemy pałacu, nie liczcie, że uda wam się ukryć; tam nie ma gdzie się schować. Dlatego atak musi być przeprowadzony perfekcyjnie. Musimy zdobyć pałac i utrzymać go przez godzinę, może dwie. Partyzanci i część armii staną po naszej stronie. Kilka godzin później będziemy wracać do domu. Jasne?

To było jasne. Jeśli ktoś ich zdradzi albo partyzanci się spóźnią, to będzie akcja bez powrotu.

- Tu macie zdjęcia naszych pracodawców! - Colder ułożył na stole kilka odbitek. - Te zdjęcia dostarczono nam specjalnie po to, żeby żaden z was przypadkiem nie zabił któregoś z nich. Nie wiadomo, który z nich będzie w tym czasie w pałacu. Zróbcie mi więc grzeczność i zapamiętajcie te kilka twarzy.

Ned spojrzął na zdjęcia - były podpisane. Generał Bu-tanga - pulchny facet o pustym wyrazie twarzy, pułkownik Watango, pułkownik Tuna, Rwa Damango i jedyny biały w tym towarzystwie - Dag Johanson.

Zapamiętał te twarze.

* * *

Siedzieli w transportowcu i czekali na swój czas.

Ned próbował się zdrzemnąć, ale napięcie było zbyt silne. Wewnątrz słabo oświetlonego kadłuba ponad czterdziestu ludzi czuwało, próbując odgadnąć swój los. Już niedługo mieli przekonać się, czy ich akcja została zaplanowana prawidłowo; tylko że ceną tego sprawdzianu mogło być ich życie.

Ned obawiał się, że oparcie powodzenia ataku na elemencie zaskoczenia było zbyt ryzykowne. Ich transportowiec musiał wylądować tuż obok pałacu i nie mógł zostać zauważony wcześniej. A potem też mogło być ciężko.

136

Mieli plan pałacu, znali rozmieszczenie stanowisk ogniowych i najsłabsze punkty obrony, a mimo to mogli zginąć na tysiąc sposobów.

Trening, który przeszli, miał im zapewnić błyskawiczne i sprawne opuszczenie samolotu, ale i tak wystarczał mały błąd pilota, żeby stali się celami na strzelnicy. Ned czuł jak strach skupia się w środku jego wnętrza i zamienia się w zimny kamień.

Poruszył się chcąc rozprostować skurczone strachem mięśnie i przypadkiem potrącił siedzącego obok Spariego. Ned spojrzał na niego, ale Michael tego nie zauważył; zatopiony w myślach sprawiał wrażenie nieobecnego i najprawdopodobniej nie poczuł nawet tego dotknięcia. W jego twarzy majaczącej w półmroku było jednak coś takiego, że Ned nie mógł oderwać od niej oczu. Nie był pewien czy ulega złudzeniu wywołanemu przez słabe oświetlenie, ale miał wrażenie, że twarz Michaela zmieniała się. Spod maski spokoju wyłoniło się coś, co Ned wyczuwał już wcześniej. Ten rodzaj nostalgii i smutku, który odczuwają ludzie, uświadamiający sobie, że ścieżka ich życia biegła w niewłaściwym kierunku, a teraz, już za chwilę, może się zakończyć i nie będą już mieli czasu na zmianę.

- O czym myślisz? - zapytał prawie bezgłośnie.

Spari drgnął. Przez chwilę milczał, a potem, gdy Ned zaczął już wątpić, że usłyszy odpowiedź, zaczął mówić.

- Wiesz, to dziwne - powiedział - ale myślę o rzeczach, o których od dawna nie myślałem. Pierwsza dziewczyna, pierwsza randka, pierwsze dni w zielonych beretach, święta w domu. To wszystko przychodzi samo, jakbym oglądał film. Widzę, jak wyjadam matce rodzynki ze świętecznego placka, objadam się surowym ciastem, nawet czuję jego smak. Przypomniałem sobie, jak ojciec zabierał mnie na ryby i pozwalał wyciągnąć wszystkie sztuki - zamilkł na chwilę, a potem wolno, jakby z ociąganiem kontynu-

137

owal - Paul! Mam do ciebie prośbę. Gdyby mnie... No wiesz! Gdybym nie wrócił! Zadzwoń do mojej matki! Poza nią nie mam nikogo.

Dopiero po chwili zrozumiał, że prośba była skierowana do niego, czasem zapominał, że występował tu jako Paul Vernon. Zaskoczenie było tym większe, że wcześniej nie rozmawiał ze Sparim o jego przeszłości. Chociaż darzył go sympatią i zaufaniem, prawie go nie znał. Teraz żałował, że nie poznali się lepiej, ale jak miał to zrobić, jeśli obaj nie okazywali czy coś sprawia im ból, czy jest obojętne, co ich cieszy lub smuci. Okazywanie emocji nie popłacało wśród ludzi, którzy ich otaczali.

Ciszę przeciął dźwięk sygnalizatora - pilot informował ich, że zbliżają się do celu. Kilku ludzi drgnęło, ktoś się przeciągnął, a po chwili usłyszeli donośny głos Coldera:

- Nie spać ofermi!

Ned na chwilę oderwał wzrok od twarzy Michaela, a gdy spojrzał na nią ponownie, miał przed sobą tę maskę, którą zdążył dobrze poznać w ciągu tych kilku tygodni. Zrozumiał, że stracił, być może bezpowrotnie, szansę, żeby poznać tego skrytego człowieka, ale teraz nie mógł już nic na to poradzić. Ta chwila, gdy było to możliwe, ulotniła się bezpowrotnie.

- Podaj mi jej adres! - powiedział tylko, choć nawet to zabrzmiało dziwnie. Ich ciała i umysły zmieniły rytm działania: wchodzili do akcji i teraz mogli być już tylko tu i teraz. przeszłość musiała zostać daleko za nimi.

Minęło kilka minut, które wydawały się wiecznością i w końcu usłyszeli głos Coldera:

- Trzy minuty do celu!

Ned wytarł wilgotne dłonie o spodnie i przełknął ślinę. Trzy minuty! Ostatnie trzy minuty! O czym powinien pomyśleć? Co sprawdzić? Broń? Za późno! Swoje zadanie? Znał je na pamięć. Patrycja! Jej imię pojawiło się nieocze-

138

kiwanie i ledwie zagościło w jego myślach, a już po chwili widział jej twarz, ją całą tak wyraźnie, jakby stał tuż przed nią. Jak wiele by dał za pewność, że kiedyś jeszcze zobaczy ją naprawdę...

- Minuta! Przygotować się! - Colder przywrócił go do rzeczywistości.

Ned mocniej zacisnął dłonie na uchwytach i zaczął odliczać upływające sekundy. Byli już naprawdę blisko i w każdej chwili mogli spodziewać się zestrzelenia. Jeżeli ktoś ich zdradził lub wzbudzili czyjeś podejrzenia, byli doskonałym celem. Minęło piętnaście sekund, a potem kolejne piętnaście; nic się nie wydarzyło poza zmianą rytmu pracy silników. Gdy upłynęła siedemdziesiąta sekunda, transportowiec dotknął ziemi. Ned zaparł się nogami i trzymając obiema rękami uchwyty, starał się utrzymać na swoim miejscu. Kadłub drżał, a gwałtowne hamowanie sprawiało, że potężna siła przeciążenia spychała wszystkich w stronę dziobu. Transportowiec podskoczył jeszcze dwukrotnie i znieruchomiał.

Chwila ciszy i nagle zawrzało jak w ulu. Czterdziestu ludzi równocześnie poderwało się na nogi. Każdy zachowywał się zgodnie z wyuczoną procedurą, nikt nikomu nie przeszkadzał, każdy wypełniał swoją rolę. Tylne drzwi towarowe zostały otwarte w sekundę, również boczne drzwi błyskawicznie odblokowano i już po chwili cały oddział był na zewnątrz. Wtedy rozległy się pierwsze strzały i rozpoczął się wyścig z czasem.

Bieg! Światła reflektorów przeczesujące pas lotniska i trawnik przed pałacem. Buggs - ich pilot - posadził transportowiec czterdzieści metrów od pałacowego podjazdu. Przebycie tego dystansu pod ogniem karabinów maszynowych było czystą loterią. Na szczęście czynnik zaskoczenia wciąż działał, ogień był dość przypadkowy i niezbyt celny. Ned biegł lekko pochylony mając obok siebie Spariego.

139

Tuż za nimi eksplodował pocisk granatnika lub równie ciężkiej broni, ale nawet na chwilę to ich nie powstrzymało. Ich zadanie polegało na jak najszybszym znalezieniu się w murach pałacu; osłoną mieli zająć się inni. Ośmiu najemników, którzy skryli się na skraju ogrodu, obsługiwało ciężkie karabiny maszynowe i ręczne wyrzutnie pocisków raketowych. Pod ich ogniem reflektory gasły jak zdmuchnięte świece, a wrogie stanowiska ogniowe rozmieszczone na tarasie i wyższych piętrach pałacu, milkły niszczone pociskami granatników.

Ściana pałacu rozszarpana raketowymi pociskami sypnęła pyłem i gruzem. Wykorzystując tę chmurę jak osłonę, Ned, Spari i jeszcze kilkunastu najemników wdarło się do pałacu. Kilku gwardzistów i jakiś mężczyzna w białym nie próbowali stawić im opór. Ned poczuł uderzenie w pierś, gdy trafiła go jakaś zbita kula. Na szczęście kuloodporna kamizelka przejęła całą energię pocisku; Ned zachwiał się tylko i biegł dalej. Cały oddział, nie przystając nawet, przetoczył się po obrońcach, zostawiając za sobą kilka ciał.

Byli w holu. Dwóch ludzi ukrytych za filarami powitało ich ogniem karabinów maszynowych. Dwa granaty uciszyły ich na zawsze.

Wszystko przebiegało zgodnie z planem. Lennox ze swoją grupą obsadzili hol, wystawili lufy karabinów na zewnątrz i zdziśiłowali oddział gwardzistów, próbujący dostać się do pałacu. Pocisk raketowy odpalony przez Lennox zniszczył transporter, który próbował sforsować bramę wjazdową i teraz jego wrak tarasował drogę. Krzyżowy ogień broni maszynowej zmusił piechotę do wycofania się. W tym samym czasie Kosh - pół-Indianin, dowodzący drugą grupą - zabezpieczył podejście od strony ogrodu. Na każdy oddział, który próbowałby skorzystać z tej drogi, czekała przykra niespodzianka. Ned zarejestrował to mi-

140

mochem i poczuł się bezpieczniej, ale jego uwaga koncentrowała się na czymś innym. Jego zadaniem było odszukanie prezydenta.

Schody. Wąski korytarz. Kilku gwardzistów. Najemnicy zmiotli ich lawiną ognia i dwójkami, ubezpieczając się nawzajem, zaczęli sprawdzać pokoje. Ned był w szpicie oddziału. Kopniakiem wywalił pierwsze drzwi i cofnął się za framugę. Chwilę potem skoczył do środka, przekoziółkował i trzymając broń gotową do strzału poderwał się na nogi. W tej pozycji zamarł.

Na okrągłym łóżku, zasłaniając się kawałkiem jedwabnej pościeli siedziała młoda, piękna Mulatka. Jej oczy rozszerzone przerażeniem dodawały twarzy niezwykłego uroku. Była tak nierzeczywista, że Ned zrozumiał, że nie zdobędzie się na to, żeby do niej strzelić. Wyprostował się i opuszczając broń zrobił krok w jej stronę. Dziewczyna drgnęła, a Ned kątem oka dostrzegł Cabarrę, składającego się do strzału, w ostatniej chwili podbił lufę jego karabinu.

- Co jest? - twarz Murzyna wykrzywiła się w grymasie wściekłości.

- Ona jest niegroźna! Idziemy dalej!

Nabiegłe krwią oczy, przyspieszony oddech i błysk białych zębów dzięki bestii.

- Nie będziesz mi rozkazywał!

Ned złapał go za rękę. - Powiedziałem: Nie!!!

- To zdychaj!

Ned był przygotowany na atak, dlatego udało mu się sparować cios Cabarry łokciem. Nie docenił jednak jego sprytu. Murzyn podciął go, przewrócił i wymierzył w niego broń, ale nie zdążył strzelić. Popenił błąd - nie odsunął się na bezpieczną odległość i Ned padając zdołał kopnąć jego karabin.

Murzyn zachwiał się na moment i to wystarczyło, żeby Edgar nadział go na bagnet swojego karabinu. Pchnął z bardzo niewygodnej pozycji i cios nie był zbyt silny, ale

141

trafił tuż poniżej kuloodpornej kamizelki, w podbrzusze. Ból unieruchomił Cabarrę. Mimo to jego broń zaczęła obracać się w stronę Edgara. Jeszcze chwila i znalazłby się na linii strzału. Nie miał tyle siły, żeby oprzeć się temu zwierzęciu w ludzkiej skórze, więc pociągnął za spust. Broń szarpnięta siłą odrzutu wypadła mu z ręki, ale Cabarra z rozprutym brzuchem nie mógł już tego wykorzystać - konał.

W pierwszym odruchu pomyślał, że nie tak zamierzał wyrównać rachunki z Cabarrą, ale jakie to miało znaczenie.

Doskoczył do dziewczyny i ściągnął ją na podłogę.

- Zostań tu! - rzucił, wpychając ją pod łóżko.

W drzwiach pojawił się Spari.

- Co jest?

- Cabarra chciał mnie załatwić.

Spari rzucił okiem na trupa. - Ubezpieczaj mnie! - rozkazał i nie mówiąc nic więcej wyszedł z pokoju. Ned podążył za nim.

Na końcu korytarza wyłamali ostatnie drzwi. Gdy wpadli do środka, obaj zatrzymali się w pół kroku. Na łóżku siedziała kobieta. Stara Murzynka trzymała na ręku małe dziecko. Ned przypomniał sobie zdjęcia pokazane przez Coldera- to była pierwsza żona prezydenta. Powinni ją zabić.

Ned stojąc w progu widział jak szerokie plecy Michaela prostują się i zrozumiał, że Spari nie strzeli.

- Nie zrobię tego! - Spari odwrócił się, chcąc wyjść z pokoju. - Trzeba ją gdzieś zamknąć. Ned patrzył na niego, dlatego dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że kobieta poruszyła się i sięgnęła po coś leżącego pod kocem. Spóźnił się tylko ułamek sekundy, ale gdy zobaczył, co ona ma w ręku, było już za późno. Krzyknął, unosząc równocześnie broń, ale Spari nie miał najmniejszej szansy. Rewolwer trzymany przez kobietę wypalił, zanim Ned zdążył

142

w nią wymierzyć. Nacisnął spust i Murzynka została przecięta serią z automatu. Spari pchnięty impetem kuli zrobił krok w przód i padł na twarz. Ned doskoczył do niego, chcąc go podtrzymać, ale nie dał rady. Spari był zbyt ciężki, a Ned wciąż trzymał w dłoniach karabin.

Gratiano rzucił okiem na Murzynkę, ale nie stanowiła już zagrożenia; i ona, i dziecko byli martwi. Pochylił się nad ciałem Spariego; miał nadzieję, że kula trafiła w kamizelkę, ale niestety tak nie było. Gdy dotknął jego głowy, poczuł krew. Kula roztrzaskała mu tył głowy. Ned zamarł; już raz kiedyś widział taką śmierć. Torrucci... Zacisnął dłonie na broni, aż zbieleły mu knykcie i wściekle zaklął. Dlaczego Spari? Dlaczego w tak głupi sposób? Wściekłość kipiała w nim, budząc dzikie instynkty. Chciał zabijać! Musiał /abijać, żeby zdławić ból. Z wykrzywioną twarzą i błyskiem szaleństwa w oczach

wypadł na korytarz i stanął oko w oko z Alexem. Chłopak na jego widok cofnął się w geście przerażenia.

- Oślaniaj mnie! - rozkazał Ned i pognął przed siebie.

* * *

Prezydent Butangwoso bał się. Od czasu gdy jego doradca i sekretarz w jednej osobie - Nelson Garaga - pokazał mu dowody świadczące o zdradzie generała Butangi, nie spał spokojnie. Pomimo że generał został natychmiast aresztowany, cień niepewności pozostał. Butangwoso zawsze był podejrzliwy, a po tym incydencie ufał już tylko jednemu człowiekowi. Tylko Garaga miał dostęp do sypialni prezydenta, tylko on miał wszystkie klucze, żeby zarządzać centrum dowodzenia i to 011 dbał o bezpieczeństwo pałacu.

Gdy rozległy się pierwsze strzały, czoło prezydenta zrosił obfity pot. Z trudem dźwignął swoje stuczterdziestokilo-gramowe ciało i usiadł na łóżku. Niepokój nie pozwolił mu

143

jednak wytrwać w tej pozycji zbyt długo. Posapując i stękając wstał i podszedł do drzwi. Przez chwilę nasłuchiwał, aż w końcu zdecydował się je otworzyć. Garaga stał pochylony nad monitorem połączonym z wewnętrznym systemem kamer. Tuż obok błyskał zielonym światłem pulpit sterujący ogniem automatycznych karabinów maszynowych rozmieszczonych w kilkunastu miejscach wewnątrz i na zewnątrz pałacu. Wszystko wyglądało tak jak powinno - to uspokoiło prezydenta.

- Co się dzieje? - zapytał, czując niewystowioną ulgę, że Garaga jest na stanowisku.
- Zostaliśmy zaatakowani przez oddział najemników. -Garaga nawet na chwilę nie oderwał wzroku od monitora.
- Czy mogą nas pokonać?
- Już nas pokonali!
- Co? - Butangwoso ze zdumienia uniósł brwi. -A gwardia?
- Nie ma już gwardii!
- A zabezpieczenia? System obrony?
- Wyłączyłem go.

-Co?!

Garaga powoli odwrócił się w stronę prezydenta. - Wyłączyłem go.

- Dlaczego? - Butangwoso dopiero teraz dostrzegł w ręku swego doradcy rewolwer. Jego oczy zaokrągliły się ze zdumienia, ale szybko pojawiło się w nich przerażenie.
- Ponieważ to ja ich oplotłem - wyjaśnił Garaga.
- Zdradziłeś mnie!

Garaga lekko się uśmiechnął i nacisnął spust. * * *

Ned nie panował nad sobą. Nie mógł sobie darować, że przez jego błąd zginął Michael. Mógł go ocalić, gdyby był

144

czujniejszy, a tak... Zabijał, żeby pozbyć się poczucia winy, zabijał, żeby stłumić ból. Pokój po pokoju, korytarz po korytarzu; Ned strzelał bez względu na to czy przeciwnik był uzbrojony, czy nie; czy był mężczyzną, czy kobietą. Nie musiał się obawiać, że ktoś strzeli mu w plecy - za nim nie zostawał nikt żywy. Zakładnicy nie byli mu potrzebni.

W końcu dotarł do apartamentu prezydenta. W środku byli już Rodríguez i Pedro, a na środku puszystego dywanu leżało potężne ciało. To było ciało prezydenta. Ned spojrzał na rozbity pulpit sterowniczy i zaklął.

- Musieliście go zabijać? - warknął na Pedra. - Mógł się nam przydać.

- To nie my! - Rodríguez pokręcił głową. - Był martwy jak tu weszliśmy. A to - tu wskazał na zniszczony sprzęt - też kto[^] załatwił przed nami.

Ned zaniepokoił się. Jeżeli ktoś zabił prezydenta i uszkodził pulpit sterowniczy, to mogło to oznaczać dla nich poważne problemy.

- Wycofujemy się! - rozkazał, tknięty złym przeczuciem.

W progu jeszcze raz spojrzał na ciało prezydenta i zamknął za sobą drzwi.

Biegł zwołując po drodze swoich ludzi. Jeśli jego podejrzenia były słuszne, byli załatwieni. Jeśli ktoś zabił prezydenta, nie czekając aż oni to zrobią, to był to ktoś, kto prowadził własną grę. Zniszczenie pulpitu sterującego systemem obrony wskazywało, że nie był to ich sojusznik. Ktoś odebrał im jedyną kartę przetargową, którą mogło być życie Butangwoso i ograniczył szansę obrony, niszcząc sprzęt. Czy była to część planu, w którym odgrywali rolę pionków?

Nim dotarł do holu, odgłosy wściekłej kanonady powiedziały mu, że powinien spodziewać się najgorszego. Przeskakując po dwa, trzy stopnie pokonał schody i wpadł na Lennox.

145

- Co się dzieje? - zapytał przekrzykując huk wystrzałów.

- Atakują nas!

- Kto? Gwardia?

- Gwardia?! - Lennox splunął. - Wali na nas pół dywizji regularnego wojska! Wygląda, że byli gdzieś w pobliżu.

Ned poczuł pieczenie w przetyku. To nie był przypadek.

- Gdzie Colder? - zapytał Lennox.

- Przecież był z wami!
- Powiedział, że idzie do was... - Lennox urwał w pół zdania i spojrzał na Neda. - Macie prezydenta?

- Był martwy, zanim go znaleźliśmy.

Szczęki Lennox'a poruszyły się wypluwając przekleństwo.

- A co z systemem obrony?
- Ktoś załatwił pulpit sterowniczy!

Tym razem najemnik klął znacznie dłużej.

- Wystawili nas! Jak jasna cholera! Wystawili nas! I ten dupek maczał w tym palce. Colder, ty skurwysynu - ryknął odchylając głowę. - Dostanę cię!

- Trzeba stąd pryskać! - rzucił Ned.
- Za dziesięć minut skończy się nam amunicja.

Ned skinął głową. Musieli się stąd wynosić szybko.

- Jedyna szansa to samolot.

Lennox skrzywił się. - Zestrzelą nas w pięć minut. Tym transportowcem nie zwiejemy...

- Transportowcem nie, ale odrzutowcem prezydenta... W dodatku na razie jeszcze nie wiedzą, że prezydent nie żyje. Nie będą strzelać... przynajmniej nie od razu. Mamy szansę przelecieć przez góry.

Lennox machnął ręką. - Dobra! I tak niewiele ryzykujemy. Jak nas tu dorwą, to i tak nas rozwałą. Zapytam Buggsa czy umie takie coś pilotować. Chwalił się, że pilotuje

146

wszystko, co lata, łącznie z promami kosmicznymi, niech pokaże na co go stać.

Lennox zatrzymał się i spojrzał na Neda. - Ktoś musi osłaniać odwrót.

- Wezmę to na siebie. - Ned był zupełnie spokojny. - Potrzebuję dwóch ochotników.

Lennox nie czekał dłużej. Przebiegł się wzdłuż pozycji wydając rozkazy i nie minęła minuta, a już był z powrotem.

- Załatwione! Chłopaki dadzą teraz czadu, wyprują po kilka magazynków, a potem pryskamy. Rodriq̄uez i Mit-chel dostali po nogach, nie mogą chodzić. Zostaną do końca. Pomoże ci jeszcze Alex. Zgłosił się na ochotnika. I Shagasa - on nie przepuściłby takiej okazji. Wy trzej wytrzymajcie trzydzieści sekund i pryskajcie.

- A Mitchel i Rodriq̄uez?

- Wiedzą, że muszą zostać. Albo pobiegniemy szybko, albo wcale.

Ned odruchowo przytaknął. Tak! Lennox miał rację! Nie mogli opóźnić odwrotu przez rannych... I nagle zawahał się. Przecież skazywali tych ludzi na pewną śmierć, a on spokojnie godził się na to. Uważał to nawet za rozsądne!!!

Zajął pozycję pod wybitym oknem, przygotował cztery magazynki, załadował granatnik i dopiero wtedy odszukał wzrokiem Rodriąueza. Leżał kilka metrów od niego i prowadził prawie ciągły ogień ze swojego karabinu. Gdy zauważył, że Ned mu się przygląda, uniósł kciuk do góry i wyszczerzył zęby w uśmiechu. Ned spojrzął na jego nogi i wzdrygnął się. Zakrwawione środki opatrunkowe, pusta fiolka po zastrzyku przeciwbólowym i poszarpane kawałki ciała w miejscu, gdzie powinno być kolano. Odwrócił wzrok.

Lennox krzyknął coś i większość najemników poderwała się i rzuciła w głąb korytarza. Ned gestem nakazał Alenowi, żeby też uciekał, ale chłopak przecząco pokręcił głową. „Następny bohater” - pomyślał Ned i schylił się moc-

147

niej, gdy nad nim przemknęła seria z automatu. To go otrzeźwiło. To nie był czas ani miejsce, żeby zastanawiać się nad sensem poświęcenia czy walki o przeżycie. Tu myśliciele i pacyfiści ginęli pierwsi. Sztuką było przeżycie i na tym musiał się skoncentrować.

Otworzył ogień. Sylwetki żołnierzy rozciągnięte na przedpolu przypominały gigantyczną uprawę. Było ich tak wielu, że Edgarowi kojarzyli się z głowami kapusty rozsianymi na polu. Żołnierzy wciąż przybywało i Ned miał świadomość, że za chwilę rzucą się do szturm. Mając pięć karabinów nie byli w stanie ich zatrzymać. Mimo to walczyli. Strzelali z dużą gwałtownością, tak jakby było ich co najmniej pięćdziesięciu. Po plecach Neda spływał pot, mieszanina strachu i podniecenia, mimo to czekał do ostatniej chwili. Dopiero gdy wystrzelał przedostatni magazynek, dał znak do odwrotu. Gestem dłoni pożegnał Rodriąueza i wycofał się w głąb korytarza, osłaniając się nawzajem z Alexem i Shagasą.

Gdy znaleźli się w ogrodzie czekała ich miła niespodzianka - Lennox z kilkoma ludźmi osłaniał im przejście.

- Dzięki! - rzucił Ned, gdy przebiegał obok najemnika.

Z lewej strony ogród zmieniał się w park, rosły tam krzewy i nieliczne drzewa, które dawały schronienie. Przedzierali się pomiędzy nimi i kryli się przed śmigającymi nad głowami kulami. Cel ich wyścigu stał nie dalej niż siedemdziesiąt metrów od pałacu, ale nie mogli biec po linii prostej. Na otwartej przestrzeni zostaliby zabici w ciągu kilku sekund, jedynym sposobem było obiegnięcie tej części pasa wzdłuż granicy parku i ogrodu. Potem zostawało jeszcze dwadzieścia metrów do miejsca, gdzie stał odrzutowiec. Mogli mieć tylko nadzieję, że samolot był gotowy do startu.

Ned dotarł do granicy parku i zatrzymał się. Większość najemników biegła już w stronę odrzutowca. Widział ich sylwetki oświetlone refleksami świateł i już miał pobiec

148

za nimi, gdy nagle oślepiło go porażające światło. Równocześnie usłyszał huk broni maszynowej.

Dopiero po chwili zrozumiał, że po przeciwnej stronie pasa rozbłysły reflektory. Gdy oczy przywykły nieco do światła, zobaczył, że na pasie nikt już nie biegł. Najemnicy leżeli rozciągnięci na przestrzeni kilkunastu metrów, niektórzy próbowali ukryć się za kołami odrzutowca, niektórzy próbowali odpełznąć w stronę parku. Wtedy pojawiły się śmigłowce. To nie była już walka, to była rzeź. Ciężkie karabiny maszynowe i granaty rozszarpały ciała z potworną skutecznością.

Ned ukryty wśród krzewów patrzył na tę masakrę z bezsilną wściekłością. Nie miał wątpliwości, że zostali sprzedani. Nie przypadkowo zaatakowało ich wojsko, nie przypadkowo cały teren był obstawiony. Ktoś zorganizował to w taki sposób, żeby nie mieli żadnych szans. Zaklął. Za plecami słyszał strzały i nawoływania żołnierzy przeszukujących park, przed sobą miał odkrytą przestrzeń kontrolowaną przez śmigłowce; żadnych szans.

Śmigłowce wycofały się nieco, umilkła również kanonada. Po chwili usłyszeli głos wzmocniony przez megafon. -Poddajcie się! Macie minutę! Jeżeli nie wstaniecie z uniesionymi rękoma, zostaniecie zastrzeleni.

Spojrzał na boki. Tuż obok klęczał Alex, z drugiej strony Lennox, dalej jeszcze jeden najemnik. Chyba nikt więcej. Czterech osaczonych bez szans na wyrwanie się z matni. Mieli do wyboru poddać się lub dać się zabić.

Spojrzał jeszcze raz na Lennox i obaj skinęli głowami. Odrzucił broń, podniósł ręce i wyszedł na otwartą jasno oświetloną przestrzeń. Tuż obok szli Alex i Lennox. Czuł się nagi i bezbronny i tylko przez chwilę pomyślał, czy nie

lepiej umrzeć tu i teraz niż za kilka dni... a może już godzin.

* * *

149

Przesłuchiwano ich pojedynczo. Najpierw długa rozmowa z oficerem, potem przesłuchanie. Ned, jeszcze zanim został pobity, wymienił wszystkie nazwiska ze zdjęć, odpowiedział na wszystkie pytania, na które potrafił odpowiedzieć. To jednak nie uchroniło go przed skatowaniem. Pobity i obolały znalazł się w wąskiej betonowej celi. Było tam zupełnie ciemno i z trudem, po omacku znalazł drewnianą pryczę. Zapadł w niespokojną drzemkę.

Wydawało mu się, że minęła chwila. Ktoś ściągnął go z pryczy i dwaj strażnicy zawlekli go na kolejne przesłuchanie. Zadano mu te same pytania, na które raz już odpowiedział; znów go pobito i zawleczono do celi. Tym razem nie miał już siły wciągnąć się na pryczę.

Rytuał przesłuchań powtarzał się w nieskończoność. Ned nie był już pewien czy trwało to po kilka godzin, czy po kilka dni. W końcu ból i zmęczenie były tak dokuczliwe, że zapadł w stan odrętwienia. Nie pamiętał, co mówił, nie pamiętał, o co go pytano.

I wtedy nieoczekiwanie zostawiono go w spokoju.

Początkowo tego nie zauważył. Nie mógł tego zauważyć, ponieważ spał, głębokim nieprzytomnym snem. Po raz pierwszy, od chwili gdy znalazł się tutaj, przebudził się sam, a nie został wyrwany ze snu

przez strażników. Po raz pierwszy czuł, że jego umysł nie woła o kolejną porcję snu. Gdy to zrozumiał, najpierw się ucieszył, a potem przyszedł niepokój. Jeżeli już nie chcieli go przesłuchiwać, to znaczyło, że nie był im już potrzebny. A to oznaczało śmierć.

Ta myśl stawała się coraz bardziej natarczywa, w miarę jak Edgar odzyskiwał siły. Lęk zakradł się podstępnie i został na dłużej, jak nieproszony gość. Ned nie chciał umierać i świadomość, że jego życie może zakończyć się w każdej chwili, wprawiała jego umysł w niebezpieczny dygot. Zgrzyt zamka, odgłos kroków na korytarzu przyspieszały

150

mu tętno i powodowały ucisk w żołądku. Nie mógł zrobić nic... Mógł tylko czekać.

Gdy przyszli po niego, spał jeszcze, ale zanim się przebudził, już wiedział, że to koniec. Zaciągnęli go na zalany słońcem plac. Ktoś zawiązał mu oczy, ktoś zawiązał ręce, ktoś coś powiedział. Ned drżał lekko czując jak zimny pot spływa mu po plecach.

„A więc to już” - pomyślał i odruchowo skulił się, czekając na strzały. Przez głowę przemknęły mu strzępy zdań, kilka migawek z całego życia i... nie stało się nic.

„Dlaczego nie strzelają?” - zdziwił się, gdy minęły minuty, a on wciąż jeszcze żył. Czy to niosło nadzieję, czy było kolejną torturą; ale po co męczyć człowieka, który i tak ma umrzeć? A może zacięła im się broń? A może...? Stał tak godzinę? Dwie? A może cały dzień? Nasłuchiwał i czekał, czekał i nasłuchiwał. A potem ktoś podszedł do niego, zdjął mu opaskę i odprowadził do celi.

Dopiero gdy znalazł się między chłodnymi, betonowymi ścianami, gdy usiadł na dobrze znanej drewnianej pryczy, przekonał się, jak bardzo jest wyczerpany. Nie mógł się poruszyć. Wszystkie mięśnie napięte przez kilka godzin teraz odmówiły posłuszeństwa. Mógł się tylko śmiać. Jak inaczej mógł zareagować ktoś, kto przeżył własną śmierć. Śmiał się tak histerycznie, że popłynęły mu łzy.

I znów musiał czekać. Nie wiedział, co oznaczała ta niedokończona egzekucja. Czy była to pomyłka, czy miało go to zastraszyć? Niepewność była stanem nie do wytrzymania. Mijały godziny i dni, a on wciąż bał się, że każda z mijających chwil może być ostatnią. To go wypalało.

Ostatnie przejścia, stres i wilgoć panująca w celi zmniejszyły odporność jego organizmu; przeziębił się. Choroba nasiliła lęki, a wysoka temperatura spowodowała, że Ned zaczął tracić kontakt z rzeczywistością. Majaczył. Śniło mu się, że przedziera się przez bagna w oparach mgły

151

i siarkowodoru. Słyszał głosy i widział rozmazane cienie. Mówiły coś do niego, coś od niego chciały, ale on nie miał siły. Zapadał się coraz głębiej w mroczne grząskie trzęsawisko. Dusił się i wtedy usłyszał głos, który rozpoznał od razu.

- Nie poddawaj się! - to był Sirius. Był tu przy nim, przyszedł, żeby mu pomóc. Ned czuł jego obecność, widział jego uśmiech, chciał go dotknąć... Otworzył oczy i zobaczył przed sobą twarz anioła, a może... Twarz była piękna, kobieca, delikatna, ale jej kolor... była ciemna, bardzo ciemna, prawie czarna. Czy anioły mogą mieć czarne twarze? Anioł go dotknął, miał przyjemnie chłodną dłoń... Czy on umierał? Nie! Sirius kazał mu walczyć! Musi...

Z tą myślą stracił przytomność.

* * *

Ocknął się w małej czystej salce, przypominającej szpitalną izolatkę. Ostry zapach środków dezynfekujących potwierdzał przypuszczenie, że znajduje się w szpitalu. Szybko pojawiła się pielęgniarka i kazała mu zażyć lekarstwa. Nie powiedziała nic więcej i znikła. Ned znów mógł tylko czekać, ale teraz był już dużo spokojniejszy niż w celi. Spotkanie z Sirusem, nawet jeśli było wyłącznie wytworem jego rozgorączkowanego umysłu, dodało mu sił. Jeśli miał umrzeć, to trudno, ale nie zamierzał załamać się czekając na to. Czas zacząć walczyć.

Minęło kilka dni i gdy tylko doszedł trochę do siebie, zaczął ćwiczyć. Robił skłony, przysiady, pompki i z przerażeniem stwierdził, jak bardzo osłabł. Ćwiczenia, które kiedyś wykonywał z łatwością teraz wymagały koszmarne wysiłku, ale Ned nie poddawał się. Po dwóch tygodniach jego ciało znów zaczynało działać jak sprawny, naoliwiony mechanizm. Wtedy przyszli po niego.

152

Szedł wąskim korytarzem, prowadzony przez dwóch gwardzistów i szybko przekonał się, że nie znajdował się w szpitalu. Sprowadzili go po schodach i wepchnęli do korytarza, na którego końcu znajdowały się szerokie, okute stalą i chromem drzwi. Jeden ze strażników otworzył je i lekko popchnął go do środka; drzwi zamknęły się za nim prawie bezszelestnie.

Ned znajdował się w małym przytulnym gabinecie. Za niezbyt wysokim biurkiem siedział mniej więcej pięćdziesięcioletni mężczyzna. Ned widział go po raz pierwszy. Był tego pewien. Ta twarz była tak niezwykła, że gdy zobaczyło się ją raz, zostawała na zawsze w pamięci. Łagodność i czające się w głębi oczu okrucieństwo, szlachetność i bezwzględność. W tym człowieku mieszkaly skrajności, które ciężko było połączyć. Ned spotykał te cechy wypisane na twarzach wielu ludzi, ale po raz pierwszy znajdował je wszystkie u jednego człowieka. Taka twarz zdarzała się raz na milion, raz na dziesięć milionów. „Każdy reżyser wzięłby go do swego filmu” - przemknęło mu przez myśl.

-Siadaj!

Mężczyzna powiedział to tak sugestywnie, że Ned nie zastanawiając się wykonał polecenie. Dopiero wtedy pomyślał, że stojąc miał o wiele większe możliwości działania. Siedząc po przeciwnej stronie biurka miał nikłą szansę zaskoczyć mężczyznę nagłym atakiem.

- Czy wiesz, kim jestem?

Ned przecząco pokręcił głową.

- Nazywam się Garaga. Do niedawna byłem doradcą prezydenta Butangwoso. Teraz, w dużej mierze dzięki waszemu atakowi, to ja jestem prezydentem.

- Gratuluję.

Garaga uśmiechnął się subtelnie. - Zdziwiasz mnie! Niewielu ludzi znajdujących się w takiej sytuacji jak ty,

153

stać by było na sarkazm. Nie sądzisz, że to w równym stopniu przejaw odwagi, co głupoty?

Ned popatrzył na niego podejrzliwie. O co tu chodziło? Jaki cel miała ta rozmowa?

- I myślę, że taki właśnie jesteś. - Garaga kontynuował swój monolog. - Na tyle głupi, żeby wierzyć, że uda ci się stąd uciec, i na tyle odważny, żeby tej ucieczki spróbować. Prawda, że spróbujesz? Inaczej nie ćwiczyłyś tak zawzięcie.

Ned zachował niewzruszony wyraz twarzy. Spodziewał się, że był obserwowany, więc słowa Garagi nie zaskoczyły go.

- Twoja żywotność jest godna podziwu. Ta infekcja, którą złapałeś, to rodzaj gorączki tropikalnej, która zabija połowę zarażonych. Ty po trzech tygodniach wyglądasz jak po urlopie wypoczynkowym. Próbowano cię złamać fizycznie i psychicznie, a ty siedzisz tu spokojnie i kombinujesz, jak mnie dopaść. Nawet śladu załamania, lęku...

Ned miał zupełnie inne zdanie na ten temat. Ślady zostały w nim bardzo głęboko, a to, że się nie załamał zawdzięczał Sirusowi, a może tylko jego wspomnieniu.

- Czy zawsze walczysz do końca? - Garaga nie czekał na odpowiedź. - Jak powiedziałem, takich ludzi nie ma zbyt wielu, a więc na swój sposób jesteś wyjątkowy i dla mnie dość cenny. - Garaga uważnie obserwował jego twarz, jakby próbował wyczytać, jakie wrażenie robią na Nedzie te słowa. - Dlatego zanim rzucisz mi się do gardła, wysłuchaj mojej propozycji. Jeżeli się zgodzisz, w zamian otrzymasz wolność i pieniądze.

- Co miałbym zrobić?

Garaga milczał przez dłuższą chwilę, a w końcu powiedział:

- Chcę, żebyś na pewien czas stał się aniołem stróżem mojej córki. Chcę, żebyś ją zabrał stąd i ukrył się z nią w bezpiecznym miejscu.

154

Ned przygotował się wewnątrz na różne propozycje, ale ta zaskoczyła go zupełnie.

- Zaraz, zaraz! Czegoś tu nie rozumiem! Przecież stoimy po przeciwnych stronach barykady, jesteśmy wrogami. Byłem torturowany przez pańskich ludzi, a pan chce mi powierzyć bezpieczeństwo swojej córki? Skąd takie zaufanie? Przecież mogę ją zabić, mszcząc się za to wszystko co mnie tu spotkało.

- To prawda! Nie sadzę jednak, żebyś to zrobił. Zwłaszcza gdy wysłuchasz mnie do końca, ale dla pewności mam jeszcze polisę na życie.

- Polisę?

- Chodź ze mną!

Zeszli do podziemi, w ciąg betonowych korytarzy i zatrzymali się przy którychś z rzędu stalowych drzwiach. Garaga kazał je otworzyć.

- Wejź! - powiedział wskazując słabo oświetlone wnętrze.

Ned po lekkim wahaniu wszedł do środka. Dopiero po dłuższej chwili, gdy jego wzrok przywykł do półmroku, zobaczył, gdzie się znajduje. Była to prawie taka sama cela, w jakiej on sam spędził parę tygodni. Ta także miała swojego lokatora. Na pryczy zwinięty w kłębek leżał człowiek, bardzo szczupły człowiek. Gdy Ned podszedł bliżej, ta drobna postać i blond włosy wydały mu się znajome i nagle rozpoznał je.

- Alex! - krzyknął doskakując do pryczy. - Alex! Ty żyjesz!

Próbował ująć rękę chłopaka, ale ten szarpnął się gwałtownie, wtulił się plecami w ścianę i wyszeptał!
- Nie bij mnie!

Na Neda patrzyły przerażone, błyszczące oczy zaszczutego zwierzęcia.

- Alex! To ja!

155

Chłopak drżał. - Nie bij mnie!

Ned chciał coś jeszcze powiedzieć, coś co uspokoiłoby Alexa, ale nie potrafił znaleźć właściwych słów.

- Co oni ci zrobili? - wyszeptał i nagle zerwał się i do-skoczył do Garagi i schwycił go za gardło. - Zabiję cię.

Gwardzista, który stał w drzwiach, zdzielił go kolbą karabinu. Garaga uniósł dłoń i wycharczał: - Stać!

Ned wciąż go trzymał za gardło, ale jego palce rozluźniły uścisk.

- Puść mnie! - głos Garagi był zniekształcony. - Tak nic nie osiągniesz... Wyjaśnię ci wszystko. Chcesz zabić siebie i Alexa?

Ned cofnął się o krok. Gwardzista oparł lufę karabinu na jego piersi.

- Zabierz broń! - Garaga spojrzał na żołnierza i rozkaz został momentalnie wykonany. Spojrzenie prezydenta przeniosło się na Neda. - Pójdiesz spokojnie?

Ned odetchnął głębiej i skinął głową; potem potulnie dał się zaprowadzić z powrotem do gabinetu.

- A co z resztą? - zapytał, gdy znaleźli się sami.

- Nie żyją!

- I ty chcesz, żebym wyświadczył ci przysługę?

Garaga skinął głową.

- To co się stało z twoim oddziałem, to nie moja wina. Gdy taka operacja kończy się fiaskiem, wielu ludzi musi zapłacić za to życiem, aleja nie miałem z tym nic wspólnego. To nie ja to zaplanowałem i nie ja was wystawiłem. Zrobił to ten sam człowiek, który was tu przysłał.

Ned drgnął. A więc to Cartwright ich sprzedał!

- To dlaczego ty, a nie ktoś inny został prezydentem?
- To że zostałem prezydentem, to w głównej mierze wynik specyficznego układu, jaki wytworzył się po śmierci Butangwoso, a nie moich zabiegów. Gdybym chciał cię wprowadzić w zawiłości sytuacji politycznej w tym kraju,

156

zająłoby to kilka dni, ale powinieneś wiedzieć to co najistotniejsze. Po pierwsze: są tu trzy główne stronnictwa i każde z nich ma za sobą część armii. Antagonizmy pomiędzy stronnictwami nie wywodzą się z podziałów politycznych, ale z różnic etnicznych. Każda frakcja to przedstawiciele jednego i tylko jednego plemienia i alianse pomiędzy nimi są prawie niemożliwe. Nienawiść do obcych i do członków innych plemion wysysają z mlekiem matki i w zasadzie ciągle są w stanie wojny. Nawet po zjednoczeniu w jeden organizm państwowy wrogość ludzi pozostała. Pierwszy dyktator starał się utrzymać ich w ryzach siłą, ale to też się nie udało. Dopiero porozumienie, dzięki któremu wybrano człowieka, zaakceptowanego przez wszystkie plemiona, przyniosło chwilową stabilizację. Główny problem to znalezienie człowieka, który nie wzbudzi sprzeciwu któregoś z plemion. Butangwoso spełniał to kryterium, ale był również mordercą i miał ciągoty, żeby obwołać się bogiem. To powodowało rosnące napięcia i wcześniej czy później musiało się to skończyć tak, jak się skończyło. Po jego śmierci wielu generałów wpadło w panikę. Byliśmy o krok od wojny domowej i wtedy okazało się, że jestem właściwym człowiekiem do przejęcia władzy. Generałowie zgodzili się na moją kandydaturę, bo dla nich była to jedyna gwarancja przeżycia. W moich żyłach płynie mieszanka krwi każdego z plemion, wiele razy występowałem jako mediator, byłem mężem zaufania. W ten sposób zostałem prezydentem.

Garaga przerwał na chwilę i sięgnął po kieliszek koniaku.

- Oczywiście zanim zostałem prezydentem, musiałem zostać sprawdzony czy nie miałem nic wspólnego z zamachem. Najprościej było wyciągnąć te informacje od was i sam rozumiesz, że nie mogłem się temu sprzeciwić. Nie zapomniałem jednak, co zrobić dla mnie, a w zasadzie dla mojej córki, pewien człowiek. Gdy tylko zostałem oczysz-

157

czony z wszelkich podejrzeń i odzyskałem swobodę działania, zrobiłem dla niego to, co on zrobił dla niej - uratowałem mu życie.

Ned spojrzał na niego pytająco.

- Ta dziewczyna, którą uratowałeś wtedy, w czasie ataku, to była moja córka. I możesz mi wierzyć, że powstrzymanie twojej egzekucji nie było sprawą łatwą.

Ned przez chwilę zastanawiał się, czy Garaga go nie oszukuje. Czy nie wymyślił tej historii, żeby wciągnąć go w jakąś pułapkę, ale w końcu doszedł do wniosku, że nie miałoby to sensu. Co mógł przez to osiągnąć?

- Czy życie Alexa to też twoja zasługa?

- Nie! To inna historia. On, w przeciwieństwie do ciebie, załamał się na samym początku przesłuchania. Cofnął się do czasu, gdy był dzieckiem i już tam został. Stał się bezużyteczny, więc zostawiono go tak jak wielu innych, których pełne są tu cele. O tym, że jest to dla ciebie ktoś szczególny, dowiedziałem się później.

Ned musiał mu przyznać, że był szczery.

- I postanowiłeś to wykorzystać.

- Tak! Pomyślałem, że być może nie zależy ci na jego życiu tak bardzo, jak mnie na życiu mojej córki, ale na pewno nie chciałbyś stać się przyczyną jego śmierci.

- Przecież on już jest martwy!

- To tylko teraz tak wygląda. - Garaga wyjął plastikową teczkę. - Tu mam opinie kilku psychiatrów; wszyscy są zgodni, że te zmiany są odwracalne. Przy odpowiedniej terapii, a zwłaszcza przy właściwej opiece, Alex będzie zdrowy w ciągu kilku miesięcy. - Na chwilę zawiesił głos. - Jeżeli przyjmiesz moją propozycję, jeszcze dziś jego kuracja się rozpocznie, a gdy wywiążesz się z zadania, wysłę go do najlepszej kliniki. To będzie część twojego wynagrodzenia.

Ned milczał. To wszystko wydawało mu się nieco dziwne. Wciąż jeszcze nie rozumiał paru rzeczy.

158

- Dlaczego ja? Dlaczego akurat ja mam być jej aniołem stróżem? Dlaczego podejmujesz takie ryzyko? Czy nie byłoby bezpieczniej wybrać jakiegoś zaufanego człowieka niż mnie - najemnika, zabójcę?

Garaga roześmiał się. - Cóż za epitety! Taka opinia na własny temat! No no! Gdybym cię nie obserwował, może bym w to uwierzył, ale ja wiem o tobie znacznie więcej niż przypuszczasz, Edgarze Gratiano!

Ned nie zareagował. Skąd Garaga znał jego nazwisko? No tak, nie powinien się dziwić. Na pewno został dokładnie sprawdzony.

- Może wyda ci się to paradoksalne, ale jesteś jedyną osobą, której mogę w tej sprawie zaufać. Wiem, że najemnikiem zostałeś z konieczności, a nie z wyboru. Wiem, że jesteś dobrze wysmolony, a jednak, choć potrafisz zabijać, nie jesteś zawodowym mordercą. Nawet to, że pytasz mnie, dlaczego wybrałem ciebie, mówi mi, że się nie pomyliłem. Gdybyś był pozbawionym skrupułów zawodowcem, przyjąłbyś tę propozycję bez chwili wahania, bo w ten sposób łatwo mógłbyś się stąd wydostać. Ty jednak starasz się mnie przekonać, że nie jesteś odpowiednim kandydatem na ochroniarza. - Garaga uśmiechnął się. - I właśnie dlatego jestem pewien, że pod twoją opieką będzie bezpieczniejsza niż pod opieką kogokolwiek innego.

- Nadal nie rozumiem, dlaczego ja?

- Widzisz, ona nie interesuje się polityką; nie miała nic wspólnego z tym, co się tutaj działo i nie chce, by kiedykolwiek miała. Niestety, wielu ludzi wie, że dla niej byłbym gotów zrobić wszystko. Obecna sytuacja jest na tyle napięta, że ktoś mógłby wpaść na pomysł wykorzystania jej jako karty przetargowej. Nie chcę, żeby tak się stało. Jeżeli będzie daleko stąd pod opieką kogoś, o kim wiem, że

nie został kupiony przez żadnego z moich wrogów; który nie da się im kupić, choćby dlatego, że są winni śmierci jego ko-

159

lęgów, będę spokojniejszy, niż gdybym ją wysłał z zaufanym człowiekiem, który jutro może okazać się zdrajcą. Poza tym - zrobił krótką pauzę - ty będziesz pamiętać, że to jej zawdzięczasz życie. Gdyby nie jej prośby, nie narażałbym się dla ciebie.

Ned wpatrywał się w swoje dłonie nie chcąc, żeby oczy zdradziły, o czym myśli. Te dwa zdania, to postawienie kropki nad „i” świadczyło o tym, że Garaga nie ufał mu tak bardzo, jak próbował go przekonać. Ktoś, kto używa szantażu, potem odwołuje się do poczucia sprawiedliwości, a w końcu jako ostatecznego argumentu używa moralnych zobowiązań, z pewnością nie był wolny od obaw.

- No cóż! - Garaga powiedział to tak cicho, że przypominało westchnienie. - Czas byście się poznali. - Nacisnął jakiś przycisk i pochylając się nad małym mikrofonem, powiedział: - Meano, pozwól na chwilę.

Ned, gdy usłyszał skrzypnięcie drzwi, odwrócił się. W pokoju pojawiła się szczupła i zwiewna dziewczyna. Przyglądał się jej, próbując przypomnieć sobie rysy jej twarzy widziane wtedy przez kilka sekund, ale nie potrafił. Pamiętał jedynie jej oczy, jej piękne duże oczy i gdy weszła w krąg światła, przekonał się, że były właśnie takie, jakie je zapamiętał. Nie były co prawda tak rozszerzone przerażeniem, ale nadal były piękne.

- Cześć! Jestem Meana! - powiedziała po prostu i Ned uśmiechnął się. Skojarzył coś jeszcze: czarny anioł, którego widział w gorączce, gdy był chory, miał jej twarz. To była ona, to jej dłoń czuł wtedy na swoim czole. Odetchnął głęboko. Garaga znał się na ludziach. Ned mógł mu nie ufać, mógł go podejrzewać, mógł być na niego wściekły, ale to nie zmieniało faktu, że nie potrafiłby skrzywdzić tej dziewczyny.

* * *

160

Patrzył na piękny profil Meany, na jej rozchylone usta i nie mógł pozbyć się wrażenia, że śni. Prosto z celi śmierci znalazł się tutaj w małym, przytulnym domku ukrytym w górskiej dolinie, z dala od osiedli ludzkich i turystów; a w dodatku była przy nim Meana. Starannie wykształcona, zakochana w sztuce, czuła i piękna. Nic nie było w stanie oprzeć się jej urokowi, nawet wspomnienia. Przy niej zapominał o cierpieniu, o bólu i rozpaczach, których zaznał w ciągu ostatnich lat; przy niej odradzał się ten dawny, lepszy Edgar Gratiano.

Gdy po raz pierwszy pogłaskała go po policzku, ta drobna pieśczoła nie tylko sprawiła mu przyjemność, ale również do głębi nim wstrząsnęła. Nagle zrozumiał, że czekał na to od lat, że nawet wówczas, gdy musiał udawać twardziela, g<fr już prawie uwierzył, że się nim stał, nawet wówczas brakowało mu takiego gestu czułości. Nie musiała już nic więcej robić ani mówić; ten dotyk uczynił mu ją bliższą, niż mogły to zrobić setki wspólnych przeżyć czy rozmów, a rozmów prowadzili wiele. Rozmawiali spacerując w promieniach wiosennego słońca, wśród budzącego się życia czy też leżąc na podłodze przy zgaszonym świetle przykryci ciepłym miękkim kocem. Rozmawiali o sztuce, o życiu, o

miłości. Poruszali mnóstwo tematów, a jednak ten, który intrygował Edgara najbardziej, pojawił się dopiero po trzech tygodniach. Chciał wiedzieć, skąd taka nagła odmiana jego losu, czym zasłużył sobie na ten uśmiech szczęścia i w końcu zdobył się na zadanie tego pytania.

- Powiedz! Czy wiesz dlaczego twój ojciec wybrał akurat mnie? - zapytał. - Dlaczego mi zaufał i powierzył życie swojej córki.

- Bo go o to poprosiłam - odparła po prostu.

Spojrzał na nią z ukosa.

- Czy to oznacza, że zostałem uwiedziony?

Potwierdziła, śmiejąc się.

161

- To straszne! - stwierdził i zrobił obolałą minę. - Zostałem wykorzystany!

- Jeśli tak uważasz!

Ned uśmiechnął się. Nie! Na pewno tak nie uważał. To było czymś najpiękniejszym, co mogło go spotkać. Po miesiącach spędzonych w betonowej celi, po lekcji zabijania potrzebował właśnie takiego lekarstwa.

- Czy nie boisz się, że popełniłaś błąd? Skąd masz pewność, że cię nie zabiję? Przecież wiesz, że jestem zabójcą.

- Wtedy gdy wpadłeś do mojego pokoju, wyglądałeś jak bożek wojny; pewny siebie, niebezpieczny, przerażający. Mogłeś zrobić wszystko, nikt nie mógłby ci przeszkodzić, a jednak uratowałeś mi życie. Co więcej ratując je, zaryzykowałeś własne. Nie znam nikogo innego (za wyjątkiem mojego ojca), kto zrobiłby dla mnie coś takiego. A przecież nawet mnie wówczas nie znałeś. Pomyślałam więc, że gdy mnie poznasz lepiej... - przymknęła oczy, pozwalając swoim niesamowicie długim rzęsom opaść na policzki.

Ned przywołał w pamięci swoje zmagania z Cabarrą i wzdrygnął się. To przywołało inne wspomnienie - wspomnienie amoku, w którym zabijał kobiety i dzieci, wspomnienie bólu po śmierci Spariego.

- Poza tym widziałam twój film! - Meana uśmiechnęła się ciepło. - Jest piękny.

To było jak smagnięcie biczem. Te dwa wydarzenia tak odległe w czasie i teraz zestawione obok siebie uświadomiły mu jak głęboka przepaść dzieli jego przeszłość i teraźniejszość. Wówczas potrafił tworzyć, dziś już tylko niszczyć. Zrozumiał, że przez te lata utracił coś, co kiedyś było sensem jego życia; stracił część siebie, tę najlepszą. Miał nadzieję, że nie bezpowrotnie.

Zaprzagnął, po raz pierwszy od śmierci Sirusa, opowiedzieć komuś, to co tkwiło w nim najgłębiej, co bolało najbardziej i spróbował. Opowiadał jej to wszystko, choć cza-

162

sem brakowało mu właściwych słów. Czasem nie był pewien, czy ona go rozumie, ale jedno spojrzenie w jej oczy rozwiewało wątpliwości. Dzieliła z nim ból po stracie Archiego i Sirusa, rozgrzeszyła z zabicia w bójce Murzyna, wybaczyła udział w ataku na pałac, zabicie żony i dziecka prezydenta. Gdy zbliżał się do końca swojej historii, poczuł się tak, jakby zrzucił przytłaczający go ciężar. Tak długo dźwigał swój los jedynie na własnych barkach, że zapomniał, co to znaczy mieć kogoś, z kim życie nie jest samotną podróżą. Wraz z budzącą się nadzieją, że znalazł kogoś takiego, pojawił się lęk, że ten uśmiech szczęścia będzie równie krótkotrwały, jak wszystkie dotychczasowe. Ta nagła odmiana losu przyszła zbyt łatwo i zbyt szybko.

Gdy Meana snuła plany na przyszłość, on zastanawiał się, z której strony nadejdzie cios.

Myślał o tym również tej nocy. Siedział na wprost łóżka, na którym spała Meana i przyglądał się jej. Właściwie miał zamiar trochę popracować i napisać parę stron tekstu, ale nie miał nastroju. Wołał patrzeć na jej uśpioną twarz. W jego spojrzeniu była wdzięczność za to, że namówiła go, by spróbował ponownie pisać. Najpierw niechętnie i z oporami zgodził się, a teraz już tylko zastanawiał się, jak mógł tak długo żyć bez tworzenia. Dzięki niej przypomniał sobie, a właściwie odkrył ponownie swoje powołanie. Oczywiście wyszedł z wprawy (tam gdzie żył ostatnio, piękne słowa nie były w cenie), ale głębia jego przeżyć była nieporównywalna z doznaniem w tych odległych czasach, gdy debiutował jako pisarz. Zmagał się ze słowami, ale przyjemność tworzenia historii przenosiła go w inny wymiar. Wiedział, co chciał powiedzieć i co ważniejsze, miał co powiedzieć.

Meana obiecała mu, że jej ojciec da mu nową tożsamość, łącznie z nowymi dokumentami, operacją plastyczną i wymazaniem odcisków palców z policyjnych kartotek. To

163

umożliwiłoby mu wydanie książki, a może nawet powrót do filmu. Garaga mógł mu stworzyć tożsamość, której nikt by nie podważył, a to umożliwiłoby mu nowe życie. To była kusząca perspektywa, ale teraz pisał dla Meany. Nawet gdyby ona była jedynym czytelnikiem, to nie żałowałby poświęconego czasu.

Kochał ją.

Wstał, zgasił lampkę i po omacku dotarł do łóżka. Ostrożnie, żeby nie zbudzić dziewczyny, wsunął się pod kołdrę i zadrzał jak zwykle, gdy znajdował się blisko jej przyjemnie ciepłego i pachnącego ciała. Nie chciał przerywać jej snu, ale nie oparł się pokusie i pogłaskał jej aksamitne ciało. Meana zamruczała jak kotka i nie budząc się objęła go i przytuliła się do niego z ufnością dziecka. Jej twarz ułożona na jego torsie, jej piersi przyciśnięte do jego brzucha, jej całe ciało unosiło się i opadało w rytm jego oddechu, a ona poddawała się temu tak naturalnie, jakby nie była już odrębną istotą, ale częścią jego ciała. Ta szczególna symbioza uspokajała go, bliskość Meany odpędzała lęk.

Tuląc ją, zamknął oczy i zapadł w półsen.

* * *

Obudził go jakiś szmer, a w zasadzie przecucie zbliżającego się zagrożenia. Otworzył oczy i zaczął nasłuchiwać. Przez chwilę nic nie zakłócało nocnej ciszy, a potem usłyszał podejrzany dźwięk. Sięgnął po broń leżącą na nocnej szafce i nasłuchiwał dalej. Po chwili nie miał już wątpliwości - ktoś zakradł

się do środka. „Któryś z wrogów Garagi?” - pomyślał i przebiegł go nieprzyjemny dreszcz. Delikatnie, tak żeby jej nie przestraszyć, obudził Meanę. Położył palec na jej ustach i wyszeptał: - Nie mów nic! Ktoś jest w domku.

Ostrożnie, unikając gwałtownych ruchów, usiadł na łóżku i spuścił nogi na podłogę, ale nie zdążył już wstać. Ciche

164

skrzypnięcie drzwi zamroziło go w bezruchu - ktoś wszedł do sypialni. Ciche stąpnięcie, potem jeszcze jedno. Ned wymierzył broń i nagle rozbłysło światło latarki skierowanej na łóżko. Nie czekał dłużej. Nacisnął spust mierząc na wysokość pasa dorosłego mężczyzny i poderwał się na nogi.

Jęk! Przekleństwo!

Ned nacisnął spust jeszcze dwukrotnie, a potem dwie kule świsnęły koło niego. Pomyślał o Meanie, o tym, że może przypadkiem zostać postrzelona i rzucił się na łóżko, żeby ściągnąć ją na podłogę. W tym momencie ktoś zapalił światło. Ned oślepiony gwałtownym przejściem z mroku w jasność na chwilę stracił ostrość widzenia. Odwrócił się w stronę drzwi i próbował wymierzyć do majaczącej niewyraźnie sylwetki człowieka, ale zanim mu się to udało, kula Krafila go w bark. Rzuciło nim o ścianę. Strzelił! Mężczyzna stojący w progu otwartych drzwi osunął się na leżące tam już ciało. Trzeci przeciwnik stojący bardziej na prawo złożył się do strzału. Ned próbował uskoczyć i celował już do napastnika, ale piekący ból w barku spowolnił jego ruchy. Wiedział, że jest za wolny, wiedział, że za chwilę umrze. Jak przez ścianę słyszał krzyk Meany, a potem zobaczył jak dziewczyna rzuca się w stronę mordercy. Ned zdążył krzyknąć: „Nie!”, i chwilę potem rozległ się huk wystrzału. Meana, trafiona w pierś, padła do tyłu przygniatając Neda własnym ciężarem. Próbował ją złapać, ale niesprawną ręką była zbyt dużym utrudnieniem; upadli na podłogę. Usłyszał przekleństwo, szybkie kroki i morderca przydepnął mu rękę, w której trzymał pistolet. Patrzył w otwór lufy i miał świadomość, że patrzy w oczy śmierci. Nie miał szans, więc zamknął oczy i wolną ręką przytulił Meanę. Gdy rozległ się strzał był pewien, że to już koniec.

* * *

165

- Napijesz się?

Ned pokręcił przecząco głową. Wysoki mężczyzna nalał sobie szklaneczkę whisky i usiadł naprzeciw Edgara. Nazywał się Koeto i był człowiekiem przysłanym przez Garagę. To on zabił trzeciego napastnika, gdy ten mierzył do Edgara. Potem zbadał ranę Edgara, stwierdził, że kula przeszła na wylot i założył opatrunek. Nie mówił zbyt wiele, a Ned nie pytał. Śmierć Meany coś w nim złamała, zapadł się w siebie. Był spokojny, ale był to spokój kogoś, kto stracił chęć do życia. Utrata dziewczyny wsączyła jad w jego umysł, paraliżując wolę i pogrążając go w apatii. Popadł w ten dziwny stan właściwy ludziom, którzy doznali zbyt wielu krzywd, których cierpienie przekroczyło granice wytrzymałości. Dla tych ludzi wszystko, co spotyka ich potem, jest już jedynie wyblakłym odbiciem prawdziwych przeżyć. Był taki, jak ci obłąkańcy, których ból był zbyt wielki, by mogła go wyrazić jakakolwiek forma ekspresji. Był jak szaleniec, którego twarz zastygła w kamienną maskę, którego milczenie mówiło więcej niż najgłośniejszy krzyk.

Ned nie płakał, nie wygrażał niebu; przecież spodziewał się tego, co się stało. Podświadomie przygotowywał się na to cały czas, bo przecież los zawsze kazał mu płacić w twardej walucie.

Jej śmierć to była jego wina. Zapomniał o zadaniu, które wyznaczył mu Garaga, oddał się marzeniom i zapomniał... Trzymał ją za rękę, tulił i kochał się z nią, zapominając o grożącym jej niebezpieczeństwie. Za to właśnie został ukarany.

Jeżeli Garaga zabije go jak psa, będzie miał rację. Nic go nie usprawiedliwiło, zupełnie nic. Był tak nieprzygotowany na atak, że gdyby nie Koeto, sam przypląciłby go życiem. W zasadzie już był martwy. Co warte było teraz jego życie?

166

- Mamy transport! - Koeto wyglądał przez okno i patrzył na światła samochodu widoczne na zewnątrz.

- Lepiej zastrzel mnie tutaj! - Edgar powiedział to spokojnym, martwym głosem. - Oszczędzisz sobie kłopotu.

Koeto popatrzył na niego spokojnie i podał mu kurtkę. -Idziemy.

Edgar zawahał się, ale wziął okrycie. Czy miało znaczenie, kiedy umrze? Był przekonany, że Garaga go zabije, ale może kula w łeb to była zbyt łagodna kara. A może spojrzenie w twarz prezydentowi będzie trudniejsze niż śmierć. Czy odważy się powiedzieć mu: „To przeze mnie zginęła twoja córka!”. Powiedzieć to ojcu, który stracił ukochane

dziecko!!! A może powinien dodać, że bardzo mu przykro? / * * *

Cała podróż minęła mu jak sen. Nie pamiętał niczego. Większość czasu spędził w półśnie. Był zawieszony pomiędzy życiem i śmiercią i nie potrafił się zdecydować, w którą stronę podążyć.

Gdy zobaczył Garagę, z trudem go rozpoznał - szara zmęczona twarz przegranego człowieka. Czy to możliwe, żeby tak się postarzeć w ciągu kilku tygodni?

- Siadaj! - Nawet to polecenie zabrzmiało inaczej niż kiedyś. Nie wypowiedział go pewny siebie, pełen charyzmy mąż stanu - to był po prostu ojciec, który stracił córkę. Ned rozumiał go, a przynajmniej tak przypuszczał. Zastanawiał się tylko, czy Garaga zabije go osobiście, czy zleci to swoim ludziom?

- Straciliśmy ją! - usłyszał i przez chwilę nie rozumiał, o czym Garaga mówi. Nie takich słów się spodziewał, nie takiego tonu. Żadnych pretensji, wyrzutów, gniewu?

- Popełniłem straszny błąd - powiedział Garaga, czym ostatecznie wprowadził go w stan osłupienia. Edgar uwa-

167

żał, że to on wszystko zaważył. A teraz... Chyba że prezydent za błąd uważał wybranie go na jej opiekuna. Tak! Na pewno to miał na myśli. Ned czuł się podle, mimo to podniósł wzrok. - Nie

zamierzał uciekać przed odpowiedzialnością. Chciał przyjąć to z godnością, ale Garaga wcale nie patrzył na niego.

- Nie przypuszczałem, że posuną się aż do tego. - Garaga rozmawiał ze sobą, coś sobie tłumaczył. - Nie sądziłem, że was odnajdą i... uległem jej namowom. Jak zawsze! Nigdy nie potrafiłem jej odmówić. Twierdziła, że jesteś jedynym mężczyzną, którego jest w stanie pokochać i jeśli nie zgodzę się na to, nigdy więcej się do mnie nie odezwie. Nie powinienem był jej słuchać. Chociaż, wnioskuje z tego, co pisała w listach, nie pomyliła się co do ciebie. Była szczęśliwa. Tylko że ja nie doceniłem grożącego wam niebezpieczeństwa. Powinienem zapewnić wam większą obstawę.

Ned nie krył zdziwienia. Coś się tutaj nie zgadzało. Pisała listy?! Większa obstawa? Więc to nie on miał jej zapewnić bezpieczeństwo?

- Przecież to ja miałem jej strzec. Ponoć byłem jedynym człowiekiem, któremu mogłeś zaufać?

- To była historyjka wymyślona przez nią. Chciała mieć cię stale przy sobie; chciała, żebyś się nią opiekował. Mielicie być sami, z dala od ludzi... sam na sam. Wymagowane zagrożenie miało stworzyć bardziej romantyczny nastrój.

- Jeśli to było wymagowane zagrożenie, to kto ją zabił?

- Ludzie Cartwrighta!

- Cartwrighta?! - Ned popatrzył na niego podejrzliwie. - Dlaczego?

- Koeto ci nic nie powiedział?

- A co miał mi powiedzieć?

168

Garaga pokiwał głową. - Tak! Koeto nie należy do gadatliwych, to jedna z jego zalet. - Przeciągnął dłonią po twarzy rozcierając zmęczone mięśnie twarzy i zmieniając ton, powiedział: - Sądzę, że należy ci się trochę wyjaśnień. Tylko proszę cię, zanim cokolwiek powiesz, wysłuchaj mnie do końca. Otóż! - zaczerpnął powietrza, jak przed długim nurkowaniem. - Nie jest prawdą, że nic nie wiedziałem o planowanym zamachu. Wprost przeciwnie, byłem jedyną osobą, która знаła ten plan w całości, ponieważ to ja go wymyśliłem. - Na chwilę zawiesił głos, a potem kontynuował. - Widzisz, mój kraj zawsze miał pecha. Nie dość, że był tak biedny, że biedniejszy trudno sobie wyobrazić, to na dodatek rządzą nim ludzie, których nie interesowały takie drobiazgi, jak poziom życia społeczeństwa. Dłajnich była to armia niewolników pracująca na ich luksusowe życie. Wartość życia niewolnika nie jest zbyt wielka, a już z pewnością nie należą mu się jakiegokolwiek prawa. Ja jednak miałem szczęście; mój ojciec należał do warstwy uprzywilejowanej. Nie zaliczał się co prawda do elity władzy, ale jako prawnik specjalista prawa międzynarodowego często świadczył jej swoje usługi. Dzięki temu mogłem mi zapewnić staranne wykształcenie. Skorzystałem z tego i jako młody człowiek spędziłem kilka lat na najlepszych uniwersytetach. Poznałem zasady demokracji i rządów prawa i tym większe było moje rozczarowanie, gdy po powrocie do kraju przekonałem się, że nic się nie zmieniło. A widziałem dużo więcej niż przedtem. W kraju nadal rządził dyktator. Jego władza opierała się na sile armii, opozycja nie istniała, bo wszyscy opozycjoniści siedzieli w więzieniach. Zanim zrozumiałem, że organizowanie wieców i manifestacji nic tutaj nie zmieni, już miałem kłopoty.

Garaga umilkł i zmarszczył brwi, jakby z trudem przypominał sobie tamte wydarzenia, ale po chwili zaczął mówić znowu.

169

- Jedynie dzięki zabiegom mojego ojca, który przekupił jednego z funkcjonariuszy aparatu bezpieczeństwa, uniknąłem aresztowania. Musiałem jednak wyjechać z kraju i następnie kilka lat spędziłem wędrując po świecie. Towarzyszyła mi żona, która opiekowała się małą Meaną, a ja uczyłem się nowych idei i opracowywałem plan wyzwolenia ludzi w moim kraju. Wtedy właśnie spotkałem Mgwane Butangwoso. Gdy ja planowałem, on działał. Okazało się, że był przywódcą spisku, który zmierzał do obalenia dyktatora w Absalii. Przekonał mnie, że on też marzy o sprawiedliwych rządach i odrodzeniu naszego kraju. Uwierzyłem mu i zostałem jego adiutantem, ochroniarzem i sam nie wiem, czym jeszcze. Gdy przewrót się powiódł, stałem się jego prawą ręką, ufał mi prawie bezgranicznie. Tylko że on mnie zdradził, a w zasadzie ideały, w które obaj wierzyliśmy.

Na początku było tak jak planowaliśmy; wypuściliśmy ludzi z więzień, wprowadziliśmy rządy prawa i wszystko zdawało się zmierzać w dobrym kierunku. Jednak dość szybko Butangwoso stał się obiektem zamachów. Trzy nieudane zamachy na jego życie zmieniły go. Zaczął być nieufny i zaczął eliminować potencjalnych wrogów. Stworzył gwardię prezydencką i w ciągu kilku lat stał się taki sam jak poprzedni dyktator. Ludzie zaczęli ginąć w tajemniczych okolicznościach, a Butangwoso płacił się w coraz większych luksusach. W końcu kazał wybudować pałac-marzenie, którego w krótkim czasie stał się dobrowolnym więźniem. Bał się wychodzić, bał się spotykać z ludźmi. Mówił, że mi ufa, ale na wszelki wypadek w pałacu trzymał moją córkę. Myślał, że będzie miał mnie w szachu. Po śmierci mojego ojca i żony ona była jedyną moją rodziną.

Spotkanie z Cartwrightem, zupełnie przypadkowe, podsunęło mi pewien plan. Już wcześniej kilku generałów dało mi do zrozumienia, że gdyby nastąpił przewrót poprą mnie. Butangwoso stawał się nieobliczalny i wielu z nich widziało we

170

mnie męża opatrzości. Żaden z nich nie mógł liczyć na wystarczające poparcie, żeby samodzielnie sprawować władzę, ja mogłem na to liczyć. Postanowiłem to wykorzystać. Wpadłem na pomysł, że gdy przewrót zostanie dokonany przez kogoś innego, Butangwoso zginie, a armia szybko przejmie kontrolę, to ja będę idealnym kandydatem na jego następcę. Do tego celu potrzebowałem was. Uprzedziłem Cartwrighta, że większość z was zginie. Byliście potrzebni do przeprowadzenia szturmów, a ci, którzy przeżyją, mieli wskazać jako przywódców przewrotu wybranych przez mnie ludzi. Tych pięciu było najgorszymi oprawcami, którzy mieli nawet prywatne oddziały śmierci. Ich zdjęcia zobaczyliście przed atakiem i tak jak planowałem dokładnie ich opisaliście.

Ned dopiero teraz zauważył, że od dłuższego czasu wstrzymuje oddech i kurczowo zaciska dłonie na oparciach fotela. Powoli rozprostował palce.

- Skazałeś nas na śmierć!

- Nie ja! To Cartwright was wybrał! Ja potrzebowałem tylko armatniego mięsa. Było mi obojętne, kogo przyślą. On wiedział, że czeka was śmierć!

- Dlaczego mi to mówisz?
- Chcę, żebyś go nienawidził tak bardzo, jak ja go nienawidzę! Chcę, żebyś wiedział, że to on wybrał dla was taki los.

Ned patrzył na niego. - Dlaczego tak ci na tym zależy?

- Gdy rozpoczynałem tę grę, wiedziałem, że ryzykuję życiem, ale myślałem, że ryzykuję tylko własnym życiem. I tak było, dopóki Cartwright nie zaczął mnie szantażować. Wiedział, że stałem za tym zamachem, zagroził, że opowie wszystko moim przeciwnikom. Nie przestraszył mnie. To nie miało znaczenia, bo ci generałowie, którzy zostali przy życiu, byli po mojej stronie. Wtedy wpadł na pomysł, że porwie Me-anę. Jak wiesz, akcja się nie powiodła, Meana zginęła.

- Skąd wiesz, że chciał ją porwać?

171

- Tam było jeszcze dwóch jego ludzi. Koeto jednego z nich ogłuszył, a ten opowiedział wszystko, zanim... umarł. Cartwright jest winien jej śmierci, to on pociągał za sznurki. Dlatego chcę, żebyś go zabił.

- Dlaczego ja? Dlaczego nie wynajmiesz płatnego mordercy?

Bo wiem, że ty nie zrezygnujesz. Dopadniesz go za wszelką cenę.

Ned milczał przez chwilę.

- Powiniennem najpierw zabić ciebie - powiedział w końcu. - To przez ciebie ona zginęła, zawiniłeś tak samo jak Cartwright. Postawiłeś na szali jej życie W imię czego? Posłałeś na śmierć czterdziestu ludzi. W imię czego? Czy było warto?

- Nauczyłem się traktować życie jako środek do osiągnięcia celu, a nie cel sam w sobie.

Ned skrzywił się. „To tacy jak Garaga i Cartwright byli prawdziwymi mordercami, a nie Cabarra, nie Lennox. To tacy jak oni wprawiali w ruch maszynę śmierci” - pomyślał.

- Życie Meany również? Tak niewiele dla ciebie znaczyła? - zapytał Garagę.

- Była dla mnie wszystkim!

- To mam nadzieję, że będzie cię to dręczyło do końca twoich dni.

- To już niedługo - powiedział Garaga, a widząc pytające spojrzenie Neda dodał: - Mam raka. Zostało mi trzy miesiące, może cztery.

Te słowa sprawiły, że Ned znów spojrzał na Garagę, jak na starego zmęczonego człowieka. Był winien, ale czy nie poniósł już zasłużonej kary?

Garaga położył przed nim plastikową teczkę. - To dossier Cartwrighta. Tu jest wszystko, co ci będzie potrzebne. - Sięgnął jeszcze raz pod biurko i na teczkę położył rewolwer. - Jeżeli chcesz mnie zabić, zrób to. Jestem gotów na śmierć-

Mógł go nienawidzić, mógł czuć wstręt do sposobu, w jaki posługiwał się innymi, ale czuł równocześnie szacunek. W tym ukłonie wobec śmierci było coś godnego bohatera starej sagi. Gdyby ich ścieżki spotkały się w innych okolicznościach, może zostaliby przyjaciółmi, a teraz... Zaciśnął usta. Garaga miał rację, to Cartwright musiał zapłacić za śmierć Meany, Spariego i całej reszty...

Sięgnął po teczkę i broń i wstał.

- Gdy załatwię porachunki z Cartwrightem, a ty nadal będziesz żył, wrócę tutaj.

Garaga nie odpowiedział. Uśmiechnął się tylko, nierealny jak duch.

* * *

Dossier było wyczerpujące. Ned dowiedział się o Cartwrightcie więcej, niż sam zdołałby odkryć w ciągu roku. Poznał jego przyzwyczajenia, sposób działania i ludzi, którymi się otaczał. Znalazł tam również nazwisko człowieka, który prawdopodobnie był szarą eminencją w organizacji Cartwrighta. Nazywał się Mannsfield i był bardzo tajemniczą postacią. W całym dossier Ned znalazł jedynie krótką wzmiankę o nim, ale intuicja mówiła mu, że to był prawdziwy szef. Jeżeli tak było, on też musiał umrzeć.

Zanim zabrał się do spłacania rachunków, postanowił spłacić inne zobowiązania. Odwiedził Alexa, który przechodził terapię w klinice psychiatrycznej. Miał świetną opiekę i Ned niewiele mógł dla niego zrobić. Następnym krokiem była próba odnalezienia matki Spariego. Okazało się jednak, że spóźnił się o miesiąc - kobieta zmarła. Przyjął to jak osobistą porażkę; nie potrafił nawet spełnić ostatniego życzenia przyjaciela. Wszystko, czego tknął, obracało się w niwecz. Gdy wydawało się, że znów odnalazł szczęście i spokój, los zabrał mu to. Wraz ze śmiercią Meany stracił chęć, żeby

jeszcze raz spróbować innego życia. Życia, w którym mógłby tworzyć, a nie niszczyć. Za nim jak cień czaiła się śmierć, tak jakby był jej posłańcem.

Miał nowe dokumenty, miał pieniądze i cel. Jeśli był posłańcem śmierci, to powinien ją zwiastować tym, którzy na nią zasłużyli. Na liście miał kilku ludzi, z których każdy zapracował na to całym swoim życiem. Edgar miał okazję wyrównać z nimi rachunki w imieniu tych, którzy już tego zrobić nie mogli. Był jak anioł zemsty i był pewien, że nic go nie powstrzyma.

* * *

Zaczął od Cartwrighta.

Przygotowanie zamachu zajęło mu kilka tygodni. Upewnił się, że zabicie go w jego rezydencji jest niemożliwe, więc musiał poczekać, aż Cartwright wyjedzie na coroczne spotkanie z innymi mafiosami. Takie spotkania odbywały się w renomowanych hotelach i tam ochrona nie była tak szczelna.

Główną przeszkodą był Francis.

Ochroniarz, pomimo swych wymiarów, był bardzo szybki i sprawny. Był też czujny, o czym Ned przekonał się podkradając się do niego. Olbrzym strzegł apartamentu Cartwrighta siedząc w fotelu; wydawał się drzemać. Ned trzymał w dłoni gotowy do strzału rewolwer z tłumikiem i był pewien, że nic go nie zaskoczy. Mylił się jednak. W chwili gdy naciskał spust, Francis zerwał się i skoczył w jego stronę. Edgar zdążył strzelić, ale nie zdążył usunąć się z drogi rozpędzonemu ciału. Uderzony z impetem poleciał na ścianę, tłukąc bark i plecy. Francis został trafiony w pierś, nie był to śmiertelny postrzał, ale dał Nedowi szansę na powtórne złożenie się do strzału, zanim góra mięsa ponownie na niego runęła. Tym razem wypalił dwukrotnie i Francis runął na dywan z łoskotem padającego nosorożca.

174

Ned dla pewności strzelił mu w głowę i błyskawicznie wślizgnął się do sypialni Cartwrighta.

Mafioso nie spał. Prawdopodobnie obudził go hałas, jaki spowodowało starcie z Francisem. Gdy Ned zapalił światło Cartwright właśnie sięgał po broń. Ned trzymając wymierzony w niego rewolwer, przecząco pokręcił głową.

- Nawet nie próbuj! - powiedział trochę ochrypłym głosem.

Cartwright zamarł w bezruchu. Przez chwilę analizował sytuację, a potem spokojnie cofnął rękę.

- Czego chcesz? - zapytał siadając wygodnie na łóżku.

- Och, to drobiazg. Chcę jedynie spłacić dług.

- Dług? Jaki dług? Kim jesteś?

- Czyżbym aż tak się zmienił?

Cartwright przyjrzał mu się uważnie.

- Ułatwię ci to! - Ned przesunął się nieco bliżej. - Pamiętasz człowieka, który razem z Bartem uciekł z Grant Martel? O widzę, że już poznajesz!

- Co cię tu sprowadza? Cartwright starał się robić dobrą minę, ale strach nadawał jego głosowi metaliczne brzmienie.

Edgar zaśmiał się chrapliwie. - Nie domyślasz się? Za lekcję, którą dostałem, należy ci się zapłata... Widzisz, Garaga powiedział mi wszystko.

- Co ci powiedział!

- Powiedział mi, że to ty skazałeś cały nasz oddział na śmierć.

- To nieprawda! Miało być zupełnie inaczej. To on zdradził nas wszystkich. Wykiwał i was, i nas. Nie miałem pojęcia, że ten atak to tylko kamuflaż...

- Jestem pewien, że wiedziałeś i że zrobiłeś to z pełnym wyrachowaniem.

- Nie! Na Boga, nie! To on jest diabłem wcielonym!

Ned zawahał się. A może to była prawda, może ta historia, którą usłyszał od Garagi, miała go zmusić do działania,

175

ale nie była prawdziwa? W końcu dyktator opowiedział mu już dwie wersje wydarzeń; może była też trzecia. Być może, ale była jeszcze Meana...

- I dlatego kazałeś zabić jego córkę?

W oczach Cartwrighta tylko przez moment pojawiło się przerażenie, ale to wystarczyło, żeby Ned miał już pewność.

- Nic o tym nie wiem! - Mafioso starał się zamaskować strach. - O czym ty mówisz?

Ned poprawił ułożenie broni i napiął spust.

- O kobiecie, która zginęła, bo tacy dwaj jak ty i Garaga toczyli prywatną wojnę. Za jej życie musisz zapłacić.

- Czekaj! Możemy się dogadać!

- Nie możemy!

- Dam ci pieniądze! Dużo pieniędzy!

- Za jej życie jest tylko jedna cena.

- Dam ci milion! Nie! Dwa miliony!

- A za ile nas sprzedałeś?

- Dam ci pięć milionów!

- Za śmierć kobiety, którą kochałem, za śmierć przyjaciela...? To nie za mało?

- Dziesięć milionów! - Cartwright nie panował nad sobą. - Błagam cię!

- Pieniądze nie spłacą długu krwi! - Ned spokojnie nacisnął spust.

Nie czuł gniewu ani nienawiści - po prostu spłacił rachunek. Wyszedł i cicho zamknął za sobą drzwi.

Musiał sprawdzić dwie rzeczy: po pierwsze, jaką rolę odegrał Bart Lombardi, po drugie - czy za sznurki rzeczywiście pociągał Mannsfield. Najprostszym i chyba najlepszym pomysłem, który przyszedł mu do głowy, było spo-

176

tkanie się z Bartem. Czy mógł być łatwiejszy sposób na poznanie prawdy, niż spojrzenie Bartowi w oczy i zadanie mu pytania: „Po co ratowałeś mnie z Grant Martel, jeśli potem wysłałeś mnie na pewną śmierć?”.

Po śmierci Cartwrighta Bart w naturalny sposób zajął jego miejsce. Stał się bossem, ważną osobą i nigdzie nie ruszał się bez obstawy. Ned szybko doszedł do wniosku, że okazja do rozmowy nie nadarzy się sama. Bart nawet do toalety chodził w obstawie dwóch goryli. Spotkanie trzeba było zaaranżować. Przez kilka dni rozważał różne opcje, ale w końcu zdecydował się na otwarte działanie. Postanowił po prostu zadzwonić do Barta i umówić się na spotkanie, tak jakby nic się nie stało.

Zadzwonił do niego w czasie obiadu, który Bart jadał w małej przytulnej restauracji. Było to miejsce spotkań i załatwiania interesów. Bart często odbierał tu telefony od swoich ludzi i od klientów, więc gdy odebrał telefon od Edgara był przekonany, że to kolejny klient. Jego głos był odprężony i lekko znudzony.

- Cześć Bart! - Ned wyobraził sobie, jak uśmiech znika z twarzy mafiosa. - Poznajesz mnie? To ja, twój stary kumpel, Ned!

Lombari wciąż jeszcze milczał.

- Tak! To ja! Jeszcze żyję!

Bart dopiero teraz odzyskał głos.

- To ty Ned? Tak się cieszę, że żyjesz!

- Możesz mi wierzyć, ja również!

- Masz jakieś kłopoty? Potrzebujesz czegoś?

- Tak! Chciałbym się z tobą spotkać!

- OK. Wpadnij do mnie, do domu!

Ned roześmiał się. - To nie jest dobry pomysł. Spotkajmy się gdzieś, gdzie będę czuł się bezpiecznie.

Lombari przez chwilę milczał, a potem dodał: - Nie ufasz mi!

177

- Ufam, ale nie wiem, czy ty ufasz mnie. Dlatego chcę, żeby to był parking w hotelu Bombaj. Trzeci poziom, jutro

0 piątej po południu. I przyjdź sam.

Mafioso znów milczał dłuższą chwilę.

- OK. Ned! Będę sam.

Nie zabrzmiało to szczerze. Ned nie spodziewał się jednak, żeby Bart pojawił się tam sam. Prosił go o to tylko po to, żeby sprawdzić jego reakcję. Teraz już był pewien, że nie mógł mu ufać.

* * *

Ned przyszedł na miejsce spotkania dużo wcześniej. Pojawił się tam już rano, żeby się rozejrzeć. Znał to miejsce

1 wiedział, gdzie są doskonałe miejsca dla snajpera. Najlepsze było ukryte za filarem podtrzymującym strop. Z tego miejsca była doskonała widoczność na cały teren parkingu i trudno się dziwić, że człowiek Lombariego wybrał właśnie to miejsce.

Obecność snajpera była czymś, czego oczekiwał, bardziej interesowało go, kto jeszcze będzie chronił Barta. Godzinę przed wyznaczonym terminem spotkania dowiedział się tego. Czarny mercedes zaparkował na końcu alei i nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie to, że nikt z niego nie wysiadł. Przydymione szyby utrudniały obserwację, ale Ned był prawie pewien, że w środku siedziało dwóch mężczyzn. Bart powinien czuć się na spotkaniu pewnie. Snajper nie strzeli więc dopóki nie dostanie sygnału, a z tym Lombardi nie powinien się spieszyć.

Bart zjawił się punktualnie. Przyjechał kremowym pontiakiem, zrobił rundę między szeregami samochodów i w końcu zaparkował. Po chwili wysiadł i zapalił papierosa.

Ned przez jakiś czas obserwował go z ukrycia, a potem podszedł do niego. Przez chwilę mierzyli się wzrokiem, jak

178

dwaj zapaśnicy przed walką, a potem padli sobie w ramiona i mocno się uścisnęli.

- Gdy usłyszałem twój głos, myślałem, że to jakiś żart -Bart wydawał się uradowany z widoku Neda. - Cieszę się, że żyjesz. Powiedz, jak udało ci się wyrwać?

Ned nie odpowiedział. - Przejdźmy się! - zaproponował. - Czy wiedziałeś, jaki był cel tej misji? - zapytał, gdy minęli kilka samochodów.

-Tak!

- Czy wiedziałeś, że Cartwright nas sprzedał? Wiedziałeś, że wysłała nas na pewną śmierć?

Bart milczał przez chwilę, a potem nie patrząc na Edgara powiedział: - Pierwotny plan był zupełnie inny...

- Wiedziałeś czy nie?!

- Nie! ^Vtedy, gdy zostaliście tam wysłani, nie wiedziałem. Dowiedziałem się po fakcie. Słuchaj Ned! - Bart zatrzymał go chwytając za ramię. - Rozumiem, co przeżyłeś. Wiem, że masz o to żal i masz do tego prawo...

- Żal? - Edgar zachnął się. - To chyba niewłaściwe słowo.

- Znalazłeś się tam przez przypadek. Cała operacja miała wyglądać zupełnie inaczej. Mieliście zdobyć ten pałac i się wycofać... Nie znam umowy Cartwrighta z tym dyktatorem, ale ten Murzyn coś w ostatniej chwili zamieszał. Gdybym wiedział, co cię tam czeka, nigdy bym nie dopuścił, żebyś tam poleciał.

- Żebym ja poleciał? A pozostali? Ich śmierć jest w porządku?

Znowu przeszli parę kroków.

- Ned, zapomnij o tym! Wyjedź stąd! Kup sobie nowe nazwisko, nową twarz! Dam ci kasę! Zacznieś nowe życie.

- Za późno, Bart! - Ned zatrzymał się. Doszli do miejsca, gdzie snajper, zasłonięty rzędem filarów, stracił ich z oczu.

179

- Nie potrafię już żyć inaczej i nawet nie chce mi się próbować. I tylko muszę ich pomścić. Obiecałem to sobie.

Bart zeszywniał Jakby ostatnie słowa zmroziły mu krew w żyłach.

- Nie rób tego. Nie próbuj się mścić!

- Już to zrobiłem! - powiedział spokojnie patrząc Barto-wi w oczy. - To ja zabiłem Cartwrighta!

Bart był zaskoczony, ale w końcu pokiwał głową; zrozumiał. - Powinienem się tego domyślić!

- A teraz gdy już wiesz, co zamierzasz zrobić?

Lombari spojrzął na niego uważnie.

- Powinienem cię zabić!

-I...

- On był dla mnie jak ojciec!

Ned upewnił się, że snajper ich nie widzi. - Ułatwię ci to. Wiem, że ktoś inny jest winien tej masakrze. To nie Cartwright, to Mannsfield!

Ned obserwował twarz Barta, jego reakcja była odpowiedzią, pozytywną odpowiedzią.

- Skąd to wiesz?

- Czy to istotne?

- Więc po co mi to powiedziałeś?

Ned uśmiechnął się, ale nie odpowiedział.

- Za dużo wiesz, za dużo zrobiłeś! - Bart cofnął się o krok. - Nie chciałem, żeby to się tak skończyło, ale nie dałeś mi wyboru. Żegnaj Ned!

Gratiano cofnął się także. Chciał znaleźć się między dwoma filarami, żeby całkowicie uniemożliwić strzał i wyjąć rewolwer. Widział, jak na twarzy Barta pojawia się zdziwienie, jak w końcu przychodzi zrozumienie i wreszcie, jak w oczach pojawia się błysk desperacji.

- Nie rób tego, Bart!

Lombari sięgnął po broń. Ned strzelił mierząc w ramię, ale Bart szarpnął się chcąc uniknąć postrzału i kula trafiła

go w pierś. Rzucony impetem pocisku na maskę samochodu, wolno osunął się na ziemię. Ned, ukryty między samochodami, patrzył na śmierć człowieka, który kiedyś uratował mu życie. Zabił kolejnego człowieka, tym razem kogoś, kto mógłby być jego przyjacielem. Zabił go, tak po prostu...

Usłyszał coraz bliższy stukot butów; obstawa Barta przybywała ze spóźnioną odsieczą.

- Żegnaj, Bart! - powiedział cicho i na czworakach wcisnął się między rzędy samochodów. Nie zamierzał dać się

zabić... jeszcze nie teraz.

* * *

Rezydencja Mannsfielda stanowiła przyjemny dla oka widok. Położona na zboczu niewielkiego wzgórza porośniętego drobnymi krzewami, tuż nad brzegiem jeziora, była wspaniale wkomponowana w okolicę. Nic, poza wysokim dwuipółmetrowym murem otaczającym cały teren, nie wskazywało, że jest to dobrze strzeżona forteca. Jednak kuloodporne szyby, system monitorujący cały teren i strażnicy patrolujący okolicę w dzień i w nocy, sprawiały, że nie łatwo było dostać się do środka niezauważonym. Ned musiał jednak znaleźć na to sposób. Chciał się spotkać z Mannsfieldem twarzą w twarz, ale ten nie opuszczał swojej rezydencji nawet na krótkie wycieczki.

Edgar przez kilka tygodni szukał metody, jak sforsować system zabezpieczeń, nie wywołując alarmu i w końcu znalazł. Co prawda jego spotkanie z Mannsfieldem musiało mieć nieco inny charakter niż ten, który sobie wymarzył, ale wszystko wskazywało na to, że lepszego sposobu już nie znajdzie.

Mannsfield miał w zwyczaju wygrzewać się w promieniach popołudniowego słońca, półleżąc na czymś, co przy-

pominało skrzyżowanie wygodnego fotela i kanapy. Fotel był ustawiany zawsze w tym samym miejscu, trochę z boku rezydencji, tak żeby Mannsfield miał widok na jezioro. Ned postanowił to wykorzystać.

Zakradł się w nocy na teren posiadłości i wspiął się na jedno z drzew, które rosły w odległości stu pięćdziesięciu metrów od miejsca, w którym mafioso oddawał się sjeście. Ned wybrał bezksiężycową noc, kiedy wiatr wiał w jego stronę, tak żeby prawdopodobieństwo odkrycia go przez strażników lub psy było minimalne. Niósł ze sobą przedziwny karabin, który nie miał kolby, a zamiast lunety miał zainstalowaną kamerę przesyłającą obraz drogą radiową. Karabin był przytwierdzony do stelaża, który umożliwiał zamocowanie całości do konaru drzewa. Do stelaża umocowany był również mały elektryczny silnik i niewielki akumulator. Ned wybrał miejsce na drzewie, z którego widok na rezydencję nie był zasłonięty przez liście i gałęzie i zamocował tam całą konstrukcję. Ustawił karabin tak, by celował w stronę miejsca, gdzie popołudniu powinien pojawić się fotel Mannsfielda i wycofał się cicho niczym duch.

Następnego dnia już rano zajął pozycję. Siedział ukryty w trzcinach po drugiej stronie jeziora i kolejno sprawdzał wszystkie elementy systemu strzelniczego. Testował go już wielokrotnie i za każdym razem

sprawdzał się doskonale, ale Ned musiał mieć stuprocentową pewność. Wszystko działało bezbłędnie. Kamera bez zarzutu przekazywała obraz na monitor zainstalowany w małej przenośnej walizce. Na środku monitora niewielki krzyż wyznaczał punkt, w który celowała lufa karabinu. Mały silniczek umożliwiał obrót mechanizmu. Całość sterowana była z konsoli z dwoma joystickami, którą Ned trzymał w rękach. Lufa karabinu obracała się płynnie i bez oporów, a to w zupełności wystarczało, żeby namierzyć cel. Ned potrzebował jeszcze tylko

182

bezwietrznej pogody. Wiatr mógł poruszyć drzewem i wtedy celność strzału była wątpliwa. W karabinie znajdował się tylko jeden pocisk i pierwsza próba musiała być jedyną. Dla pewności pocisk był rozpryskowy, co zapewniało zabicie Mannsfielda, nawet przy nieprecyzyjnym trafieniu.

Ogniskowa kamery była zablokowana w takim położeniu, żeby działał jak luneta w zwykłym karabinie. To sprawiało, że Edgar nie widział wiele więcej poza pasem zielonej trawy. Od czasu do czasu wypowiadał jakieś zakłęcie, żeby i tym razem fotel postawili w zwykłym miejscu. Ruch całego mechanizmu namierzającego był ograniczony i gdyby fotel został postawiony w drugiej części ogrodu, Ned musiałby zrezygnować z akcji.

W południe przybyło mu jeszcze jedno zmartwienie - zaczął podnosić się wiatr. Podmuchy nie były zbyt silne, ale były nieprzewidywalne, a pod ich wpływem cała konstrukcja ruszała się o milimetr lub dwa, co w przełożeniu na celność strzału dawało kilkadziesiąt centymetrów. Mógł mieć tylko nadzieję, że wszystko ucichnie popołudniu.

Gdy minęła trzecia, jeden ze strażników wyniósł fotel i ustawił go prawie dokładnie na linii strzału. Ned w myślach podziękował mu za to, chociaż strażnik oddał mu tę przysługę zupełnie nieświadomie. Kilka minut później na fotelu usiadł Mannsfield. Na małym stoliku stojącym obok położył telefon komórkowy, z którym nie rozstawał się nigdy. Numer tego telefonu znało tylko kilka osób, a Ned za jego poznanie musiał zapłacić łapówkę, w postaci kolacji i wspólnie spędzonej nocy z kierowniczką działu obsługi klienta operatora sieci.

Edgar uważnie obserwował obraz na monitorze. Wiatr zaczynał słabnąć, ale drzewa wciąż jeszcze lekko się kotęsały - co sprawiało, że celownik przesuwiał się o kilka centymetrów wędrując po klatce piersiowej Mannsfielda. Z upływem czasu ruchy stawały się coraz łagodniejsze -

183

zapowiadał się bezwietrzny wieczór, ale Ned nie mógł czekać tak długo. Mannsfield spędzał w fotelu nie więcej niż półtorej godziny. Gdy minęła czwarta, Ned położył palec na przycisku, który miał przestać sygnal uruchamiający mechanizm spustowy, włożył do ucha słuchawkę i sięgnął po telefon komórkowy. Wybrał numer Mannsfielda i zawahał się; powinien go zabić nie ryzykując tej rozmowy. To było szalone i mogło dać Mannsfieldowi dodatkową szansę, ale Ned nie mógł się oprzeć chęci usłyszenia, co ten człowiek ma do powiedzenia. Co powie w obliczu śmierci? Wcisnął przycisk wybierania - po czwartym sygnale Mannsfield odebrał.

- Słucham? - głos starca był lekko skrzekliwy i rozdrażniony.

Ned widział jego twarz na monitorze i zastanawiał się, ile on mógł mieć lat? Pomarszczona twarz przypominała zasuszoną maskę mumii. Maskę, na której swoje piętno odcisnęły upór i bezwzględność.

- Nie ruszaj się! - powiedział spokojnie, trzymając palec na przycisku. - Mam cię na celowniku, więc siedź spokojnie.

Mannsfield odruchowo rozejrzał się, ale nie wykonał żadnego ruchu więcej.

- Bardzo dobrze! - pochwalił go Ned. - Rozsądna decyzja.

- Kim jesteś? - zapytał Mannsfield.

- Kim jestem? Dobre pytanie. Chyba kimś na kształt upiora. Nie! Nie jestem wariatem - dodał, widząc, że na twarzy Mannsfielda pojawiła się podejrzliwość. - Tylko że już kilka razy powinienem zostać zabity, a wciąż żyję-- Ned zawiesił na chwilę głos. - Nazywam się Edgar Gratiano.

Pergaminowa twarz nie zmieniła swojego wyrazu, ale Ned był pewien, że staruch wiedział, kim on jest.

184

- Czego chcesz? - głos Mannsfielda stał się jeszcze bardziej skrzekliwy.

- Porozmawiać?

- O czym?

- O chciwości? O zdradzie? I o splananiu długów!

Mannsfield milczał.

- Powiedz, ile władzy, ile pieniędzy potrzebujesz, żeby ci wystarczyło? - zapytał Edgar.

- Zapłacę ci!

- O! To na pewno.

- Zapłacę ci pięć milionów.

Ned zastanawiał się, czy ta mumia jest w stanie zrozumieć, co oznacza śmierć przyjaciela, co oznacza śmierć kochanej kobiety? Dla niego życie człowieka można było przeliczyć na pieniądze. Życie znaczyło niewiele więcej niż kilka zer na koncie. Ciekawe, czy jego własne życie też znaczyło dla niego tak niewiele.

- Nie rozumiesz?! Ja nie potrzebuję twoich pieniędzy. Pytam, ile ty musisz mieć, żeby przestać zabijać?

- Dam ci dziesięć milionów.

Ned roześmiał się. - Pieniądz rządzi światem? I każdy ma swoją cenę! Aleja nie chcę twoich pieniędzy. W moim świecie nie wszystko można kupić.

- A więc czego chcesz?!
- Już mówiłem. Spłacić dług.
- W jaki sposób?
- Życie za życie. Przez ciebie zginęli ludzie, którzy nie powinni byli umrzeć! Teraz ty umrzesz, dlatego że na to zasłużyłeś po wielokroć.
- Poczekaj! - w głosie Mannsfielda zabrzmiała panika.

Ned zaczął się spieszyć. Ta rozmowa trwała zbyt długo.

W każdej chwili ktoś mógł wejść w linię strzału, ktoś mógł go tu wypatrzeć, a dalszy dialog nie miał najmniejszego sensu.

185

- Pomyśl, co czuli ludzie, którzy widzieli jak nadchodzi śmierć. A ty co czujesz, na chwilę przed śmiercią?
- Nie rób tego! - Mannsfield zaczął się podnosić. Być może miał nadzieję, że zdąży umknąć, a być może liczył, że ta rozmowa to był tylko żart?

Ned strzelił. Starcze ciało nie było wystarczająco sprawne, żeby poruszać się z werwą. Kula trafiła go prawie dokładnie tam, gdzie miała - w środek klatki piersiowej. Mannsfield bezwładnie opadł na fotel. Przez chwilę jeszcze napinał mięśnie, jakby chciał się podnieść, ale nagle znieruchomiał. Ręka opadła mu na trawę i telefon wysunął się ze znieruchomiałych palców.

Mannsfield umarł, bojąc się. Być może bał się po raz pierwszy w swoim życiu, ale było to żałosne. Człowiek, który tak pogardzał życiem innych, nie potrafił przyjąć własnej śmierci jak mężczyzna. „Umrzeć z godnością, to daje większy szacunek niż wszystkie zaszczyty i pieniądze razem wzięte”. - Z tą myślą Ned wycofał się w stronę samochodu.

Siedział w hotelowym pokoju i bezmyślnie wpatrywał się w telewizyjny obraz. Wewnętrzne skostnienie umysłu i ciała, którego doznał po śmierci Meany, znów powróciło. Czas, gdy zamienił się w myśliwego, mściciela, pozwolił mu przełamać ten stan, ale teraz, gdy nie miał przed sobą żadnego celu, nawet whisky nie była w stanie go pobudzić. Pogrzeżył się w tak głębokiej apatii, że gdyby serce potrzebowało choć odrobinę jego woli, żeby pracować, to byłby martwy. Spłacił długi, uczynił zadość sprawiedliwości i nie potrafił już dostrzec żadnego innego celu, który nadałby jego życiu sens.

Nie był już potrzebny nikomu, nie miał już nic do zrobienia. Rozpaczliwie szukał, jakiegoś powodu, dla którego po-

186

winien jeszcze żyć i odkrył, że nie jest potrzebny nawet sam sobie. Dręczyły go wspomnienia, często śniły mu się twarze ludzi, których zabił, często w nocy rozmawiał przez sen z Sirusem, Meaną, Sparim... Jeszcze częściej widział krew i słyszał jęki konających. Czasem były tak realne, że budził się z krzykiem, a czasem nie był pewien czy były tylko snem. Pewnej nocy przyśnił mu się Garaga - umierał,

był ciężko ranny. Mówił coś, czego Edgar nie rozumiał. Następnego dnia dowiedział się, że w Absalii był zamach stanu i dyktator zginął z rąk generałów. Czy jego umysł zбочzył gdzieś w meandry szaleństwa? Czy to była jedyna droga jaką miał przed sobą? Prawda była taka, że innej nie widział.

Dręczyły go także inne wspomnienia. Zwłaszcza śmierć Barta. Nie musiał go zabijać, a mimo to tak poprowadził rozmowę, żeby Lombardi dał się sprowokować. Zmusił go do sięgnięcia po broń i zabił go. To właśnie była jego prawdziwa natura. Mógł się oszukiwać, mógł wierzyć w to, co mówiła Meana, ale on po prostu był zabójcą. Lubił ten dreszcz niepewności, gdy grał o życie. Tylko tak mógł wytłumaczyć, dlaczego zdecydował się na rozmowę z Bartem, wiedząc, że jest cały czas na celowniku snajpera.

„Co stało się z tym wrażliwym chłopakiem, który cały sens życia widział w tworzeniu?” - spytał siebie i odpowiedź, którą znalazł, nie spodobała mu się.

Popioły naszych ciał, które rozwiewa wiatr;

Popioły naszych dusz, które rozwiewa czas...

Te pierwsze strofy wiersza, który napisał dwanaście lat wcześniej, były odpowiedzią. Ta część jego duszy zamieniła się w popiół. Czy mógł przypuszczać, że pisze dla siebie epitafium. A może spisał wówczas swoje przeznaczenie? Wtedy pisanie pozwalało mu obcować z Bogiem, a dziś wydawało mu się to głupie i naiwne. Gdy spotkał Meanę, leszcze raz uwierzył, że to nada jego życiu sens. Dzisiaj

187

wiedział, że nie można wrócić, gdy raz przekroczyło się granicę między życiem i śmiercią. Gdy spojrzy się w otchłań, jej część już na zawsze zostaje w nas. Potem już nic nigdy nie jest takie, jak było przedtem.

Wstał i chwiejnym krokiem poszedł do łazienki. Przemknęło mu przez myśl, że gdyby w takim stanie dopadła go mafia, nie miałby szans. Wszedł do łazienki, zatrzymał się przed umywalką i spojrzął w lustro. Patrzył na niego obcy człowiek. Kilkudniowy zarost, podkrążone oczy i głębokie bruzdy przecinające czoło - każda z nich to śmierć człowieka - pomyślał i zdziwił się, jak wiele ma siwych włosów, jak dużo zmarszczek. Poczł się stary i zmęczony.

Patrząc w lustro wyjął rewolwer i przyłożył go do skroni. Jedno pociągnięcie za spust i jego mózg przestałby istnieć. Czy to nie było najprostsze rozwiązanie? Zawahał się, a potem z całej siły trzasnął rewolwerem w lustro. Powierzchnia szkła pokryła się pajęczyną pęknięć i na Edgara spojrzwały dziesiątki oczu. W przedziwny sposób fragmenty lustra ustawiły się pod takim kątem, że widział swoją twarz zwielokrotnioną, zdeformowaną, podzieloną na części, ale oczy patrzyły na niego wyraźnie. Miał wrażenie, że to ktoś obcy, jakiś duch o stu oczach przygląda mu się i ocenia go. Nie mógł tego wytrzymać. Odrzucił rewolwer i wybiegł z pokoju.

Ulica! Ruch! Tłum ludzi, obcych ludzi.

Gdzieś zmierzali, gdzieś się spieszyli, ale czy wiedzieli dokąd? Czy zadawali sobie pytanie, kim są, kim się stają, kim będą? „Kim ja jestem?” - pomyślał i przestraszył się odpowiedzi. Zaczął biec, żeby uciec przed rozterkami, żeby zgubić myśli. Mijał kolejne przecznice, mijał ludzi siedzących w kawiarniach, zamkniętych w biurach, w sklepach, samochodach... w murach betonowego miasta. Tysiące, miliony

ludzi mniej lub bardziej zadowolonych z własnej egzystencji. Miliony ludzi kurczowo trzymających się życia,

188

z których większość nawet nie próbowała dostrzec w nim jakiegoś sensu; po prostu żyjących z dnia na dzień. Jeszcze dziesięć lat temu pogardzałby nimi, ale dziś pogardzał tylko sobą. Od chwili, gdy znalazł się w Grant Martel, nie zadawał sobie pytania, po co żyć? Nie szukał celu, chciał przetrwać. Zabijał, uciekał, walczył i to wszystko wyłącznie dla fizycznego przetrwania. Czy to nie było zabawne? On, który uważał, że życie ma sens tylko wtedy, gdy tworzy coś pięknego, był przykładem egzystencjalnego robaka, który dostosował się do reguł, którymi tak pogardzał.

Zmęczony długim biegiem, zatrzymał się przed wysokim budynkiem z czerwonej cegły. Gdy wyprostował się, żeby złapać głębszy oddech, ze zdziwieniem stwierdził, że stoi przed kościołem. Ile czasu minęło, odkąd ostatni raz był w kościele? Piętnaście lat? Może więcej. Nie zastanawiając się nad tym, co robi, po prostu wszedł do środka.

Wysokie sklepienie, ołtarz, rzędy ławek - wszystkie kościoły były podobne. W tym także czuł się tak, jakby tu już kiedyś był. Usiadł w ostatniej ławce i zamknął oczy. Oddychał ciężko, zmęczony długim biegiem, ale to nie przeszkadzało mu w przywoływaniu wspomnień. Kościół zawsze kojarzył mu się z jego matką, która była bardzo religijną osobą. Próbowała mu przekazać swoją miłość do Boga, ale jej się to nie powiodło. On wyznawał inną wiarę; wierzył w twórcze powołanie i życie w zgodzie z nim. Nie rozumiała go, często załamywała ręce i próbowała tłumaczyć mu prawdy dla niej oczywiste, a dla niego nie do przyjęcia. Tak jak wtedy gdy miał szesnaście lat i wrócił w nocy po przedpremierowym pokazie jakiegoś filmu. Gdy powiedział, gdzie był, matka usiadła na brzegu krzesła i robiąc poważną minę udzieliła mu kilku rad.

- Powinieneś zdobyć jakiś zawód, a nie włączyć się po nocach z artystami - stwierdziła, a słowo artysty w jej ustach zabrzmiało jak obelga.

189

- Ja chcę robić filmy! - odparł stanowczo.
- Jesteś młody, jeszcze nie wiesz nic o życiu. Za parę lat zrozumiesz, że w życiu liczy się dobra praca, rodzina...
- Dla mnie liczy się tworzenie! - zaperzył się ze szczeniacką porywcznością. - To jest życie.
- Żyjesz marzeniami, jeszcze ci się to zmieni...
- Nic mi się nie zmieni! Wolę przegrać próbując, niż żyć jak kaleka!
- Synku! Synku! Pożyjesz trochę to przekonasz się, że mam rację. Ożenisz się, będziesz miał dzieci, a obowiązkiem mężczyzny jest utrzymać rodzinę. Będziesz musiał się przystosować.

Następnego dnia uciekł z domu.

Tak! Choć nie miał żony ani dzieci, to życie nauczyło go, co znaczy przystosować się. „Byłabyś dumna, mamto!” - pomyślał z goryczą. Stał się wilkiem ściganym przez płatnych morderców. Bez

przyjaciół, bez przyszłości... Był jak zaraza - przynosił ze sobą śmierć. Jeszcze nie martwy, ale czy na pewno żywy?

- Czy mógłbym w czymś pomóc?

Otworzył oczy. Nad nim pochylał się mniej więcej sześćdziesięcioletni mężczyzna. Ned odruchowo sięgnął po broń, ale przypomniał sobie, że zostawił ją w hotelowej łazience. Zrobiło mu się gorąco i wtedy na szyi mężczyzny zauważył koloratkę.

- Nie! Dziękuję! - powiedział oddychając głębiej. Po chwili zmienił jednak zdanie. - Chociaż tak! Czy może mnie ksiądz wyspowiadać?

Duchowny popatrzył na niego i uśmiechnął się lekko. - Tak! Proszę! - wskazał na boczną nawę, która w głębi skrywała konfesjonał. - Tam jest właściwe miejsce do rozmów z Bogiem!

Edgar skinął głową i razem przeszli do miejsca spowiedzi. Przykłąknął i przez dębowe kratki przyglądał się jak

190

duszpasterz zajmuje miejsce na małym foteliku. Czuł się dziwnie nieswojo, po tylu latach znów przy konfesjonale i nie wiedział, czego oczekiwał po tej rozmowie. Spowiedź? Skąd wpadł na ten pomysł?

- Niestety, coraz więcej ludzi odwraca się od Boga, ale on nigdy nie odwraca się od nich - ksiądz zaczął podniosłym tonem. - Słucham cię, synu!

- Nie wiem, dlaczego poprosiłem księdza o tę rozmowę. Nie wiem, co ona może mi dać, ale wiem, że moje życie dopała się. Potrzebuję sił, których nie potrafię w sobie odnaleźć i myślę, że już nigdy ich nie odnajdę.

- Moc boska jest nieograniczona. Być może poszukujesz tu, u źródła, właśnie dlatego, że wiara może dać ci tę siłę, której ci braknie. Powiedz, co odebrało ci siły?

Ned zebrał myśli. Czy powinien mówić o tym, co go spotkało, czy powinien przyznać się do wszystkiego? A jeśli nie teraz, to kiedy?

- Zabiłem wielu ludzi. Niektórych z nich nie znałem, ale większość z tych, których znałem, zasłużyła na to, co ich spotkało.

- Nie możesz tak mówić! Życie czerpie soki z życia i żaden człowiek nie ma prawa odbierać tego daru danego przez Boga.

- A jeżeli inny człowiek odbiera życie twoim bliskim? Czy nie mam prawa zabić go, żeby uratować życie innym? Czy nie mam prawa pomścić śmierci moich bliskich?

- Prawem jest czynienie dobra. Nie masz prawa osądzać innych, tylko Bóg to potrafi.

- Skazano mnie nie z woli Boga, ale z woli kilkunastu przysięgłych. Skazali mnie na piekło, choć żaden z nich nie wiedział, kim jestem, żaden z nich nie wyglądał również na Boga.

- Nie drwij! Prawa są dane przez Boga. Wszystkie zasady bazują na boskich przykazaniach...

- Tylko że ja byłem niewinny...

Ksiądz umilkł na chwilę, a potem powiedział: - Niezbadane są ścieżki, które Pan wybiera dla nas. Być może poddał cię próbie, być może wskazał ci inną drogę...

- Drogę do piekła...

- Drogę do odkupienia. Masz duszę i ją możesz zbawić...

- Duszę? - Ned roześmiał się. - Czy zwierzęta mają duszę?

- Nie! Ale ludzie mają.

Ned zachnął się. - Poznałem ludzi, których nie nazwałbym nawet zwierzętami. Drapieżniki zabijają, żeby przeżyć, ludzie, o których mówię, zabijali bez powodu.

- Jesteśmy dziełem Boga...

- Tak samo jak zwierzęta. I tak samo jak one boimy się śmierci. Tylko że my w przeciwieństwie do nich wiemy, że umrzemy. Czy to nie za wysoka cena za świadomość? A może to cena za duszę?

- Dzięki duszy jesteśmy nieśmiertelni.

- Więc skąd ten strach? Widziałem śmierć wiele razy, zawsze towarzyszył jej strach. Bali się wszyscy, nawet ci najtwardsi, widząc nadchodzącą śmierć, byli przerażeni. Ksiądz mówi o duszy i o czynieniu dobra, a ja mówię, że to strach sprawia, że nasz gatunek nie wymordował się jeszcze. Strach przed śmiercią powstrzymuje przed zabijaniem. Każdy, kto przekroczy tę granicę i zabije, wie, że śmierć już ma go na oku. Ci, którzy tego nie zrobili, mają złudzenie, że gdy nie będą igrać ze śmiercią, to ona ich ominie. Ale wcześniej czy później i tak muszą ją spotkać. A wtedy jest już tylko strach.

Ksiądz milczał przez chwilę, jakby czekał, aż Ned się uspokoi.

- Nie mogę się z tobą zgodzić - powiedział w końcu. - Ja też widziałem umierających i wielu z nich odchodziło w pokoju. To nie strach przed śmiercią sprawia, że tak wielu lu-

dzi jest pełnych miłości, że dbają o swoje dzieci i najbliższych. Ci, którzy otworzyli swoje serca, nawet gdy uczynili to dopiero w obliczu śmierci, odchodzą pogodzeni, pełni ufności. Bóg wskazuje im drogę i nawet, gdy za życia potykają się i błędzą, to właśnie w tej ostatniej chwili widzą światło, które wskazuje im drogę. Światło miłości.

- Jeżeli to Bóg wyznaczył moją drogę, to musiał mieć przy tym niezły ubaw!

- Nie możesz tak mówić! Bóg jest dobry!

- Tylko niezbadane są wyroki jego!

- Nie bluźnij!

- To nie bluźnierstwo! To gorycz! Bez względu na to, kto wyznaczył drogę mojego życia, przegrałem je na własny rachunek.

- Zawsze jest nadzieja! Zawsze możesz zawrócić! Jesteś młody...

- Jestem stary! Jestem wypalony przez nienawiść, a to co we mnie pozostało, to ta odrobina goryczy. Nie stać mnie już na miłość ani na litość. Jestem martwy!

Zapadło długie milczenie, które przerwał ksiądz.

- Czego ode mnie oczekujesz? - zapytał.

Ned wahał się, co odpowiedzieć. Czy czegokolwiek oczekiwał? Nie wiedział nawet, po co tu przyszedł.

- Nie wiem! - odpowiedział. - Może nadziei?

- Nadziei na co?

- Na zbawienie? - sam się zdziwił jak sarkastycznie to zabrzmiało.

- Przecież ty nie żałujesz nawet tego, że zabijałeś. Jesteś przekonany, że postępowałeś słusznie. Sądzisz, że tak jak Bóg masz prawo wymierzać sprawiedliwość?

- A dlaczego ten przywilej miałbym zostawiać Bogu?

- Bo tylko on ma takie prawo!

- Ale chyba ma za mało czasu, żeby zająć się tymi, którymi powinien.

193

- Kara przyjdzie na wszystkich czyniących zło.

- Kiedy? Na sądzie ostatecznym? Problem w tym, że ja nie mogę tak długo czekać.

- Błądzisz! Idziesz drogą, która zaprowadzi cię do piekła.

Ned roześmiał się chrapliwie. - W piekle już byłem. Tam... zostawiłem duszę. - Zamilkł, bo nagle zrozumiał, co jeszcze powinien zrobić. Nagle znalazł odpowiedź. - A jeżeli Bóg nie ma czasu, żeby zająć się wymierzeniem sprawiedliwości, to nie powinien mieć nic przeciwko, żeby ktoś go wyręczył.

- Nie wiem, dokąd zmierzasz, ale to zła droga!

- Tę drogę wybrali dla mnie ludzie, którzy powinni zobaczyć, gdzie doszedłem. Powinni spotkać się ze swoim dziełem...

- Co chcesz zrobić?

- Zabić ich! - powiedział po prostu.

- Nie rób tego! To cię nie ocali!

- Nic nie może mnie ocalić. To ostatnia rzecz, którą powinienem zrobić i zamierzam wypić ten kielich!

- Proszę cię, zatrzymaj się!
- Bóg uzna to za sprawiedliwe. Czy to nie on powiedział, że każdy ma prawo skosztować owoców swego życia?

Ned wyszedł z kościoła. Był pewien, co chce zrobić. Był pewien, że musi to zrobić. Trzej ludzie, byli winni, że stał się tym, kim się stał. Od nich zaczęło się wszystko i na nich powinno się skończyć. Z ich śmiercią, w jakiś niesamowity sposób zamknie się ten diabelski krąg. Ned czuł, że to dopełni jego przeznaczenie.

Szedł w stronę hotelu i powtarzał ich nazwiska: Thomas Falstaff, Tony Torrucci i Walter Quincy!

194

Przed bramą wytwórni filmowej „Torrucci” zatrzymała się czarna limuzyna i wysiadł z niej elegancki mężczyzna. Ubrany był w ciemnoszary garnitur, najwyraźniej szyty na zamówienie, który układał się na harmonijnej sylwetce w przyjemny dla oka sposób. Gęsta, starannie przycięta i lekko siwiejąca broda nadawała mu wyraz dostojności, a spojrzenie głęboko osadzonych oczu zmuszało do szacunku. Mężczyzna podszedł do budki strażnika strzegącej wejścia na teren wytwórni i zatrzymał się, patrząc w stronę budynków. Coś na kształt wzruszenia przemknęło przez jego twarz, ale po chwili znów pokryła je nieprzenikniona maska.

Podszedł do strażnika i przedstawił się: - Karl Dittmahr! Jestem umówiony z panem Torruccim.

Strażnik sprawdził coś w grubym dzienniku i skinął głową. - PŁn Torrucci jest na planie nowego filmu. To w tym dużym budynku - dodał podając identyfikator.

- Dziękuję... - dżentelmen uśmiechnął się i po chwili wahania dodał: -... Arturze!

Spojrzenie strażnika wyrażało zaskoczenie. - Czy pan mnie zna? - zapytał.

Mężczyzna przedstawiający się jako Karl Dittmahr milczał. Patrzył uważnie w oczy niemłodego już strażnika i wydawał się na coś czekać; gdy nie doczekał się, pokręcił przecząco głową. - Nie! Nie znam! Przeczytałem na znaczku twoje imię. - Ręką wskazał na plaketkę przypiętą do piersi strażnika. - Czy nie powinienem tak się do ciebie zwracać?

- Nie! Nie! To znaczy proszę bardzo. Tylko nikt od wielu lat tak się do mnie nie zwracał. Tak do mnie mówił starszy pan... to znaczy pan Dominik... Dominik Torrucci.

Mężczyzna skinął głową. - Wiem... - powiedział i widząc zdziwione spojrzenie Artura dodał: - Wiem, że takie zdarzenia przywołują wspomnienia.

195

Patrzył na strażnika i chciał mu powiedzieć coś więcej, ale powstrzymał się. Nie mógł mu powiedzieć, że znał go doskonale, że znał starego Torrucciego i że gdy był tu ostatnio nazywał się Edgar Gratiano. Jego twarz i wygląd zmieniły się od tego czasu znacznie. Przybrał na wadze, głównie na skutek przyrostu masy mięśniowej, a cztery miesiące temu poddał się operacji plastycznej. To spotkanie było pierwszym testem czy zmiany były wystarczające. Jeżeli Artur go nie poznał, to niewielu miało szansę...

Gdy wszedł na teren wytwórni, wspomnienia pojawiły się jak fala przyływu. Hale zdjęciowe, wąskie przejścia pomiędzy nimi, spieszący się ludzie - to wszystko przenosiło go w świat sprzed dziesięciu lat. Marzenia i rozterki, które wtedy przeżywał, stanęły przed nim jak żywe; znów był młodym chłopakiem, cudownym dzieckiem... I wtedy go zobaczył.

W jego stronę szedł mężczyzna ubrany w podartą, brudną kurtkę; lekko się zataczał i coś do siebie mamrotał. Zachowywał się jak bezdomny albo obłąkany. Był brudny, a mimo to Edgar poznał go od razu. Przez zaciśnięte zęby wyszeptał jego nazwisko: Falstaff.

Ned cofnął się o dwa kroki i skręcił w boczną uliczkę, ale zaraz się zatrzymał. Odwrócił się i nie spuszczać z oczu Falstaffa poczekał, aż ten przejdzie przez bramę, a potem ruszył za nim. To spotkanie było jak znak. Los skrzyżował ich drogi w tym właśnie momencie i nie mógł to być przypadek, zwierzyzna sama wystawiła się na strzał.

Ned śledził Falstaffa przez ponad godzinę. Miał nadzieję, że pijaczyna zaprowadzi go do swojego mieszkania i nie rozczarował się. Bez poszukiwań, bez wypytywania ludzi zdobył to, czego potrzebował. Gdy upewnił się, że mieszkanie w kilkupiętrowym rozpadającym się budynku jest stałym lokum Falstaffa, wrócił do hotelu, w którym się zatrzymał.

* * *

196

Późnym wieczorem Ned zakradł się pod drzwi mieszkania Falstaffa. Zanim wszedł do środka, sprawdził rewolwer i założył na lufę tłumik. Był gotów do spotkania z przeszłością.

Z łatwością sforsował zwykły, zatraskowy zamek i wszedł do środka. Falstaff leżał na cuchnącym barłogu przyciskając do piersi pustą butelkę. W pokoju unosił się odór niemytego ciała i przetrawionego alkoholu. Ned patrzył na rozlżnięte cielsko wyływające z brudnej koszuli i wzbierało w nim obrzydzenie.

- I przez takie ścierwo trafiłem do piekła! - powiedział do siebie i kopnął Falstaffa w brzuch.

Brudne, przekrwione oczy spojrzały na niego nieprzytomnie. Ned kopnął jeszcze raz, tym razem Falstaff spojrzał na niego trzeźwiej.

- Czego chcesz? - zapytał schrypniętym głosem.

Ned z trudem powstrzymał się, żeby nie zmiażdżyć tej obrzydliwej obwisłej twarzy. Najpierw jednak musiał zadać jedno pytanie.

- Poznajesz mnie? - zapytał, choć wiedział, że po operacji plastycznej i w obecnym przebraniu było to niemożliwe.

- Nie! Daj mi spać! - Falstaff odsunął się kawałek i zamknął oczy.

- A pamiętasz starego Torrucciego?

Falstaff wzdrygnął się i szeroko otworzył oczy.

- Wiem, że to ty go zabiłeś - Edgar mówiąc te słowa wpatrywał się w jego twarz.

- Nie wiem... - Falstaff zająknął się. - Nie wiem, o czym mówisz.

Ale Ned już wiedział; przerażenie w oczach Falstaffa powiedziało mu wszystko.

- Powiem ci! - Wyjął broń. - Zaplanowałeś to z Tonym, żeby zrobić pewnego faceta!

- Nie wiem, o czym...

197

Ned kopnął go w brzuch. - Gadaj prawdę albo cię rozwalę!

Falstaff rozkleił się. - Zostaw mnie! - poprosił płacząc. - Nie wiem...

Ned przestrzelił mu jego grube, tłuste udo.

- Gadaj! - rozkazał przekrzykując ryk bólu Falstaffa.

- Tak! On to zaplanował! On mnie w to wciągnął. Zmusił mnie! To on był wszystkiemu winien...

Ned pochylił się nad nim. - Czy mnie poznajesz? - zapytał ponownie, zbliżając twarz do twarzy. - Przyjrzyj się uważnie; odbyłem długą drogę, żeby się z tobą spotkać.

- Nie znam cię!

- A powinieneś! Czy mówi ci coś nazwisko Gratiano? Edgar Gratiano?

Falstaff szarpnął się w tył, jakby zobaczył przed sobą upiora, ale Ned złapał go za kołnierz i przyciągnął do siebie.

- Przypatrz się, sukinsynu! Patrz uważnie!

- Nie to nie możesz być ty! Twoja twarz...

Ned cisnął nim o ścianę. To było obrzydliwe, wstrętne. Chciał już tylko załatwić to jak najszybciej. Wymierzył broń, ale Falstaff rzucił się do przodu i kurczowo uczeplił się jego nogę.

- Nie zabijaj mnie!... Proszę!

Gratiano odepchnął go nogą. Mężczyzna padł na ścianę i łkając osunął się po niej. „Co za ścierwo!” - pomyślał Ned mierząc mu w brzuch i nacisnął spust. Opasłe cielsko wzdęło się, zafalowało. Strzelił jeszcze raz, przez poszarpane dziury zaczęły wypływać wnętrzności.

Falstaff wciąż jeszcze żył: jęczał, a z wodnistych, wyblakłych oczu płynęły łzy. Dłońmi próbował przytrzymać wypływające, oślizłe jelita, ale przepływały mu między palcami. I cały czas skamlał. Ned nie mógł tego znieść; uniósł broń i strzelił mierząc mu między oczy. Głowa Falstaffa szarpnięta impetem pocisku uderzyła o ścianę, zo-

198

stawiając na szarej powierzchni kawałki mózgu i opadła mu na pierś.

Ned splunął! Musiał szybko się czegoś napić, żeby splukać mdłości. Jak człowiek może stać się takim łajnem? - pomyślał i wyszedł szybko.

Przyjęcia wydawane przez Tony'ego były równie udane jak te, które niegdyś wydawał jego ojciec; była to chyba rodzinna zaleta. Ned krążąc wśród gości przypominał sobie tę atmosferę, która panowała tu dziesięć lat temu. Tak wiele się zmieniło, a równocześnie wszystko wydawało się znajome. Chyba najbardziej zmienił się on sam.

Wyąfępował tu jako Karl Dittmahr - producent filmowy, który właśnie rozpoczyna realizację wielkiego projektu filmowego. Nikt nie wiedział jakiego, nikt nie wiedział, kto ma go sfinansować, a mimo to co chwila ktoś próbował go zagadnąć, ktoś wręczył mu wizytówkę, jakaś aktorka ubrana w mini podała mu swój numer telefonu. Edgar odpowiadał zdawkowo równocześnie rozglądając się za znajomymi twarzami. Dość szybko zauważył Jima Macau-laya i kilku ludzi, których twarze pamiętał, ale nie mógł przypomnieć sobie ich nazwisk; zresztą może mu się tylko wydawało, że je znał. Czas zrobił swoje, szczegóły zatarły się w pamięci, a świat postarzał się o dziesięć lat. Jednak gdy zobaczył Waltera Quincy rozpoznał go od razu; aktor nie zmienił się prawie wcale. Być może przytył kilka kilogramów, ale to była jedyna widoczna różnica. Te same gęste włosy, ten sam zabójczy wąsik; wyglądał, jakby czas go ominął.

Ned obserwował go przez dłuższą chwilę. Był zdziwiony, że widok tego człowieka nie wywoływał w nim uczucia gniewu czy nienawiści. Czuł się tak, jakby spotkał go

199

po raz pierwszy w życiu. Myślał o ukaraniu Waltera jedynie jako o koniecznym wymierzeniu sprawiedliwości. Miał być tylko wykonawcą, miał być mieczem sprawiedliwości. Nawet spodobało mu się to określenie.

Uśmiechając się lekko podszedł do Waltera i przedstawił się.

- Czy pan Walter Quincy? - zapytał.

- Tak! - mężczyzna okazał akurat tyle zdziwienia, ile może okazać gwiazdor filmowy zagadnięty przez obcego człowieka. - Czy my się znamy?

„Czy my się znamy? A to dobre!” - pomyślał Ned, ale głośno odpowiedział: - Widziałem pana w kilku rolach i muszę przyznać, że zrobił pan na mnie duże wrażenie. Zwłaszcza ostatni film jest niezwykły. - Ned dwa dni wcześniej obejrzał superprodukcję z Quincym w roli głównej.

- Mówi pan o Isaeshul

- Oczywiście! Doskonała rola.

- Dziękuję! Ale to w dużym stopniu zasługa scenariusza i reżysera. - Quincy zachowywał pozory skromności.

- To również, ale bez pana udziału ten film nie byłby tak doskonały. Uważam, że jest pan obecnie jednym z najlepszych aktorów! - Ned obserwował jak mile połączona próżność aktora pojawia się na jego obliczu. - I chciałbym zaproponować panu udział w moim filmie. Jeśli uzna pan, że rola jest godna pańskiego talentu, będę zaszczycony.

Uśmiech na twarzy Waltera mówił, że gdyby Karl Dittmahr rzeczywiście chciał pozyskać go do swego filmu, to byłby już bliski osiągnięcia celu.

Nagle Walter przeniósł spojrzenie ponad ramieniem Edgara i zwracając się do kogoś stojącego za jego plecami, powiedział:

- Kochanie! Pozwól, że przedstawię ci pana Dittmahra.

Ned odwrócił się i stanął twarzą w twarz z... Patrycją-

Nie potrafił zapanować nad sobą. Gwałtowny skurcz ściąg-

200

nął mu mięśnie, serce zabito w szaleńczym rytmie, a fala gorąca zalała całe ciało.

- Pozwoli pan, że przedstawię moją żonę!

„Żonę?!“ - Ned zachwiał się, jakby ktoś zdzielił go pałką. - „Jak to możliwe? Ten bubek ożenił się z nią!!! Jak...?“ - krew napłynęła mu do twarzy.

- Wyobraź sobie, moja droga, że pan Dittmahr zaproponował mi rolę w swoim nowym filmie. - Walter nie zauważył nawet, że Pat zbladła śmiertelnie, a producent filmowy z trudem łapie oddech. - Czy może pan powiedzieć, o czym będzie ten film?

Ned z bólem oderwał wzrok od Patrycji; choć nie wyglądała tak świeżo jak kiedyś, to dla niego wciąż była najpiękniejszą kobietą świata. Kobieta, którą kochał kiedyś do szaleństw. Teraz, gdy znów ją zobaczył, te wszystkie dzielące ich lata wydały mu się jednym dniem, poczuł się tak, jakby rozstali się wczoraj, a przecież nie mógł utracić jej w ciągu jednej nocy.

- Słucham? - zapytał przenosząc wzrok na Waltera.

- Pytałem, o czym ma być pański film?

„Ty draniu!“ - Edgar przeżuł w myślach przekleństwo. Nagle Walter przestał mu być obojętny. „Twoja żona?!“ - A na głos powiedział: - Ten film?... - spojrzał lodowato w oczy aktora. - Ten film opowiada historię człowieka zdradzonego przez przyjaciela. Ten człowiek po ucieczce z więzienia postanawia się zemścić...

Walter zbladł. Otworzył szerzej oczy i przez chwilę bezskutecznie próbował zaczerpnąć głębiej powietrza. Na jego twarzy malowało się niedowierzanie. Wyglądał, jakby chciał coś powiedzieć, ale właśnie w tej chwili podeszła do nich Gabriella Faltzman.

- Czy wiecie, że Falstaff nie żyje?! - oznajmiła, a w jej głosie pobrzmiwało jedynie podekscytowanie; żadnego współczucia czy smutku. - Ktoś zastrzelił go w jego norze.

201

Walter zamknął usta nie wypowiedziawszy nawet słowa, a jego twarz stała się kredowo biała. Patrycja spojrzała na niego z niepokojem.

- Co ci jest? - zapytała. - Źle się czujesz?

Ned poczuł nieodpartą potrzebę zaczerpnięcia świeżego powietrza. Nie czekał na odpowiedź Waltera. Powiedział: - Przepraszam! - i wybiegł na taras. Nie mógł pogodzić się z tym, że Walter, ten sam Walter, który go sprzedał, był z kobietą, za którą on kiedyś gotów był oddać duszę. Jeszcze trudniejsze było przyznanie się, że kochał ją nadal. Do dziś był pewien, że wszystkie głębsze uczucia wypaliły się w nim, że nie potrafił już ani kochać, ani nienawidzić. W chwili, gdy ją zobaczył, w mgnieniu oka został rozdarty przez skrajne namiętności - znów kochał, znów nienawidził i znów cierpiał. W niczym już nie przypominał obojętnego „miecza sprawiedliwości”, którym mianował się tak niedawno.

„Czy to możliwe?” - pytał, choć znał odpowiedź. Ktoś kto cierpi słysząc: «Oto moja żona» z ust innego faceta, z pewnością jeszcze kochał. - Ona powinna być ze mną! Nie z nim!”.

-Ned?!

Jej głos! Dopiero teraz, słysząc swoje imię wypowiedziane przez nią, uświadomił sobie, jak bardzo przez te wszystkie lata brakowało mu brzmienia jej głosu.

- To ty, prawda? - zapytała niepewnie.

W pierwszej chwili chciał zaprzeczyć, ale nie mógł wydobyć z siebie głosu. „Poznała mnie! - pomyślał z radością i bólem. - Pomimo operacji, upływu czasu, poznała mnie!”. Nie mógł skłamać. Potakująco skinął głową.

- Wiedziałam! - jej uśmiech był równie piękny jak wówczas, gdy spotkali się po raz pierwszy. - Czułam to, gdy tylko cię zobaczyłam. Tak na mnie spojrzales! Nikt poza tobą tak na mnie nie patrzył - objęła go i pocałowała. - Tak się cie-

202

szę! Nawet nie wiesz, jak się o ciebie bałam. Kiedy usłyszałam, że uciekłeś z więzienia, bałam się, że zginiesz.

„I dlatego wysłaś za Waltera?” - pomyślał, ale nic nie powiedział, nie miał prawa tego powiedzieć. To on sam zdecydował, że nie będzie się z nią kontaktował. Nie chciał się z nią widywać ani rozmawiać. To on zabronił Sirusowi powiedzieć jej o ich podejrzeniach na temat Tony'ego i Waltera, więc czy mógł ją za to winić? Jej radość nie była udawana i to było zapłatą za lata rozłąki. Miał jej tyle do powiedzenia, a brakowało mu słów. Miał tyle...

- Pan Torrucci czeka na pana w gabinecie!

Ned zaskoczony czyjąś obecnością, odruchowo sięgnął po broń. Szybko się zreflektował, ale niechęć do intruza pozostała. Majordomus stał wyprostowany i czekał na odpowiedź nieświadomy, że popsuł tę niezwykłą chwilę. Przypomniał Edgarowi właściwy cel jego wizyty i piękny sen skończył się, zanim się rozpoczął. Przyszedł tu, żeby wymierzyć sprawiedliwość. Tony miał umrzeć w tym samym miejscu, gdzie został zamordowany jego ojciec...

- Już idę! - powiedział.

Spojrzał na Pat. Był pewien, że gdyby mógł spędzić z nią resztę życia, odnalazłby szczęście. Ale czy ona mogłaby żyć z mordercą? Przecież nie mógł przed nią udawać, że jest Karlem Dittmahrem. Nagle przyszła mu do głowy szalona myśl - gdyby udało mu się wymusić na Tonym przyznanie się do winy; to oczyściłoby go z zarzutu zabójstwa „starego”. Inne grzechy popełniał na rachunek Paula Ver-nona i niewielu ludzi było w stanie powiązać jego wyczyny jako najemnika z reżyserem o nazwisku Edgar Gratiano. Jedynie ludzie z mafii mogliby go dopaść, ale o to martwiłby się później. Najpierw musiał nakłonić Tony'ego do złożenia oświadczenia. Problem polegał na tym, że takie zeznanie oznaczałoby dla młodego Torrucciego wydanie na siebie wyroku.

203

- Przepraszam cię, ale muszę porozmawiać z Tonym.
- Rozumiem - powiedziała ze smutkiem. - Czy spotkamy się jeszcze?
- Obiecuję!

Pocałował ją w policzek i zdecydowanym krokiem ruszył w stronę schodów. Miał zamiar zmusić Tony'ego do przyznania się do winy - nie wiedział jak, ale wierzył, że mu się to uda. Po raz pierwszy od wielu lat Ned nie potrafił na chłodno ocenić sytuacji. Rozgorączkowany i podekscytowany wbiegł po schodach, pokonał krótki korytarz i zatrzymał się przed drzwiami gabinetu. Ich widok ostudził go; te drzwi miały w jego życiu niezwykle znaczenie. Za ich gładką powierzchnią już dwukrotnie znalazł swoje przeznaczenie - raz, gdy dostał swoją życiową szansę, po raz drugi, gdy znalazł bilet do piekła. Dziś miał je otworzyć po raz trzeci. Jaką kartę miał odkryć tym razem?

Zawahał się jeszcze. Jeśli chciał zdobyć przyznanie się do winy Tony'ego, musiał użyć podstępu; prośbą tu nic nie wskóra, zastraszenie też nie podziała. Jedyna nadzieja, że Tony, gdy zostanie zaskoczony, powie coś, co mogłoby zostać użyte w sądzie. Edgar wyjął telefon komórkowy i podłączył do niego zewnętrzny mikrofon. Wybrał numer skrzynki głosowej i po usłyszeniu sygnału nagrywania włożył telefon do kieszeni, a mikrofon przypiął do skraju marynarki.

Zapukał i wszedł do środka. Tony siedział za biurkiem i coś notował. Gdy Edgar podszedł bliżej, Torrucci podniósł głowę.

- O czym chciał pan ze mną rozmawiać, panie Dittmahr?

Ned nie odpowiedział. Patrzył na człowieka, który zniszczył mu życie i szukał w jego twarzy odpowiedzi na pytanie: dlaczego? Czy była to chęć zemsty? Nienawiść? A może zupełnie coś innego? Czy Tony kiedykolwiek miał z tego powodu wyrzuty sumienia? Sądząc po zadowolonej minie - nie!

204

- Nie musisz zwracać się do mnie tak oficjalnie! - Ned powiedział to spokojnym tonem. - Możesz mówić mi Edgar... - dla większego efektu zawiesił na chwilę głos. - Edgar Gratiano.

Ręka Tony'ego prawie niezauważalnie zsunęła się pod blat biurka, ale Ned był czujny - pochylił się przez biurko, jedną ręką chwycił dłoń Tony'ego w przegubie, a drugą, zaciśniętą w pięść, wymierzył mu cios w twarz.

- Ręce trzymaj na widoku! - polecił wyjmując z szuflady biurka rewolwer.

- Czego chcesz? Kim jesteś? - Tony przyglądał mu się podejrzliwie rozcierając stłuczoną brodę.

Ned pochylił się tak, żeby ich oczy znalazły się na jednej wysokości, a ich twarze nie dalej niż trzydzieści centymetrów od siebie. Wpatrywał się w Torrucciego i czekał, aż ten przypomni sobie to spojrzenie. Gdy dostrzegł, że Tony wzdrygnął się, uśmiechnął się złowrogo.

- Już wiesz? - zapytał. - Moja twarz zmieniła się, ale pamięć nie ucierpiała. Doskonale pamiętam, kto wysłał mnie do więzienia.

Tony patrzył na niego z ukosa, jakby wciąż jeszcze nie mógł uwierzyć, że ma przed sobą Edgara.

- Jeszcze nie wierzysz, że to ja? - Ned zapytał nie oczekując odpowiedzi. - Więc może porozmawiamy na tematy, które nas łączą. Na przykład powiedz mi, dlaczego zamordowałeś swojego ojca?

- Dobry dowcip! - Tony błyskawicznie zapanował nad sobą i przybrał tę pełną nonszalancji pozę, którą Edgar pamiętał tak dobrze.

-To nie dowcip! - Ned również zachował zimną krew. - Mam na to dowody.

Tony parsknął śmiechem. - Nigdy nie potrafiłeś blefować. Do tego potrzeba odrobiny talentu, a w twoim wykonaniu jest to żałosne.

205

- Sądzisz, że blefuję?

- Jestem tego pewien! Nie masz nic i najlepiej zrobisz, jeżeli wyniesiesz się stąd, zanim wezwę policję.

Edgar z wysiłkiem opanował narastające wzburzenie. Dlaczego nawet po latach Tony tak łatwo potrafił go wyprowadzić z równowagi? W jaki sposób zawsze znajdował właściwy klucz?

- Jeśli ktoś tu wezwie policję, to ja, ale dopiero po tym, jak przyznasz się na piśmie do zaplanowania zabójstwa ojca.

Tony roześmiał się.

- Tylko tyle? Rozbrajasz mnie! A może powinienem jeszcze poprosić o najwyższy wymiar kary? Uważasz mnie za idiotę! Nawet gdybym to zrobił, to miałbym się teraz przyznać, ponieważ ty sobie tego zażyczyłeś? Zawsze byłeś naiwniakiem i jak widzę pobyt w więzieniu niczego cię nie nauczył. Nadal wydaje ci się, że jesteś pupilkiem mojego ojca i z tego powodu wszyscy powinni tańczyć tak jak im zagrasz. Zapominasz tylko, że dziś nie masz już żadnych protektorów, wszyscy cię opuścili! Nawet twój adwokat, zanim uległ nieszczęśliwemu wypadkowi, chciał się sprzedać.

Ned drgnął. - Sirius?

- Tak! Sirius!

- To nieprawda!

- Prawda! Chciał dwieście tysięcy za milczenie! Dwieście tysięcy! - Tony wybuchnął niepojętym śmiechem - tylko że wcześniej... wcześniej wpadł pod samochód!

Ned nie wierzył Tony'emu; zbyt dobrze go znał. Zbyt dobrze znał Sirusa, żeby uwierzyć w jego zdradę, ale... „Wszyscy osądzamy po pozorach” - przypomniał sobie słowa prawnika i cień wątpliwości zachmurzył mu czoło. Skąd Tony wiedział, że Sirus zbierał przeciwko niemu dowody? Czy Sirus był u niego? Nie! Nie mógł aż tak się po-

206

mylić w ocenie przyjaciela! Tony na pewno dowiedział się tego przypadkiem, a teraz próbował to wykorzystać. Ale jeśli Tony wiedział o tym... Nagle w umyśle Neda zrodziło się podejrzenie, które po chwili stało się pewnością.

- To ty go zabiłeś? - zapytał, z trudem pokonując skurcz krtani.

- Być może! - Torrucci wydawał się świetnie bawić. -Ale na to też nie znajdziesz dowodów! - znów wybuchnął śmiechem.

Ned nie ochłonął jeszcze po wstrząsie jakim było dla niego spotkanie z Partycją i ten pusty śmiech skruszył ostatecznie podstawy chwiejnej równowagi, w której starał utrzymać swoje emocje. Ten śmiech przeszył go jak zimna stal i Edgar nie panując nad sobą chwycił stojący na biurku ciężki przycisk do papieru i uderzył nim Tony'ego w skroń. Śmiech urwał się gwałtownie, ale on uderzył jeszcze raz i jeszcze... Wkładał w uderzenia całą siłę i gdy skończył, głowa Tony'ego zamieniła się w krwawą miazgę.

Ned oparł się ciężko na biurku i próbował uspokoić oddech. Ten atak szafu wyczerpał go bardziej niż najdłuższy bieg, ale czy mogło być w tym coś dziwnego, skoro tymi ciosami rozliczył się z przeszłością i pozbawił przyszłości? Nie miał już co liczyć na dożycie sędziwych lat u boku Patrycji. Ale czy kiedykolwiek miał na to szansę? Chociaż odpowiedź była przecząca i tak przeklinał Tony'ego. Dyszał ciężko i przeklinał go za to, że obudził w nim diabła; tego samego, który wylał z niego już raz - po śmierci Spa-riego; tego samego, który po raz pierwszy odezwał się w nim w Grant Martel. Przyszedł na to przyjęcie z myślą, że wymierzy sprawiedliwość. Zabicie Tony'ego to nie była jednak zimna egzekucja; to było dzikie morderstwo popełnione w amoku.

Otrząsnął się. Czy to miało jakiegokolwiek znaczenie? Nad czym on rozmyślał? Tony zasłużył na to co go spotka-

207

ło; co za różnica, czy zabił go w imię sprawiedliwości, czy z nienawiści?! Został sprowokowany jego zachowaniem, pełnym buty i poczucia bezkarności. Ned spojrzał na leżące na biurku ciało; stało się tak jak się stać miało. Tony umarł tu, w tym gabinecie, przy tym samym biurku, co jego ojciec. To było doskonałe zamknięcie, punkt kulminacyjny dramatu. Oto człowiek, który uknuł tę intrygę, umarł w miejscu, gdzie rozegrał się pierwszy akt. Już samo to było zadośćuczynieniem dla sprawiedliwości.

Co mógł uzyskać więcej? Chyba nic! Nawet gdyby Tony zdradził się z czymś i Edgar zdobyłby nagranie, to w jaki sposób mógłby to wykorzystać? Jaki sąd uznałby to za dowód? Jak miałby pójść z tym do sądu, jeżeli mafii zajęłoby kilka dni, żeby go odnaleźć i zabić. Nie doczekałby procesu. Skrzywił się z

dezaprobatą; chyba doznał jakiegoś zaćmienia, gdy zamarzył o spokojnym bezpiecznym życiu. Na jego drodze takich miejsc już nie było.

Wyłączył telefon - już nie był mu potrzebny. Jeszcze raz spojrzął na ciało Tony'ego a potem wyszedł z gabinetu.

Dyskretnie opuścił przyjęcie.

* * *

Wrócił do hotelu i żeby cokolwiek się zająć, zrobił przegląd broni. Nie potrafił otrząsnąć się z przygnębienia, które opadło go, gdy tylko znalazł się w pustym hotelowym pokoju. Zdarzało się to coraz częściej i doskonale wiedział jaka była przyczyna. Przez tak wiele lat walczył o to, żeby przeżyć, a w ciągu ostatnich miesięcy nabrał przekonania, że była to walka bezsensowna. - „Życ to nie znaczy walczyć, Sirusie - pomyślał z zalem. - Życ to znaczy kochać i być kochanym". Cena, jaką zapłacił za biologiczne przetrwanie była wysoka. Jeszcze wczoraj mógł mieć złudzenia, że było warto, ale po spotkaniu z Pat zrozumiał, że nie.

208

Utracił wszystko, na czym mu zależało, stał się karykaturą, a właściwie zaprzeczeniem człowieka, którym kiedyś chciał być. Poniósł całkowitą klęskę. Ale jak długo można uciekać przed śmiercią nie obojętniejąc na zagrożenia? Jak długo można żyć w jej cieniu, nie oswajając się z myślą o niej? Jak długo można tak żyć i pozostać człowiekiem?

Był zmęczony i był gotów na śmierć. Dręczyło go tylko jedno: świadomość, że pomimo całej udręki, wyrzeczeń, samozaparcia - przegrał. Przegrał swoje życie dzień po dniu, roztrwonil ten jedyny majątek, który każdy człowiek otrzymuje w dniu narodzin. Jak hazardzista, żeby czuć dreszcz emocji, stawiał coraz wyższe i wyższe stawki, żeby w końcu przekonać się, iż nie pozostało mu nic. Ta pustka przerażała go! Nawet uczucie, które w nim odżyło, było tylko cieniem, namiastką tego żaru, który płonął kiedyś w jego duszy. Nie potrafił już kochać, nie potrafił już żyć!

- Jeśli nie można już godnie żyć, trzeba umieć godnie umrzeć! - powiedział zamykając bębenek rewolweru. Ale wcześniej jeszcze Walter. Musiał dokończyć to, co rozpoczął i musiał jeszcze spotkać się z Pat. Obiecał jej, a zawsze

dotrzymywał obietnic.

* * *

Spotkali się w restauracji.

Gdy usiadł naprzeciw Patrycji, nagle przypomniał sobie spotkanie sprzed dziesięciu lat. Jak on wtedy przeklinał Gabriellę Faltzman z jej ogromnym kapeluszem i potokiem słów, który z niej wypływał. A przecież wtedy jego życie było jak piękny sen. Jedynym problemem była troska o film, martwił się, czy właściwie sfilmował ujęcie. Jakaś drobna sprzeczka z Pat. I to tyle. O przyszłości nie myślał, bo o czym miał myśleć? Widział ją jako dalszą część tej ba-

209

śni, w której się wówczas znalazł. Dzisiaj wiedział, że był to miraż, który rozpułynał się zanim w pełni zdążył się w nim zanurzyć. Miraż, który był zapowiedzią koszmaru. Wówczas tego nie dostrzegał. Nie widział, że stawia pierwszy krok na drodze swojego przeznaczenia, krok, którego konsekwencją było to, że umarł, zanim zaczął żyć naprawdę. Ach! Jakim był wówczas głupcem, irytowały go drobiazgi: wściekał się na Gabriellę, że popsuta mu wieczór i miał za złe Pat, że tak dobrze się z nią rozumiała. Gdyby dzięki temu mógł cofnąć się w czasie, to dziś z największą przyjemnością zaprosiłby tę plotkarkę do stolika.

Milczeli oboje. Wpatrywali się w swoje twarze, jakby szukali w sobie tych dwojga zakochanych sprzed dziesięciu lat. Szukali ich, chociaż oboje już stracili nadzieję.

- To ty zabiłeś Tony'ego, prawda? - zapytała Pat.

Skinął głową.

- Falstaffa także?

Potwierdził.

- Czy... - głos jej się załamał. - Czy masz zamiar zabić Waltera?

- Więć już wiesz?

- Walter wszystko mi opowiedział. Gdy cię zobaczył i usłyszał o tych zabójstwach, o Tonym, domyślił się, że to ty.

- To dobrze!

Spojrzała na niego ze zdziwieniem. - Dlaczego?

- Pozna co to strach.

Ned powiedział to takim tonem, że Pat wzdrygnęła się.

- Czy aż tak go nienawidzisz?

- Nienawidzę? - roześmiał się gorzko. - Jestem już zbyt martwy, żeby odczuwać tak gwałtownie! To po prostu sprawiedliwość!

- Sprawiedliwość? Przecież ty chcesz go zabić! Jak możesz mówić o sprawiedliwości?

210

- Bo on zabił mnie!

- Nie rozumiem! - Pat spojrzała na niego podejrzliwie.

- Zabrać komuś marzenia, to zabić go w trochę inny sposób. Oni zabrali mi wszystko, poznałem smak sukcesu, smak szczęścia, a oni zabrali mi nawet złudzenia.

- Ale mimo to ty żyjesz!

- Tak... Żyj! Tylko za jaką cenę? O wiele lepiej bym zrobił, gdybym dał się zabić! - widząc jej zdumione spojrzenie, wyjaśnił: - Widzisz, umierać można na różne sposoby; umierać można szybko i estetycznie, ale można też konać całymi latami, umierając po kawałku, przestając czuć, przestając marzyć. Oni wybrali dla mnie ten najstraszniejszy sposób; straciłem wszystko, co ceniłem najbardziej. Jeszcze żywy, ale bez uczuć, bez bólu, bez nienawiści, bez miłości!

Pat spojrzała na niego, jakby widziała go po raz pierwszy.

- Nie jesteś człowiekiem, którego kochałam.
- Masz rację! Tamten odszedł wiele lat temu, został za murami Grant Martel.

Milczała.

- Czy wiesz, jak trudno pogodzić się z tą myślą? - zapytał. - Jeszcze wczoraj łudziłem się, że jest we mnie choć iskierka. Wydawało mi się, że potrafię jeszcze znaleźć jakiś sens mojej egzystencji, ale nawet to okazało się złudzeniem, cieniem minionych dni. Zrozumieć, że przegrało się swoje życie w bezsensownej walce o kolejną chwilę istnienia, to zrozumieć, że pozostało w tobie tylko zwierzę.

- Nie jesteś zwierzęciem!

- Więc kim? Walka o przetrwanie to przecież najbardziej zwierzęcy instynkt, prawie tak samo jak strach, a ja od dawna nie czułem niczego więcej. A teraz nie czuję już nawet tego! - umilkł, a potem jakby w nagłym olśnieniu, dodał: - A może masz rację? Może nie jestem już nawet zwierzęciem?

211

Zamilkli oboje. On zdziwiony, że wkłada w te słowa tak wiele emocji, ona przerażona ich wymową.

Ned przymknął oczy. Jeszcze wczoraj wydawało mu się, że te wszystkie dzielące ich lata można zapomnieć, że nadal są tymi samymi co wtedy, młodymi zakochanymi ludźmi. Wydawało mu się, że wystarczy zrobić krok, żeby znów byli razem, teraz zrozumiał jak bardzo się mylił.

- Kochasz go? - zapytał, żeby przerwać milczenie.
- Patrycja namyślała się przez chwilę. - Jest dla mnie dobry - powiedziała w końcu. - Kocha mnie! Znosi nawet mój nałóg. Wiesz? - roześmiała się nerwowo. - Trochę za dużo piję. Dużo za dużo!
- Nagle zdecydowała się. - Ned, błagam cię, zostaw go. Wyjedź i zapomnij o nas!
- Wróć tam skąd przyszedłeś, zjawo! Niech cię piekło pochłonie! - powiedział z goryczą.
- Nie! To nie tak! Naprawdę cieszyłam się, gdy cię zobaczyłam i nadal ciszę się, że żyjesz, ale boję się o Waltera. Wiem, co zrobił i gdybym wiedziała to wcześniej, nigdy bym za niego nie wyszła, ale teraz wygląda to inaczej. Upłynęło wiele czasu, wszyscy bardzo się zmieniliśmy...
- Tak! Zmieniliśmy się! Ale wy mogliście wybierać. Ja stałem się taki, bo oni zmusili mnie, żebym żył tak, a nie inaczej. Musiałem iść wąską ścieżką pomiędzy życiem i śmiercią. Ścieżką tak wąską, że dwóch ludzi nie mogło się na niej minąć. To przez nich zacząłem zabijać.

- Wiem, co oni zrobili, ale Walter nie wiedział, jakie są zamiary Tony'ego. On był z nich najmniej winien, podał ci tę figurkę tylko dlatego, że Tony go szantażował.

- A potem spokojnie wysłuchał jak skazują mnie na dwadzieścia pięć lat!

Pat opuściła głowę. - Bał się! On jest słaby! - zamilkła na chwilę. - Jemu naprawdę było ciężko. Czuje się winien i ten ciężar przygniata go...

212

Ned parsknął. - Doprawdy? Chyba powinienem mu współczuć!

- Nie chcę, żebyś mu współczuł! Chcę, żebyś mu wybaczył!

- Co mam mu wybaczyć? To, że mnie zdradził, czy to, że przez niego stałem się mordercą? Nie wiesz o mnie wszystkiego! Nie wiesz, że byłem najemnikiem, że zabijałem za pieniądze, że na moich oczach ginęli przyjaciele, że niektórych z nich ja sam zabiłem.

- I uważasz, że to on jest temu wszystkiemu winien?

- Ma swój udział!

- Tak! Ma! A jaki jest twój udział? - jej głos stał się ostrzejszy. - Tak! Wrobili cię w to! Wsadzili cię do więzienia! Ale czy wszystko, co spotkało cię potem, było wyłącznie ich vjiną?

-Nie!

-Więc?

- Pozostali już zapłacili!

Pat umilkła, a Ned jeszcze raz spróbował jej to wyjaśnić.

- Jestem ścigany. Poluje na mnie mafia i kiedyś na pewno mnie dopadną. Popełnię błąd i wtedy mnie zabiją. Według ich zasad będzie to słuszne; zasłużyłem na to. Co gorsza ja zgadzam się z nimi, choć robię to z innych powodów. Nie chcę już dłużej uciekać, chcę tylko rozliczyć się z tymi, którzy doprowadzili do tego, że moje życie straciło wartość. Walter jest ostatni na liście i nie mogę się teraz zatrzymać, to byłoby niesprawiedliwe wobec tych wszystkich, którzy już zapłacili.

Pat patrzyła na niego z narastającą irytacją. - Przestań gadać o tej sprawiedliwości! Czy naprawdę uważasz, że zabicie go wyrówna rachunki? Czy to oznacza tę twoją sprawiedliwość?

Ned skinął głową.

Pat z hukiem odstawiła szklanę. - Miałeś rację! - powiedziała ostro. - Ty już nie jesteś człowiekiem! - Opano-

213

wując się nieco dodała: — Jeśli nie obiecasz mi, że jeszcze dzisiaj stąd wyjedziesz, pójdę na policję.

Ned uśmiechnął się. - Idź od razu, bo potem może być za późno!

Pat zerwała się od stołu. - Jesteś potworem! Mordercą! To cholerne zabijanie podnieca cię bez względu na to czy to ty polujesz, czy polują na ciebie. Twierdzisz, że nie pozwolili ci wybierać? Powiem ci coś! Tak naprawdę ty po prostu to lubisz! Sprawia ci przyjemność to podniecenie... - głos jej się załamał. - Gdybyś tego nie chciał robić, gdybyś pomyślał jak wiele bólu sprawiasz tym, którzy przez ciebie tracą bliskich! - W jej oczach pojawiły się łzy. - Masz rację! Jesteś gorszy niż zwierzę!

Wybiegła z lokalu zostawiając za sobą Edgara i wścibskie spojrzenia klientów.

Ned nie ruszył się.

Siedział tak dobre piętnaście minut ignorując ciekawskie spojrzenia zza sąsiednich stolików i całą siłą woli starał się powstrzymać napływające do oczu łzy. Wiedział, że ją stracił; tym razem na zawsze i nieodwracalnie. Pół godziny temu był pewien, że to nie ma żadnego znaczenia, teraz przekonał się, że jednak miało. Chyba nikt nie potrafi znieść zupełnej samotności. Każdy człowiek potrzebuje chociaż jednej osoby, która wierzy w niego, która jest przystanią w trudnych chwilach. Tracąc Pat utracił taką ostatnią przystań, nie było już nikogo, kto czekałby na niego. Co gorsza, sam był temu winien.

Pat miała rację, był mordercą z wyboru. To nie fatum, to nie źli ludzie wybrali dla niego ten los. To on sam go wybrał! Nigdy, nawet wówczas, gdy mógł to zrobić nie ryzykując życiem, nie zdecydował się zmienić tej drogi. Co więcej, zabił Barta chyba tylko po to, żeby mieć pewność, że będzie musiał iść nią dalej. Teraz nawet gdyby chciał, nie mógł się już wycofać - szukała go mafia, szukała poli-

214

cja. Mógł już tylko dokończyć to, co rozpoczął, dokończyć zanim go złapią. Na nic więcej nie miał już czasu, na nic więcej nie miał już sił.

Zadzwoił do Waltera.

* * *

Walter nie był zdziwiony, gdy usłyszał głos Edgara. Oczekiwał tego od chwili, gdy w tajemniczym producencie filmowym rozpoznał swój głos sumienia. Poczucie winy, które dręczyło go przez te wszystkie lata, było jak nie gojąca się rana; gdy już miał nadzieję, że uwolnił się od niego, ono odżywało i znów zaczynało ropieć, sprawiając nieznośny ból. To powodowało, że z jednej strony obawiał się kary, a z drugiej oczekiwał jej. I teraz, gdy zjawił się jego sędzia, poza przerażeniem poczuł także ulgę.

- Musimy się spotkać, Walterze!

Quincy z trudem przełknął ślinę, ale odpowiedział pewnym głosem: - Wiem!

- Czekam na ciebie w parku, przy fontannie!

- Stawię się na pewno!

Edgar rozłączył się i z uznaniem pokiwał głową. Walter zachowywał się jak starożytny bohater. Te słowa zabrzmiały jak wyjęte z rzymskiego dramatu. Pytanie brzmiało, czy jego zachowanie nie zmieni się, gdy się spotkają.

Edgar napisał pożegnalny list do Pat, schował go do kieszeni i wyszedł nie oglądając się za siebie. Idąc w stronę parku, zastanawiał się, dlaczego Walter bez słowa sprzeciwu zgodził się na to spotkanie. Przecież musiał wiedzieć, co go czeka. Czyżby planował jakąś pułapkę. Może zawiadomił policję, a może przyjdzie na spotkanie uzbrojony. Ani jedno, ani drugie nie martwiło Edgara. Strzelał szybciej i celniej niż Walter, a celnie trafić go zdąży nawet wówczas, gdy otoczy ich setka policjantów. To i tak było

215

jego ostatnie zadanie; co będzie potem nie miało już znaczenia.

A jednak Walter zjawił się sam. Ned śledził go przez pewien czas, a potem, gdy upewnił się, że są bez niepożądanego towarzystwa, zaszedł mu drogę.

Patrzyli na siebie z odległości kilku metrów, wpatrywali się intensywnie, próbując odnaleźć w twarzach to, czego się tam spodziewali.

- Ned! - Walter pierwszy nie wytrzymał tego niemego pojedynku. - Wiem, po co tu przyszedłeś. Wiem, że jestem winien i jestem gotów za to zapłacić, ale chciałbym cię prosić o wybaczenie...

Edgar obserwował jego twarz szukając tego zwierzęcego strachu, który widział już na tyłu twarzach i zdziwił się, gdy go nie znalazł. Walter bał się, ale równocześnie panował nad tym uczuciem. Stał wyprostowany i czekał.

- Mówisz, że wiesz, że jesteś winien! A ja myślę, że nawet nie wyobrażasz sobie stopnia swojej winy. Co możesz wiedzieć o śmierci i cierpieniu, z którymi obcowałem od chwili, gdy zamknęli mnie w Grant Martel?

Ned sięgnął po broń. Walter zadrżał, ale wbrew oczekiwaniom Edgara, nie zaczął zebrać o litość. Uniósł głowę i przytknął oczy. Czekał. Ned zatrzymał uniesioną broń. Walter mu zaimponował. Tylko straceńcy tacy jak on sam nie bali się śmierci, ale pamiętał, że gdy był jeszcze zwykłym człowiekiem, śmierć przerażała go. Uciekał przed nią tak długo, bo bał się i teraz spotkał kogoś, kto okazywał niezwykłą odwagę. I to kogo? Tego słabego Waltera! Czy to nie było miarą wielkości tego człowieka?

- Rzuć broń! - głośny rozkaz wyrwał Edgara z zamyślenia.

Nagle otoczyło ich kilkunastu policjantów uzbrojonych w pistolety maszynowe.

- Nie masz szans! Powoli odrzuć broń!

216

Ned spojrzął w oczy Waltera.

- To nie ja! - powiedział Quincy.

Ned skinął głową, wierzył mu. Gdyby Walter chciał ściągnąć tu policję, zjawiliby się dużo wcześniej. A tak? Może tak było lepiej? „Jeśli nie można godnie żyć, trzeba umieć godnie umrzeć!” - sam to kiedyś powiedział. Była to jego dewiza i wypadało potwierdzić ją w życiu. Palec drgnął na spuście, lecz Ned nie strzelił. Pomyślał o tym, jak wielu ludzi zabił dotychczas. Czy jeszcze jedne zwłoki na tej długiej

liście mogą uratować jego przegrane życie? Czy to pomoże stać mu się takim człowiekiem, jakim był kiedyś? Wiedział, że nie. Jego nie mogło już nic uratować.

Ale przecież nie musiał zabierać ze sobą innych. Nie musiał sprawiać bólu Patrycji. Nie musiał...

Z[^] kordonem policjantów ktoś się pojawił, ale Ned zwrócił na to uwagę dopiero wówczas, gdy usłyszał szczekanie. Spojrzał tam i zadrżał, gdy w starych, zmęczonych ślepiach zobaczył ciepły blask radości.

- Bari! - powiedział cicho, ale pies wyczuł to lub usłyszał. Z psiego gardła dobył się głuchy, głęboki głos.

„On mnie poznał! - pomyślał Ned. - Nie zapomniał mnie! Bari!”.

Pies szarpnął się i wyrwijąc smycz z dłoni Patrycji, rzucił się w stronę Edgara skomląc radośnie.

Ned zdecydował się. Uniósł nieznacznie broń, akurat tyle, by kula przemknęła nad głową Waltera i nacisnął spust.

Gdy rozległy się serie z policyjnych automatów, Bari był już przy nim. Część kul przeznaczonych dla Neda rozszarpała psa. Reszta doszła celu. Impet pocisków rzucił Gratiano na drzewo, Bari poszarpany kulami, skomląc i krwawiąc padł o metr od niego.

Ned powoli osunął się na ziemię. Nie stracił przytomności, ale nie czuł również bólu, tylko jakiś chłód wpełzający w głąb ciała.

217

Obrócił głowę i spojrzał na psa. „Biedaczysko! Zabiłem go!”. Ale w starych zmęczonych ślepiach, których spojrzenie utkwilo na jego twarzy, nie potrafił doszukać się niczego poza radością. Kochany pies, mimo że konał cieszył się, że widzi swojego pana...

Ned chciał go pogłaskać! Spróbował unieść dłoń, ale nagle zdał sobie sprawę, że pies leży zbyt daleko. Zatrzymał rękę w pół ruchu, ale Bari jakby czekając na ten znak, stęknął i ciągnąc za sobą strzaskane łapy doczołgał się do jego dłoni. Dotknął wilgotnym nosem palców Edgara i zmrużył ślepie - czekał na pieścizotę.

Ned pokonując ból położył rękę na kształnym łbie najwierniejszego z przyjaciół i zanurzył palce w czarnej sierści. Gdy ponownie spojrzał w psie oczy, nie było już w nich tej ufności - były zamglone śmiercią.

- I ty przyjacielu! - powiedział, czując, że płacze. Przez te wszystkie lata był ktoś, kto o nim nie zapomniał, ktoś, kto na niego czekał. A on nie mógł zrobić nic, by go uratować, ale przecież nie potrafił nawet uratować siebie.

Meana, Archie, Spari, Bart, Sirus, Bari - oni wszyscy czekali na niego. Już czas do nich dołączyć.

- Neddie, wybacz mi! Ja musiałam! - nad nim pochylała się twarz Patrycji. Tuż obok klęczał Walter. - Myślałam, że jeśli ściągnę policję, to nic się tu nie stanie. Wybacz mi! - płakała.

- To nic! - Ned uśmiechnął się i chciał otrzeć jej łzy, ale nie starczyło mu sił. - To nic!

- Dlaczego? Dlaczego mnie nie zabiłeś? - zapytał Walter.

Ned jeszcze raz spróbował się uśmiechnąć, ale nawet to

przychodziło mu z trudem. Było mu zimno. Zamarzał! Ale był spokojny.

- Chciałem raz jeszcze... - ból nie pozwalał mu mówić, ale pokonał go i patrząc na Patrycję dokończył: - Chciałem... raz jeszcze... być człowiekiem.

218

Przez chwilę widział kontury twarzy, a potem wszystko pokrył mrok. Chciał jeszcze walczyć! Tak jak nakazywał mu Sirus, ale nie miał już sił. Musiał odpocząć. Chociaż trochę... Głowa, nie podtrzymywana żelazną siłą woli, opadła mu na pierś i uśmiechnął się widząc jak zbliżają się do niego Sirus, Spari, Meana... Byli już tak blisko.

Weź moją duszę do nieba, na zielone łąki.

Wiem, że nie zasłużyłem na tę łaskę,

Ale zanim mnie potępisz na wieki

Pozwól mi zobaczyć raj; bo piekło już widziałem.

;